



ZESŁANIEC

PISMO RADY NAUKOWEJ
ZARZĄDU GŁÓWNEGO
ZWIĄZKU SYBIRAKÓW
PL ISSN 1426-2126

65 2015



„Zesłaniec” w internecie

Od grudnia 2009 roku kwartalnik „Zesłaniec” dostępny jest również w wersji internetowej, na stronie:

<http://zeslaniec.pl>

Obecnie w zakładce „Spis treści” na wyżej wymienionej stronie dostępne są roczniki 2006-2014, a numery bieżące, i w miarę możliwości poprzednie będą sukcesywnie dodawane. Autorem witryny internetowej jest Pan Janusz Łukasiak, zaś hosting na preferencyjnych warunkach zapewnia firma mzplanet.com.

*

Przekazując Szanownym Czytelnikom tę informację, redakcja dziękuje Panu J. Łukasiakowi za bezinteresowne wsparcie nas w ważnej potrzebie pełniejszego czytelniczego odbioru „Zesłańca” za pomocą internetu. Wyrazy wdzięczności kierujemy również pod adresem firmy mzplanet.com. za udostępnienie hostingu na zasadzie specjalnej preferencji. Ujmując rzecz w schematyzującym z konieczności uproszczeniu można powiedzieć, że ten kierunek popularyzacji publikacji zawartych w „Zesłańcu” odpowiada na apel jego Czytelników.

Redakcja „Zesłańca”

Z e s ł a n i e c

PISMO RADY NAUKOWEJ ZARZĄDU GŁÓWNEGO
NR 65 ZWIĄZKU SYBIRAKÓW ROK 2015

Spis treści	Od redakcji
<ul style="list-style-type: none">• Ks. Błażej Michalewski <i>Wspólnoty wierzących w Kazachstanie w latach 1936-1990</i> 3• Anna Milewska-Młynik <i>Losy Teodozji Lisiewicz...</i> 27• Stanisław Fudali <i>Marzenia o kawalku niezapisanego papieru</i> 37• Roman Duda <i>Stanisław Fudali (1929-2015)</i> 49• Anna i Roland Młynkowie <i>Bolesław Szostakowicz (3 X 1945 - 17 VII 2015).</i> 57• Robert Szyjanowski <i>Mangystau świat na dnie</i> 63	<p><i>Na rok 2016 przypada osiemdziesiąta rocznica deportacji Polaków z obwodu Żytomierskiego na Ukrainie do Kazachstanu. To właśnie ich potomkowie mieszkają do dzisiaj w tym stepowym kraju i oczekują, że odrodzona po roku 1989 Ojczyzna przyjmie ich pod swój dach. Ten stan rzeczy starali się zmienić Prezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” Profesor Andrzej Stelmachowski i Maciej Płażyński, który zginął w Smoleńsku. Potem trud ten kontynuował jego syn Jakub, składając w Sejmie RP obywatelski projekt ustawy o repatriacji. Skończyło się na tym, że nigdy nie wprowadzono go pod obrady Sejmu, a podpisało się pod nim prawie 300 tysięcy osób. Wśród nich było wielu członków Związku Sybiraków</i></p> <p><i>Dzisiaj, gdy słusznie rozważane są różne warianty działań humanitarnych na rzecz wspomnienia imigrantów z krajów Bliskiego Wschodu, czas też pomyśleć konkretniej i wiążąco o naszych Rodakach, którzy „mają dosyć życia w stepach Kazachstanu i oczekiwania na to, że ktoś sobie o nich przypomni. Niektóre rodziny czekają na repatriację do Polski nawet po dziesięć lat, aż jakaś gmina zadeklaruje chęć ich przyjęcia” – stwierdził ze smutkiem („Rzeczpospolita”, nr 224/2015) Anatol Diaczyński, który przyjechał do Polski w 1995 roku dzięki interwencji Pani senator Janiny Sagatowskiej. Od tej chwili nie ustaje on w staraniach mających umożliwić repatriację Polaków z Kazachstanu. Działając w Związku Repatriantów RP, zrzeszającym osoby, którym w ostatnich latach udało się powrócić do Ojczyzny przodków żywi nadzieję, że kierunek powrotu Polaków ze wschodu znajdzie wsparcie w spójnym systemie rządowego zabezpieczenia. Wreszcie czas na to! Nasi rodacy mieszkający w Kazachstanie</i></p>
RELACJE Z ZESŁANIA	
<ul style="list-style-type: none">• Maria Milewska <i>Wspomnienia z Mandżurii</i> 73• Halina Ziemińska <i>Wspomnienia z dzieciństwa</i> 80	
KRONIKA	
<ul style="list-style-type: none">• Franciszek Nowiński <i>Polscy zesłańcy na Syberii od połowy XVIII do początków XX wieku. Konferencja w Omsku</i> 91• Małgorzata Król <i>Konferencja „Syberia infernalna – mity i oblicza rzeczywistości ”</i> 96• Regina Madej-Janiszek <i>Uroczyste spotkanie w Muzeum Niepodległości z okazji 75 rocznicy masowej wywózki Polaków...</i> 100• Iwona Biedulska <i>O życiu i śmierci Stanisława Fudalego</i> 101	

REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- *Młdzież wobec historii...*
pod redakcją Janusza Kobrynia,
Bystrzyca Kłodzka 2014
(Anna Milewska-Młynik) **105**
- Zbigniew Tomanek, *Wspomnienia rodzinne. Sześć lat za Uralem (1940-1946)*, Cieszyn 2014
(Anna Milewska-Młynik) **107**
- Alfred Florian Tomanek, *Listy z podróży (lata 1940-1950)*, Cieszyn 2014
(Małgorzata Dziura) **109**
- Jerzy Kostiuk, *Czy tak być musiało?*
Rzeszów 2010
(Małgorzata Dziura) **111**

Na okładce: ks. W. Bukowiński w ornamencie albie ofiarowanej przez wiernych w Karagandzie (s. 1); grupa dzieci przygotowana przez ks. W. Bukowińskiego do Pierwszej Komunii Świętej w Karagandzie (s. 4). Ilustracje pochodzą z archiwum Postulacji Sługi ks. W. Bukowińskiego, rep. z książki: A. Kuczyński, *Polacy w Kazachstanie. Zestanie – Dziedzictwo – Nadzieje – Powroty*, Krzeszowice 2014.

Zeszyt opublikowany dzięki dotacji

Rady Ochrony Pamięci

Walk i Męczeństwa

Wydawca: Zarząd Główny

Związku Sybiraków,

ul. Mazowiecka 12

00-048 Warszawa, tel. 22/827 93 71

Redakcja: A. Cz. Dobroński,

A. Dzienkiewicz, W. Krawczyński,

A. Kuczyński (red. naczk.), A. Milewska-

Młynik, P. Zworski

Sekretarz redakcji: M. B. Kuczyńska

Wykonawca: Skład, druk i oprawa –

QUAESTIO Przemysław Włodarczyk,

ul. Paczkowska 26; 50-503 Wrocław

Copyright nazwy „Zestaniec”

by A. Kuczyński

Adres redakcji: ul. Bystrzycka 61/3

54-215 Wrocław, tel. 71/351 10 94

mają prawo liczyć na pomoc umożliwiającą powrót do Polski, co jest oczywistą powinnością Macierzy. „Polacy zesłani w latach trzydziestych ubiegłego stulecia na Wschód i przez kolejne dekady zapomniani doznali kolejnej krzywdy. Tym razem jednak wyrządzonej przez ojczyznę, której oni mimo wszystko się nie wyparli. Nie zorganizowaliśmy im powrotu do Polski, kiedy stało się to możliwe, choć wielokrotnie robiono im na to nadzieje. Przez to znaczna ich część rozproszyła się po różnych krajach. Jeśli nawet wreszcie uchwili się ustawę pozwalającą na ich powrót, ilu z niej jeszcze skorzysta” – stwierdził etnolog i antropolog kultury Grzegorz Pełczyński („Obywatelska”, nr 93/2015)

Dopełnieniem tego wątku jest artykuł ks. Błażeja Michalewskiego, który często bywał w Kazachstanie z posługą duszpasterską. Tekst ten wzmacnia efekt wyjątkowości dziejów Polaków w tym stepowym kraju zesłanych tam w 1936 roku. Dodajmy, że nasi rodacy, zesłańcy z okresu drugiej wojny światowej i pierwszych lat po jej zakończeniu spotykali ich w tym „domu niewoli”! Wyjątkowość tych spotkań polega na tym, że gdy „zesłańcy lat wojny” wracali do Polski w latach 1946-1947, oni jako obywatele radzieckiej Ukrainy pozbawieni byli takiej możliwości. Niektórzy z nich wspominają jeszcze dzisiaj swoich pradiadków, dziadków i rodziców. Kiedy powrócą do Ojczyzny przodków i czy w ogóle powrócą? Tekstem tym dopominamy się o ten powrót!

W numerze tym udało się zgromadzić teksty doświadczonych autorów, którzy nieraz gościli już na łamach naszego pisma. Dziękujemy im za to i raz jeszcze proszę przyjąć wyrazy mojej wdzięczności za ten autorski trud. Dziękujemy też naszym Czytelnikom, których listy utwierdzają nas w przekonaniu, że „Zestaniec” żyje, jest czytany i oczekiwany. A teraz na zakończenie w Imieniu zespołu redakcyjnego oraz Czytelników dziękujemy Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa za stałe wspieranie edycji „Zestańca”

Wiesław Krawczyński

Przewodniczący Rady Naukowej
Zarządu Głównego Związku Sybiraków

KS. BŁAŻEJ MICHALEWSKI

WSPÓLNOTY WIERZĄCYCH W KAZACHSTANIE W LATACH 1936-1990

Zbliża się 80 rocznica wydarzeń, które na pokolenia zmieniły losy naszych rodaków żyjących na Kresach Wschodnich I Rzeczypospolitej. Nie z własnego wyboru znaleźli się oni na terytorium nowego państwa jakim był Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich. Rok 1936 stał się dla mieszkańców części Ukrainy Zachodniej i Białorusi, a dokładniej mówiąc rejonów przede wszystkim Marchlewski i Dzierżyński, które były autonomiami polskimi, rokiem próby i cierpienia. Wtedy to zapadła decyzja o likwidacji tych rejonów, a mieszkańców postanowiono wywieźć w głąb imperium sowieckiego. Czasy Wielkiego Terroru sprzyjały takim decyzjom, które miały na celu represjonowanie ludności nowego państwa ludu pracującego miast i wsi. W historii nasi rodacy zapisali się, jako pierwszy naród represjonowany tylko za to, że byli Polakami. Deportowani do Kazachstanu, wysadzeni w szczerym stepie, gdzie tylko tabliczki z numerami określały, gdzie się znajdują tzw. *toczki*, znaleźli się w nowej niegościnniej rzeczywistości. Zostawieni sami sobie mieli budować schronienie dla siebie przed nadciągającą zimą, podczas której temperatura spadała do -40°C . Ze słomy i gliny wyrabiali cegły i starali się przygotować do zimy, co miała przynieść pierwsza zima na zesłali, czyli żniwa śmierci.

Nie tylko oni, lecz także kolejne pokolenie deportowanych z lat II wojny światowej, są bohaterami niniejszego opracowania. Pamiętna noc z 9. na 10. lutego 1940 roku, która stała się kontynuacją w realizowaniu tajnego protokołu Ribbentrop – Mołotow. W nocy słychać pukanie do drzwi, a gdy to nie obudziło mieszkańców, walenie kolbami karabinów w okna musiało poderwać ich na równe nogi. Wpadają do wnętrza domu sowieccy żołdaci, towarzyszy im najczęściej jakiś miejscowy donosiciel oraz przedstawiciel NKWD. Pada rozkaz, macie pół godziny na spakowanie. Dlaczego, dokąd, co zabrać, padają pytania, na które mogli usłyszeć odpowiedź, tam gdzie będzie wam lepiej, gdzie wszystko będzie. Zabierają, więc najpotrzebniejsze rzeczy, ale nie zapominają o krzyżu, obrazie świętym. Zawsze znajdzie się miejsce na różaniec, książeczkę do nabożeństwa. Ruszają na podwodach do stacji kolejowych gdzie ładują ich do bydłocych wagonów. Stukot kół i śpiew „Serdeczna Matko”, rozpoczyna ich drogę na „na nieludzką ziemię”. A co było ich winą? To, że byli Polakami. Wielodniowa podróż w środku siarczystego mrozu nie dla wszystkich zakończyła się w miejscu zesłania. Przede wszystkim dzieci, ludzie starzy i osłabienie chorobą, zakończyli swoje życie w deportacyjnym wagonie, a ich grobami stały się hałdy

śniegu przy torach. Kolejne deportacje aż do czerwca 1941 roku, stały się swoistym zasiewem wiary na smaganej mrozem i upałem ziemi kazachstańskiej.

Opisując losy katolików, którzy pielęgnowali i rozwijali wiarę w Kazachstanie w latach 30. XX wieku oraz późniejszym okresie, należy wspomnieć także Niemców, potomków osadników z czasów carycy Katarzyny II, którzy pod rządami Stalina także stali się zesłańcami w Kazachstanie. Ukraińcy, mieszkańcy państw bałtyckich, ok. 120 narodowości zasiedliło Kazachstan. Pragnąc przybliżyć, życie Kościoła katolickiego w tym kraju, należy zacząć od wspólnych spotkań osób wierzących. Święta kościelne i patriotyczne jakkolwiek nie uznawane przez sowiecki system stawały się okazją by w skrytości pielęgnować wiarę, przekazywać ją kolejnym pokoleniom, ale także sposobnością by nie zapominać o swoich korzeniach narodowych. Domy prywatne były pierwszymi miejscami modlitwy, „domowymi kościołami”, w jakich odbywała się celebrowanie świętego czasu modlitwy, najczęściej bez księdza, ale w gronie wierzących i pragnących doświadczyć obecności Boga pośród siebie. To również te domy, z biegiem czasu, stały się zaczątkiem powstawania pierwszych legalnych parafii. *Dwacatki* – czyli Komitety kościelne, po zarejestrowaniu przez władze i zgodzie na otwarcie domu modlitwy, dzięki ofiarności wiernych i kapłanów, przebudowywały te zwykłe domostwa na małe, ale swoje kościoły. Posługa sakramentalna, jaką otaczali kapłani wiernych, to kolejne umocnienie wiary w ateistycznym otoczeniu. Posługa ta rozpoczęła się dopiero z pojawieniem kapłanów, czyli po ich wypuszczeniu z łagrów i więzień, a paradoksalnie również po skazaniu ich na przymusowe osiedlenie się w Kazachstanie. Także ostatni etap ludzkiego życia, jakim jest misterium śmierci i związane z nim obrzędy pogrzebu, stały się okazją do zmanifestowania wiary.

1. Zgromadzenia modlitewne związane ze świętami liturgicznymi oraz modlitwa indywidualna

Zesłańcy roku 1936, którzy znaleźli się w Kazachstanie, nie tylko zostali przymusowo wyrwani ze swojej ojcowizny, lecz także w nowym miejscu zostali poddani ostremu rygorowi i otrzymali status ludności „na specjalnym osiedleniu” – „specposielańców”. Wiązało się to z ograniczeniem swobód osobistych, takich jak przemieszczanie się z miejscowości do miejscowości, zakaz korespondencji, a także comiesięczne meldowanie się w komendanturze.¹ W konsekwencji życie religijne mogło ograniczać się i faktycznie ograniczało się do modlitwy osobistej, czy też w gronie najbliższej rodziny. Nie mogło być mowy o żadnym publicznym wyrażaniu kultu religijnego. Podstawą pielęgnowania wiary, stała się modlitwa osobista oraz odmawianie różańca.²

Czytając wspomnienia osób deportowanych w latach czterdziestych, możemy prześledzić ich drogę wiary, wiodącą przez czas próby wartości, które wynieśli ze swoich domów rodzinnych i którymi żyli. Pierwszym momentem

¹ S. Szynkiewicz, *Polacy kazachstańscy. Początki przystosowania do środowiska*, [w:] *Polacy w Kazachstanie. Historia i współczesność*, pod red. S. Ciesielskiego i A. Kuczyńskiego, Wrocław 1999, s. 249.

² A. Hlebowicz, *Kościół katolicki w Kazachstanie*, [w:] *Polacy w Kazachstanie....*, op. cit., s. 495-502.

stawała się chwila aresztowania i załadowania do wagonów. Dla wielu był to nie tylko moment przerażenia i rozpacz, lecz również wyznania wiary i zaufania Bogu w tym, co się przed nimi rozpoczynało. Na wieść o tym, że będziemy wywiezieni gdzieś daleko:

Wybuchnęliśmy płaczem i ukłękliśmy w nocnych koszulach przed dużym pięknym obrazem (olej na płótnie) Chrystusa ukrzyżowanego, wołając: Jezu ratuj nas!³

W innej relacji możemy odnaleźć także postawę wiary, która z jednej strony staje się świadectwem przynależności do Boga, a z drugiej jest umocnieniem na przyjęcie tego, co może spotkać deportowanych.

Przed wyjściem z domu, – wspominała po latach autorka relacji – który przyszło nam opuścić nie wiadomo czy nie na zawsze, odmówiliśmy modlitwę przed obrazem świętym. Podczas naszej modlitwy żołnierz sowiecki uśmiechał się drwiąco, a babcia na koniec powiedziała im, „a tiepier chot za morie” (a teraz choć za morze)⁴

Kolejny moment, który charakteryzował duchową postawę zesłańców, to znalezienie się już w wagonie⁵ wśród znanych i nieznanymi sobie osób, połączonych jednym losem, jakim była deportacja w nieznane. Chwila ta stała się sposobnością, aby to, co było przed nimi, powierzyć Bożej opiece. Przez swoje gesty, wznosząc ręce ku modlitwie, czy też klękając, ludzie znajdujący się w wagonach bydłowych, przyzywali Bożej opieki i pomocy w swoich modlitwach zanoszonych ku Bogu.⁶ A gdy zapadła kolejna noc, była ona znowu nocą modlitwy i śpiewów pieśni kościelnych. Najbardziej rozrywała serce wielkopostna pieśń „Ludu, mój ludu, cóżem ci uczynić”. Ludzie pokrzepiali się modlitwą i żyli w nadziei powrotu do swych bliskich i swego dobytku – pisała po latach autorka zesłańców wspomnień⁷

Słowa wypowiedzianych modlitw, które przeplatały się z ze stukotem kół pociągu, ubogacane były również śpiewem pieśni religijnych. Szczególnej wymowy i znaczenia, nabierały słowa pieśni wielkopostnych dotyczących męki Chrystusa i Matki Bolesnej, które teraz stawały się również odzwierciedleniem cierpienia deportowanych. Odprawiana wspólnie w wagonach Droga Krzyżowa jednoczyła ludzi w wspólnym doświadczeniu niedoli.⁸ W innej relacji opisującej tamte chwile możemy przeczytać:

W tej właśnie chwili ktoś przerwał panującą w wagonie ciszę: Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko... I zawtórowało mu kilkadziesiąt głosów z ufnością oddając swoje losy Bogu i Jego Matce – Synowi Swojemu nas polecaj, Swojemu Synowi nas oddawaj. Amen.⁹

³ J. Stefanik, relacja bez tytułu bez tytułu. Archiwum Naukowe Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego we Wrocławiu. (cyt. dalej AN PTL), syg. 20, s. 1.

⁴ R. Kaźmierczak, *Moje dzieciństwo*, (AN PTL), syg. 26, s. 5.

⁵ Por. S. Ciesielski, *Polacy w Kazachstanie w latach 1940-1946. Zesłańcy lat wojny*, Wrocław 1996, s. 240.

⁶ B. Jaśkiewicz, *Pamiętnik zesańca*, (AN PTL), syg. 20, s. 10

⁷ Ibidem, s. 13.

⁸ Ibidem, s. 32-33.

⁹ J. Ratuszko, *Ślady miękkich łap*, Szczecinek 2000, s. 11.

Reakcje ludzi znajdujących się w wagonach, przeplatały w sobie panikę i modlitwę: „Wkrótce wagon przepelniony był po brzegi. Zaczęła się histeria i panika. Niektórzy ludzie płakali, inni krzyczeli, inni jeszcze modlili się.”¹⁰ Modlitwa stawała się tym, co łączyło ludzi skazanych na ten sam los. Wypowiedane wspólnie słowa modlitw „Ojcze nasz”, „Zdrowaś Maryjo”, „Pod twoją obronę”, spletały życiorysy osób, które zostały poddane wspólnej niedoli. Gdy ktoś rozpoczynał na głos modlitwę, przyłączała się do niego reszta osób, znajdujących się w wagonie i jeden głos unosił się ku niebu.¹¹

Po przybyciu na miejsce zesłania, rozpoczynał się nowy etap w życiu tysięcy ludzi skazanych na nieludzkie warunki. Znowu wiara i przyznanie się do niej było pierwszym krokiem w nowej rzeczywistości bytowania. Czyniono to dziękując Bogu za przetrwanie uciążliwej zesłańczej drogi, powierzając Mu zarazem też swój dalszy los. Odbicie tego faktu znajdujemy w relacji jednej autorki, która po latach napisała:

Nad pryczą został natychmiast umieszczony obraz święty i krzyż przywieziony z Polski. Każdego dnia przed snaniem klękaliśmy wokół naszej pryczy, by wspólnie odmawiać modlitwę wieczorną kończąc słowami: „chroń mnie, dobry Boże, gdy się spać położę, daj mi powstać zdrowo, chwalić Cię na nowo”.¹²

Tej pierwszej nocy na „nieludzkiej ziemi”, wśród miejsc gdzie zostali ulokowani zesłańcy, ze wszystkich stron można było usłyszeć płynące modlitwy oraz rozlegał się śpiew pieśni religijnych.¹³ Tak ofiarowując się Bożej Opatrzności, nowi mieszkańcy stepów Kazachstanu rozpoczynali nowy etap swojego życia. Codzienna modlitwa stała się podstawową praktyką religijną, którą można było pielęgnować w warunkach zesłania bez narażenia na kary i szyderstwa. Była ona jednocześnie umocnieniem dla zesłańców i pozwalała przetrwać ten czas próby:

Do coraz bardziej matowiejącego od wilgoci obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej szły nasze wieczorne modlitwy. W psalm „Kto się w opiekę odda Panu swemu” wkładaliśmy wszystkie nasze żarliwe nadzieje i wiarę w odmianę losu.¹⁴

Nie tylko dla zesłańców lat czterdziestych, modlitwa była stałym elementem dnia deportowanego, także dla tych osób, którym przyszło zostać w Kazachstanie na stałe, codzienna modlitwa wyznaczała rytm dnia i ugruntowywała więzy rodzinne. Wspomina o tym o. Alojzy Kaszuba:

Wzruszająca jest wspólna modlitwa rano i wieczór, na którą gromadzi się i dalsza rodzina z głuchą babką i domownicą, dawną zakrystianką na czele. Co dzień musi być różaniec oraz inne zmieniające się stosownie do dnia modlitwy, co razem zajmuje około godziny.¹⁵

¹⁰ W. Niezgoda-Górska, *Dosyć nam Sybiru, dosyć Kazachstanu*, Wrocław 1994, s. 23.

¹¹ B. Piotrowska-Dubik, *Kwiaty na stepie*, Warszawa – Żąbki 2001, s. 28.

¹² B. Jaśkiewicz, op. cit. s. 47.

¹³ S. Goworska, *Moja wojenna tułaczka*, (AN PTL), syg. 33, s. 2.

¹⁴ G. Jonkajtys-Luba, „...was na to zdieś prwiewzi, szto by wy podochli”, *Kazachstan 1940-1946*, Lublin 2002, s. 63.

¹⁵ H. Warachim, *Włóczęga Boży*, Kraków 1991, s. 185.

Liczne wspomnienia ukazują modlitwę prywatną¹⁶, odmawianą nie tylko w domu, czy to rano, czy wieczorem, lecz także w ciągu dnia. Szczególnie w chwilach zagrożenia w modlitwie szukano ratunku i wsparcia a także ocalenia życia. Odbiciem tego jest wyznanie jednej z autorek relacji zatroskanej o los chorej córki Zosi:

Wtedy jedynym ratunkiem była modlitwa. [...] Jednak Opatrzność Boża czuwała i Zosia w tych nieludzkich warunkach powoli wracała do zdrowia.”¹⁷

W chwilach ciężkich doświadczeni, a nawet zagrożenia życia, szukano pomocy w modlitwie oraz przez oddanie się opiece i wstawiennictwu Matce Bożej a także przez rachunek sumienia i żal za grzechy przygotowywano się, by być gotowym nawet na śmierć.¹⁸ Czytając wspomnienia zesłańców można zaobserwować i takie momenty, w których rozpacz przenika się z modlitwą. Kiedy babcia wraz z dziećmi w modlitwie błaga Boga o ratunek, w tym samym czasie matka w desperacji, w rozpacz i z płaczem przeklina Stalina.¹⁹ Obraz ten ukazuje, w jakim wewnętrznym rozdarciu i wystawieniu na próbę wiary znajdowali się zesłańcy. Najczęściej odmawianą modlitwą, o której wielokrotnie mówią wspomnienia, jest modlitwa różańcowa. A sam różaniec stawał się świadectwem wiary i zaufania w Bożą opiekę. Dzieci patrząc na swoją matkę, zapamiętały, że przesuwała ona paciorki różańca, a z samym różańcem nigdy się nie rozstawała.²⁰ Ten przykład zaufania matki Matce Bożej, stawał się umocnieniem nie tylko dla niej samej, ale również dla dzieci, które były świadkami jej modlitwy. Dlatego też w jednej z relacji możemy przeczytać:

Po drodze stale odmawiałam różaniec nie wypuszczając go z ręki. [...] Ale moją mocą była Matka Boża. Do niej tuliłam się odmawiając nieustannie różaniec.”²¹

Następnym charakterystycznym elementem wyrażania wiary przez zesłańców, były pieśni religijne.²² Ta forma modlitwy przyczyniała się nie tylko do umacniania swojej wiary przez zesłańców, ale również dawania świadectwa o niej wobec innych osób. Śpiewanie pieśni religijnych było też swoista formą pielęgnowania języka ojczystego.

Babcia mówiła, że zupełnie się zruszczymy, dlatego intonowała zaraz pieśń religijną np.: „Chwalcie łąki umajone”, „Serdeczna Matko”, a jak szliśmy rano do lasu, to musiałyśmy całe Godzinki odśpiewać.”²³

Pieśni religijne i święta stawały się elementem jednoczącym oraz na duchu zesłańców. Czas świąt kościelnych, stawał się okazją, aby nie tylko spotkać się w gronie najbliższych, lecz również, by przez pieśni religijne uwielbiać

¹⁶ S. Ciesielski, op. cit., s. 240. Zob. też: D. Nowakowska, *Oczami dziecka*, (AN PTL), s. 25, s. 9.

¹⁷ J. Stefanik, op. cit., syg. 12, s. 5.

¹⁸ Ibidem, s. 8.

¹⁹ R. Kaźmierczak, op. cit., s. 22.

²⁰ B. Jaśkiewicz, op. cit., s. 70.

²¹ J. Mitygowska, relacja bez tytułu, (AN PTL), syg. 6/ s. 9.

²² S. Ciesielski, op. cit. s. 241.

²³ R. Kaźmierczak, op. cit., s. 11.

Boga, a śpiewając pieśni patriotyczne utwierdzać swoje przywiązanie do opuszczonej ojczyzny.²⁴ Wśród deportowanych, można zauważyć szczególny kult Matki Bożej. Nie tylko zabierano z domów obrazy przedstawiające Bogurodnicę,²⁵ czy odmawiano różaniec, ale odprawiano także inne nabożeństwa maryjne, o których czytamy we wspomnieniach zesłańców. Jak można było zauważyć w cytowanych fragmentach, tak właśnie wyrażano zaufanie matczynej opiece. Szczególne miejsce w hołdzie oddawanym Matce Bożej, jak również w jednoczeniu i umacnianiu wspólnoty wierzących, zajmowały nabożeństwa majowe.²⁶ Odprawiane były one bez kapłana, często z narażeniem na represje ze strony władz, ale to one przyczyniały się do umacniania wiary ludzi, motywowały do budowy ołtarzyka, do wspólnej modlitwy mimo zakazów²⁷

W dużym baraku stał ołtarz, przystrojony polnymi kwiatami. Wieczorem odprawiano nabożeństwo majowe i w kazachstańskim stepie zaczęły roznosić się pieśni do Matki Bożej.²⁸

Sama litania loretańska recytowana z pamięci była sposobnością, by oddać cześć Matce Zbawiciela. Była ona również modlitwą, która zapadała w pamięć i serca nawróconym na katolicyzm oraz stawała się dla nich formą oddania czci Matce Bożej.²⁹ Święta Maryjne stawały się dla zesłańców wspomnieniem dalekiej ojczyzny oraz tym szczególnym momentem wspólnej modlitwy i poczucia jedności w wierze napisana po latach autorka relacji z tego „domu niewoli”, wspominają one, że:

Przyszedł pamiętny dzień dla Polaków, 15 sierpnia. W wigilię tego święta, wieczorem postanowiliśmy uczcić Matkę Bożą Wniebowziętą. Śpiewaliśmy całym sercem pieśni ku Jej czci.³⁰

Dla każdego wierzącego człowieka, szczególnym dniem jest niedziela, dzień poświęcony Bogu i najbliższym poprzez wspólne spotkanie modlitewne.³¹ Jednak na zesłaniu niedziela była często zwykłym dniem pracy, zdarzało się, iż właśnie w niedzielę władze wyszukiwały szczególne prace dla zesłańców, by tym bardziej odebrać jej sakralny charakter. Mimo to zdarzały się bunty przeciwko pracy w niedziele, które bywały niekiedy uwieńczone sukcesem, co powodowało, że niedziela była dniem wolnym od pracy.³²

²⁴ S. Goworska, s. 5.

²⁵ G. Jonkajtys-Luba, op. cit., s. 63; W. Niezgoda-Górska, op. cit., s. 110; S. Ciesielski, op. cit., s. 239, 241; H. Nikiel, *Moje wspomnienia z pobytu w ZSRR w latach 1940-42*, (AN PTL), syg.46: „Mama, płacząc, ubierała mnie i mego brata, więc staruszka, u której mieszkaliśmy, do wiklinowego kosza na bieliznę zapakowała nam pierzynę, bochenek chleba i obraz Matki Boskiej Karmiącej. Mówiła, że daje go nam byśmy nigdy nie zginęli z głodu”. (s. 1); „Cały czas mieliśmy przy sobie obrazek Matki Boskiej Karmiącej, ofiarowany nam przez staruszkę, w chwili wywożenia nas z Brasławia na Sybir”. (s. 18).

²⁶ S. Ciesielski, op. cit. s. 241.

²⁷ Ibidem, s. 241.

²⁸ W. Niezgoda-Górska, op. cit., s. 146.

²⁹ Ibidem, s. 170.

³⁰ J. Stefanik, op. cit., s. 7.

³¹ H. Nikiel, napisała: „Ponieważ mieliśmy takie »luksusowe« warunki mieszkaniowe, czasami przychodzili do nas znajomi na modlitwę [...]”, op. cit., s. 4.

³² S. Ciesielski, op. cit., s. 132.

Święta Bożego Narodzenia, wprowadzają szczególny nastrój i tęsknotę za domem rodzinnym. Na zesłaniu odczucia te jeszcze bardziej się potęgowały poprzez wspomnienia minionych świąt w domu rodzinnym, pośród swoich, gdzie niczego nie brakowało. Zesłanie, choć zubożyło stronę materialną świąt, to jednak spotęgowało wymiar duchowy i wspólnotowy w przeżywaniu Bożego Narodzenia. Nie tylko tęsknota za ojczyzną, ale szukanie choćby namiastki dawnej atmosfery, sprawiało, iż mimo trudności starano się organizować skromną wigilię.³³ We wspomnieniach z tamtych dni możemy odnaleźć opis nastroju, jaki panował podczas świąt oraz ich przebieg, szczególnie w pierwszym roku zesłania.

Nadchodzące Święta Bożego Narodzenia przywołują falę wspomnień. Tym razem jednak nie odczuwaliśmy zwykłego nastroju radości, towarzyszącego tym uroczystym dniom. Pierwsza wigilia na obczyźnie, tysiące kilometrów od rodzinnej ziemi, w strasznym, niegościnnym kraju, przepełniona była nieopisanym smutkiem. Matka przygotowała stół wigilijny – położyła na sąsięku walizkę i nakryła ją białym prześcieradłem jak obrusem. Nie było opłatka, więc połamałiśmy się czarnym, przydziałowym chlebem. Czarny chleb był też jedynym daniem wigilijnym.³⁴

Pielęgnowanie tradycji świątecznej, stawało się także świadectwem wiary:

Wszyscy śpiewamy kolędy – aż nagle stukanie do drzwi. Stoją w drzwiach okutane w chustki rosyjskie kobiety. Przyszły zobaczyć nasze Boże Narodzenie, prawdziwy święty obrazek jawnie powieszony na choince, krzyżyk ułożony z kawałków drzewa. Płaczą!³⁵

Święta jednoczyły wierzących i pomagały w pielęgnowaniu tradycji z nimi związanymi. I tak na przykład zebrani podczas świąt Bożego Narodzenia, wspólnie modlili się za tych, którzy pozostali w Ojczyźnie, modlitwę zanosili również za siebie nawzajem, po czym łamali się zwykłym chlebem i składali sobie życzenia.³⁶ Chwile tej wspólnej modlitwy i pielęgnowania tradycji, stawały się dla nich umocnieniem w znoszeniu tych trudnych lat deportacji oraz zesłania. Z biegiem czasu i pewnej normalizacji życia na zesłaniu, również Święta Bożego Narodzenia, nabierały bogatszej oprawy oraz jeszcze bardziej zbliżały wierzących.

W dniu wigilii Bożego Narodzenia odwiedziło nas wielu Polaków. [...] Wszyscy życzyli, żeby następne święta spędzić w Ojczyźnie. [...] Na wieczerzę wigilijną pani Helena, sposobem Wandy Ustrzyckiej, zrobiła z białej mąki naleśnik, który zastąpił opłatek. Tradycyjne potrawy przygotowano z ryżu, maku i kapusty. Po wieczerzy wigilijnej pierwszy raz kazachstańska noc usłyszała „Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi!” Rozbrzmiewały też inne kolędy.³⁷

³³ Ibidem, s. 247.

³⁴ W. Niezgoda-Górska, op. cit., s. 53.

³⁵ D. Nowakowska, op. cit., s. 6; H. Nikiel pisze: (Kolchoźnicy). Oni także czasami – w wielkiej tajemnicy – prosili Polaków, żeby ich nauczyli modlić się. W tym celu przychodzili do naszej izbuszki, tym odważniej, że mieszkaliśmy w niej sami, op. cit., s. 7.

³⁶ S. Szponder „Tak nas powrócisz”, (AN PTL).sygn. 28, s. 20.

³⁷ W. Niezgoda-Górska, op. cit., s. 174.

Należy zaznaczyć, omawiając przebieg świąt, że według prawodawstwa sowieckiego, niedziela, Boże Narodzenie czy też Wielkanoc, były zwykłymi dniami roboczymi. Mimo to starano się nadawać im choćby w ograniczonym zakresie, wyjątkowy, świąteczny klimat³⁸ także przez wspólne gromadzenie się w domach na modlitwie.³⁹

2. Domy prywatne jamko miejsce spotkań ludzi wierzących

Po omówieniu okoliczności oraz wspólnoto-twórczego znaczenia modlitwy jak, również jej aspektu, który pozwalał przetrwać czas zesłania, warto zwrócić uwagę na miejsca, gdzie modlitwa się odbywała. W pierwszych latach zesłania, poczynając od roku 1936, oprócz braku kapłanów, tym co również w sposób szczególnie doskwierało deportowanym, był brak miejsc wspólnej modlitwy, wydzielonego z rzeczywistości zesłania, świętego azylu, kościoła. Zanim jednak zaistniała długo oczekiwana realna możliwość organizowania legalnych domów modlitwy oraz budowy kościołów i organizowania parafii, pierwotnym miejscem, które stało się źródłem przetrwania i przekazywania wiary, były domy rodzinne. Wydzielony kąt w miejscu, gdzie mieszkali zesłańcy, umieszczony obraz bądź figura świętych, zawieszony krzyż, przekształcał dom w miejsce święte, nadając mu sakralny niemal charakter.

Zesłańcy z roku 1936 i lat czterdziestych XX wieku – jak można było już to zauważyć – gromadzili się na wspólnej modlitwie. Zwykły barak⁴⁰, czy też mieszkanie zamieniały się w świątynię⁴¹. Do wyjątkowych sytuacji należała możliwość uczestniczenia we Mszy św. podczas zesłania. Było to jednak możliwe po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych między ZSRR, a Rządem Polskim na uchodźctwie i tworzeniu Armii Polskiej w Związku Radzieckim. We wspomnieniach, dotyczących jesieni 1943 roku, czytamy o wizycie ks. Tadeusza Fedorowicza wśród Polaków w Semipałatyńsku.⁴²

Jest wrześnie niedziela, gromadzimy się w chacie, którą udostępnili nam gospodarze – Tatarzy (jaka dziwna jest historia). W chacie tej ksiądz Tadeusz sprawuje Najświętszą Ofiarę. Wszyscy płacemy ze wzruszenia.⁴³

Jednak zasadniczą formą wspólnej modlitwy były spotkania w domach bez udziału kapłana⁴⁴. Świadomość wspólnoty mieszkańców, spotykających się w sanktuarium swojego domu, zachęcała ich do modlitwy. Wspomniany brak kapłanów powodował, że sami wierni prowadzili modlitwy, narażając się jednocześnie na szykany i represje.

³⁸ S. Ciesielski, op. cit., s. 247; por. P. Nagiel, *Życie religijne Polaków w Kazachstanie*, [w:] *Kościół katolicki na Syberii*, pod red. A. Kuczyńskiego, Wrocław 2002, s. 575

³⁹ H. Nikiel, op. cit. W cytowanych już jej wspomnieniach czytamy: *Możliwe nawet, że to właśnie w święta przychodzili do nas ludzie na modlitwę, wtedy, gdy byliśmy jeszcze w kołchozie*, s. 7.

⁴⁰ W. Niezgoda-Górska, op. cit., s. 146.

⁴¹ S. Goworska, op. cit., s. 5.

⁴² B. Piotrowska-Dubik, op. cit., s. 223.

⁴³ Ibidem, s. 224.

⁴⁴ P. Nagiel, op. cit., s. 575.

[...] od 1936 do 1955 roku byliśmy tu bez księdza. Sami wtedy zbieraliśmy się po domach... Ten prosił do siebie, drugi poprosił do siebie... I modliliśmy się. W niedzielę, święta... Ale nas rozpędzali. Przychodzą komsomolcy, rozganiają, książki z rąk odbierają, biją, straszą. A ludzie wszystko jedno zbierali się, modlili.⁴⁵

Kolejnym elementem, który towarzyszył modlitwom, był strach przed konfidentami, dlatego stosowano szczególne środki ostrożności, by nie ujawniać, gdzie odbywają się wspólne modlitwy. Czy nawet wówczas przy takim zagrożeniu także się modlono?

A pewnie, że modliliśmy się – wspominałam jedną informatorkę. – Po chatkach zbieraliśmy się. Ale tak, żeby nikt nie widział. Okna zasłonięte, światełko ledwie palimy. A pod okno diabeł podejdzie, zobaczy, że na modlitwie trwamy, drzwi odmyka, do środka wpada, książki rwie, nas z chaty wyrzuca, czegoście się zebrali – wrzeszczy.⁴⁶

Czytając wspomnienia o ks. Bukowińskim, czy o o. Kaszubie, możemy zaobserwować, że ich posługa, a także innych księży, pracujących w Kazachstanie już po zakończeniu II wojny światowej oraz po repatriacji deportowanej ludności z lat czterdziestych XX wieku, nadal odbywała się w domach prywatnych. Domy katolickich mieszkańców Kazachstanu ciągle są miejscami świętymi. Tam spotykają się na wspólnej modlitwie mieszkańcy danej miejscowości, do tych domów przybywają kapłani, by sprawować sakramenty, jak również, by przekazywać prawdy wiary poprzez katechezę.

Wspólnie spotykaliśmy się z księdzem (Bukowińskim) na modlitwie w prywatnym domu u p. Bułajewskiej. Ksiądz uczył nasze dzieci religii, sprawował Msze św., udzielał sakramentów św. Było to wszystko czynione w ukryciu. Działo się to w latach sześćdziesiątych. [...] W naszym domu ta posługa była też w ukryciu sprawowana. Przeważnie w nocy przy zasłoniętych kocami oknach. Dzieci przychodziły na naukę religii, dorośli na Msze św.⁴⁷

Kolejnym etapem w budowie wspólnot wiary oraz utrwalania jej i przekazywania oraz troski o swoją tożsamość religijną, były próby tworzenia namiastek kościołów. Polegało to na nabywaniu budynków mieszkalnych i adoptowaniu ich do potrzeb modlitwy. Odbywało się to wszystko bez zgody władz, co powodowało, że po odkryciu ich przez władze, były one natychmiast zamykane⁴⁸. Mimo to nie zniechęcało to ludzi wierzących do kolejnego tworzenia domu modlitwy. Taka forma syzyfowej pracy spowodowana była długością czasu, jaki zajmowało legalne zarejestrowanie parafii i wybudowanie kościoła oraz utrudnieniami ze strony władz.⁴⁹ Krótki opis schematu zakładania takich kościołów, podaje ks. W. Bukowiński:

⁴⁵ K. Renik, *Religie, które przeżyły*, Kraków 1996, s. 242, wspomnienia Anny Rudnickiej.

⁴⁶ Ibidem, s. 251-251, wspomnienia Marii Zilizieckiej.

⁴⁷ R. Słowecka, *Posługa w ukryciu sprawowana*, [w:] *Spotkałem człowieka*, zebrał i opracował ks. W. J. Kowalów, Biały Dunajec – Ostróg 2001, s. 65-66.

⁴⁸ P. Nagiel, op. cit., s. 575; Ks. W. Bukowiński, *Do moich przyjaciół*, Biały Dunajec – Ostróg 2001, s. 87.

⁴⁹ Ks. W. Bukowiński, op. cit., s. 87-88.

Jak to się odbywało? Bardzo prosto. Wierni składali ofiary, kupowano dom. Usuwno kilka wewnętrznych ścian i w ten sposób z kilku małych pokoików powstawał jeden wielki pokój lub – jak kto woli – mała sala. Wystawiono i urządzono ołtarz, po czym poświęcono kościółek i rozpoczynano w nim odprawianie nabożeństw, a wciąż dalej starano się lepiej zaopatrzyć i ozdobić swój rzeczywiście umiłowany kościółek.⁵⁰

Były to zwykłe chaty najczęściej o wymiarach dwanaście na pięć metrów o nisko umieszczonym suficie i nieotwierających się oknach, co sprawiało, że przy okazji wspólnych modlitw, panował tam tłok i zaduch,⁵¹ lecz nie zniechęcało to ludzi, by tam przychodzić i wspólnie się modlić. Wystrój takiego kościoła zależał od inwencji i możliwości konkretnej wspólnoty. O. Kaszuba tak opisuje jedną z takich kaplic:

W głębi czystej izdebki biało przykryty ołtarz z tabernakulum osłonięty haftowanym konopeum. Lichtarz, kwiaty, niczego nie brak. Nawet lampka się pali, choć tabernakulum puste. [...] Przy prawej ścianie znajduje się obstawiony mnóstwem obrazów ołtarzyk ze skromnym tabernakulum po środku. Jest to właściwie zwykła paczka przykryta jedwabną zasłoną.⁵²

We wspomnieniach ks. Bukowińskiego znajdujemy wzmiankę o takich kościołach oraz ich krótkowieczności. Pisze on o trzech kościołach w Karagandzie, i tak kościół ukraiński został zamknięty przez władze wiosną 1957, kościół niemieckiej wspólnoty katolickiej w maju 1957 roku, a wspólnoty polskiej – 4. lipca 1957, po roku swojego funkcjonowania.⁵³ Nielegalne kościoły istniały w Zielonym Gaju, gdzie pracował ks. Bronisław Drzepecki, w Tańczy – tam posługę pełnił ks. Józef Kuczyński.⁵⁴ Po aresztowaniu kapłanów, ludzie i tak przychodzili do swoich kościołów, by choć bez kapłana, lecz nadal – wspólnie się modlić.⁵⁵ Zamykanie nielegalnych kaplic i domów modlitwy oraz brak legalnie istniejących parafii ze swoimi kościołami, sprawiały, że praca duszpasterska znów wracała do domów prywatnych, a księża stawali się swoistymi domokrążcami.⁵⁶ Dom do takiej tajnej posługi kapłańskiej był dokładnie wybierany, musiał spełniać odpowiednie warunki „bezpieczeństwa”.

Nie każdy dom nadaje się do pracy duszpasterskiej – wspominał ks. W. Bukowiński. Najlepiej nadaje się domek jednorodzinny, położony na uboczu. Nie jest pożądane sąsiedztwo kina, szkoły lub klubu a jeszcze mniej milicji. Trzeba zwracać baczną uwagę na to, żeby byli spokojni sąsiedzi. W takim domu można spokojnie się modlić, a nawet głośno śpiewać, byleby tylko były pozamykane drzwi i okna. Msze św. można w naszych warunkach odprawiać rano i wieczorem. W dzień odprawiam tylko mszę pogrzebowe przy zwłokach.⁵⁷

⁵⁰ Ks. W. Bukowiński, op. cit., s. 87; por. K. Renik, op. cit., s. 293, wspomnienia Olgi Frank.

⁵¹ R. Dzwonkowski SAC, *Praca księży polskich w Kazachstanie po II wojnie światowej*, [w:] *Polacy w Kazachstanie, historia i współczesność*, op. cit., s. 481.

⁵² Ibidem, s. 185.

⁵³ Ks. W. Bukowiński, op. cit., s.87; por. R. Dzwonkowski SAC, op. cit., 481.

⁵⁴ Ibidem, s. 88; por. R. Dzwonkowski SAC, op. cit., s. 481.

⁵⁵ Ibidem, s. 88.

⁵⁶ R. Dzwonkowski SAC, op. cit., s. 481.

⁵⁷ Ks. W. Bukowiński, op. cit., s. 89.

Sytuacja taka trwała aż do utworzenia i zarejestrowania parafii, ale i wtedy spora część pracy duszpasterskiej, nadal odbywała się w domach prywatnych. Także w czasie, kiedy w danej miejscowości nie było księdza, ludzie też zbierali się w prywatnych domach na wspólnej modlitwie. Wspomina o tym ks. abp Jan Paweł Lenga MIC, pracujący w latach osiemdziesiątych XX wieku w Tainszy. Udawał się on także do sąsiednich miejscowości, gdzie prowadzono go do domów prywatnych. Były tam wydzielone pokoje, w których społeczność lokalnych katolików, czy to Polaków czy Niemców, spotykała się na modlitwie. Po przybyciu księdza także tam odbywała się spowiedź, a następnie sprawowana była Msza św.⁵⁸ Domy te stały się z czasem tzw. kościołami domowymi, które przechowywały i rozwijały wiarę oraz stały się zaczątkiem odnowy Kościoła w Kazachstanie po upadku Związku Sowieckiego.

3. Powstawanie legalnych parafii

Kolejnym elementem, tworzącym obraz Kościoła katolickiego w Kazachstanie, było tworzenie legalnych wspólnot wierzących zgodnie z obowiązującym prawem. Podstawą prawną dla tworzenia oficjalnych wspólnot wierzących stał się Dekret Rady Komisarzy Ludowych RFSRR z dnia 23. stycznia 1918 roku o *Oddzieleniu Cerkwi od państwa i szkoły od Cerkwi*,⁵⁹ przy czym za Cerkiew uważano wszelkie religie i wspólnoty wyznaniowe. Dekret ten ukazuje uzależnienie Kościoła od państwa oraz pozbawienie go wszelkiej autonomii. Na szczególną uwagę zasługują artykuły 10, 12 i 13. Na podstawie wspomnianego Dekretu Rady Komisarzy Ludowych, który został wprowadzony w życie 30. września 1918 roku,⁶⁰ wszystkie Kościoły i wspólnoty religijne, zostały pozbawione prawa własności w stosunku do majątku, jaki posiadały. Po wejściu w życie Dekretu, budynki i przedmioty kultu, należące wcześniej do Kościołów, mogły być według uznania władz Państwowych oddane do dyspozycji, ale prawo własności i prawo dysponowania posiadało Państwo.⁶¹

Kolejnym celem Dekretu i całej polityki Państwa Radzieckiego w stosunku do Kościoła, było pozbawienie go struktur hierarchicznych. Jej miejsce miały zająć tzw. *Dwacatki* (dwudziestki), które miały zwracać się do władz z prośbą o rejestrację parafii, czy kościoła, a po jej otrzymaniu, przejmowały pełną odpowiedzialność za jej utrzymanie.⁶² Zadecydował o tym dekret WCIK z dnia 3. sierpnia 1922 roku.⁶³ Na pewien czas liczbę osób, które miały występować o zatwierdzenie gminy wyznaniowej podniesiono do 50 osób, jednak

⁵⁸ Por. *Wspomnienia z Kazachstanu (1980-1990) Jego Eksceleencji księdza arcybiskupa Jana Pawła Lengy MIC*, opr. ks. Błażej Michalewski, Licheń 2015, manuskrypt w zbiorach autora.

⁵⁹ A. Patek, *Położenie prawne Kościoła katolickiego na Wschodzie w okresie międzywojennym w świetle oficjalnego ustawodawstwa wyznaniowego władz sowieckich*, [w:] *Kościół Katolicki na Syberii. Historia – współczesność – przyszłość*, pod red. nauk. A. Kuczyńskiego, Wrocław 2002, s. 448.

⁶⁰ R. Dzwonkowski SAC, *Kościół katolicki w ZSRR 1917-1939. Zarys historii*, Lublin 1997, s. 64.

⁶¹ A. Patek, op. cit., s. 435.

⁶² Ibidem, s. 435; J. Siedlecki, *Losy Polaków w ZSRR w latach 1939-1986*, Bydgoszcz 1990, s. 305.

⁶³ R. Dzwonkowski SAC, op. cit., s. 64.

ostatecznie pozostano przy 20 osobach, które występowały o zarejestrowanie gminy wierzących. Sytuacja ta trwała do końca istnienia Związku Radzieckiego.⁶⁴ Do obowiązków *Dwacatki* należało wynajęcie służby kościelnej, czyli księdza, chóru, kościelnego – po uprzednim zatwierdzeniu tych osób przez władze. Prowadziło to do tego, że legalnie pracujący ksiądz, mógł swoją posługę pełnić tylko w tej wspólnotie, która go najęła.⁶⁵ Do dalszych obowiązków *Dwacatki* należało ponoszenie wszelkich kosztów związanych z funkcjonowaniem kościoła, takich jak wypłaty dla służby kościelnej, remonty, podatki, opał, zużycie prądu, itd. Wszystko to było opłacane z dobrowolnych ofiar. Jeśli wspólnota nie była w stanie podołać wszystkim zobowiązaniom, był to pretekst dla władz, by zamknąć legalnie działający kościół.⁶⁶

W skład *Dwacatki* wchodziło wybranych dwadzieścia osób, stąd i nazwa – Dwudziestka. Choć członkowie *Dwacatek* rekrutowali się ze wspólnoty wierzących, to jednak ostateczny głos o ich składzie, należał do władz, które miały prawo zatwierdzenia i wykluczenia członków oraz wprowadzanie w jej szeregi swoich ludzi. Należy nadmienić, że księża nie mogli wchodzić w skład *Dwacatek*,⁶⁷ a co za tym idzie nie mogli wpływać na ich działanie. Praktyka życia codziennego i realizacji prawa bardzo często zależała od przychylności władz lokalnych, do obowiązku, których należało wydawanie zgody na legalną działalność parafii. Przykład takiej postawy wrogiej wierze, podaje o. Kaszuba:

Kiedy w jednym z najliczniejszych ośrodków polsko-katolickich w Tainszy zażądano zarejestrowania kaplicy, odpowiedziano brutalną odmową. Delegacja udała się z interwencją do Rady Religijnej w Moskwie. Wówczas tenże sam Wł. Kurojedow oświadczył: „my o was nic nie wiemy!”⁶⁸

W miejscowości Tainsza – wcześniej Krasnoarmiejsk, o której pisze o. Kaszuba, pierwsi wierzący spotykali się w domach prywatnych już po zesłaniu w roku 1936. Po II wojnie światowej z posługą duszpasterską przyjeżdżali tam o. Władimir Prokopiew, a także ks. Władysław Bukowiński. Odpowiadając na usilne prośby miejscowej wspólnoty wierzących do Tainszy przyjechał ks. Józef Kuczyński. Po jego przybyciu w roku 1956, zakupiono dom na przedmieściach, w którym urządzono kaplicę. Choć początkowo działalność księdza była akceptowana, to z biegiem czasu władze nakazały utworzyć *dwacatkę* i zarejestrować wspólnotę wierzących. Mimo powołania komitetu oraz wysyłanych prośb, władze nie chciały zarejestrować wspólnoty w Tainszy, a jednocześnie chciały zamknąć już istniejącą kaplicę. Bez względu na brak rejestracji ks. Kuczyński nadal prowadził swoją posługę duszpasterską do 8. grudnia 1958 r., kiedy to został aresztowany i skazany na siedem lat więzienia. W roku 1963 do Kazachstanu przybył o. Serafin Kaszuba, który swoją działalnością objął także Tainsze. Aresztowany 6. marca 1966 r. został skazany na pięć lat zesłania. Wierni spotykali się w domu Anny Rudnickiej. Mimo prób jej zastraszania, prowadziła wspólne modlitwy, a także katechizowała. To dzie-

⁶⁴ Ibidem, s. 64.

⁶⁵ A. Patek., op. cit., s. 436.

⁶⁶ Ibidem, s. 436.

⁶⁷ Ibidem, s. 435 – 436.

⁶⁸ H. Warachim, op. cit., s. 164; A. Patek, op. cit., s. 186.

ki jej staraniom w latach siedemdziesiątych zakupiono dom z przeznaczeniem na modlitwę. Dzięki staraniom o. Kaszuby, który wrócił do Tainszy oraz po siedemdziesięciu prośbach delegacji, udających się do władz, w roku 1976 udało się zarejestrować dom modlitwy, jednak z zastrzeżeniem, że nie można tam odprawiać nabożeństw pod groźbą zamknięcia domu. Z obawy przed zamknięciem domu modlitwy, wierni nie dopuścili, by była sprawowana w nim Msza święta. Po tych wydarzeniach o. Kaszuba powrócił na Ukrainę. Następni kapłani, którzy przybyli do Tainszy: ks. Karol Piotr Kisielewski, a od roku 1981 o. Jan Paweł Lengua MIC, przyczynili się do rozbudowy domu modlitwy. Użytkali pozwolenie na budowę nowego kościoła, rozpoczynając w połowie 1987 prace przy kopaniu fundamentów pod nową świątynię. Pierwszą mszę świętą odprawiono jesienią 1990 roku, w tym też roku ukończono budowę nowego kościoła w Tainszy.⁶⁹ Za kolejny przykład powstawania legalnego kościoła może posłużyć świątynia św. Józefa w Karagandzie.

Kiedy władze państwowe w 1957 roku zamknęły trzy domy modlitwy, istniejące na terytorium Karagandy, wówczas miejscowa wspólnota wierzących wraz z ks. Władysławem Bukowińskim oraz ks. Bp. Aleksandrem Chirą, wystąpiła do władz o zarejestrowanie wspólnoty katolickiej w Karagandzie. Uzyskanie takiej rejestracji otwierało drogę do budowy kościoła. Po wielu staraniach, 28. stycznia 1977 roku dokonano rejestracji wspólnoty wierzących. Wówczas w dzielnicy Majkaduk kupiono ziemię z myślą przeznaczenia jej na przyszły kościół. Pierwszą Mszę świętą jeszcze w ziemiance, odprawiono 19. marca 1977 r. obierając za patrona przyszłego kościoła św. Józefa. Proboszczem wspólnoty wierzących w Karagandzie był wówczas ks. Albinas Dumblauskas, jezuita przybyły z Litwy. Następnie dokupiono sąsiadującą działkę i w listopadzie 1977 r. położono fundamenty a 20. listopada tegoż roku ks. Bp Chira poświęcił budującą się świątynię. Pierwsza Msza święta została odprawiona 8. września 1978 roku, a uroczysta konsekracja odbyła się 29. czerwca 1980, którą dokonał ks. Bp. Aleksander Chira.⁷⁰

Podobnie wyglądała sytuacja z budową kościoła w miejscowości Szortandy. Kiedy w roku 1956 przyszła pewna odwilż polityczna w Związku Sowieckim i można była w miarę swobodnie przemieszczać się z miejsca na miejsce, mieszkańcy Szortandów zaczęli udawać się do Karagandy oraz do Krasnoarmiejska, aby korzystając z tego, iż przebywali tam księża, uczestniczyć we Mszy św. i przystępować do pozostałych sakramentów. Z biegiem czasu również do Szortandów przybywali księża. Najczęściej w tej miejscowości był o. Alojzy Kaszuba oraz o. Aleksander Beń. Stało się to motywacją dla wierzących mieszkańców, aby kupić jakiś budynek z przeznaczeniem na dom modlitwy. Uczyniono tak 1957 roku. Tego samego roku władze państwowe dom ten zarekwirowały i przeznaczyły na bibliotekę.

Przez kolejne dwadzieścia lat wierzący ponownie gromadzili się potajemnie na wspólnej modlitwie w swoich prywatnych domach. Podejmowano jednocześnie starania u władz o rejestrację wspólnoty wierzących z możliwością budowy kościoła. Dopiero w roku 1978 otrzymano zgodę na rejestrację wspólnoty, zakupiono wtedy dom przy ul. Oktjabrskiej 62 z przeznaczeniem na

⁶⁹ <http://catholic-kazakhstan.org/Tainscha/Pl/index.htm>, stan na dzień 14.07.2015

⁷⁰ <http://catholic-kazakhstan.org/karaganda/index.htm>, stan na dzień 14.07.2015

kaplicę. Od tego momentu prowadzono prace, aby kupiony budynek przystosować do roli kościoła. Uroczyste poświęcenie kościoła w Szortandach odbyło się 1993 roku, a dokonał go abp Henryk Muszyński Metropolita Gnieźnieński, proboszczem parafii Szortandy był wówczas ks. Tadeusz Krzemiński.⁷¹

Nawiązując do roli *Dwacatek* i ich znaczenia dla funkcjonowania legalnie zarejestrowanych parafii, można prześledzić to na podstawie protokołów z zebrań Kościelnej Rady wspólnoty katolików w Karagandzie. Parafia została zarejestrowana, jak było to wspomniane 28. stycznia 1977 roku i od tego czasu zaczęto spisywać protokoły z kolejnych posiedzeń Rady. Zgodnie z przepisami, do obowiązków *Dwacatki* należało utrzymanie kościoła jako budynku z dokonywaniem wszelkich opłat jak podatki, wypłaty dla pracowników, opłaty za prąd, wypłacanie zasiłku chorobowego dla księży, wnoszenie opłat na Fundusz Pokojuczy też Fundusz Ochrony Zabytków (obie opłaty były obowiązkowe dla każdej parafii), a także zatrudnianie wszelkich potrzebnych do funkcjonowania parafii pracowników. W protokołach znajdujemy więc decyzję o zatrudnieniu, stróżów, palaczy, sprzątaczek, praczek, jak również księży. Do obowiązku Komitetu należało zgłosić zatrudnione osoby w odpowiednim urzędzie.⁷² Sam skład *Dwacatek* z różnych przyczyn, czy to wyprowadzenia się do innych miejscowości, czy też rezygnacji z innych przyczyn, często ulegał zmianie, a zgodnie z wymogami prawa musiało w komitecie być co najmniej 20 osób, dlatego w Karagandzie postanowiono, aby liczna Komitetu była większa niż 20 osób, co miało ułatwić w przyszłości załatwianie wszelkich formalności prawnych. Do obowiązków *Dwacatki* należało również rozstrzyganie wszelkich skarg jakie wpływały ze strony osób wierzących, a dotyczyły członków komitetu. Po rozpatrzeniu danej sytuacji podejmowano decyzję, co osoba oskarżona ma zrobić.⁷³ Innym zadaniem przed którym stanęła *Dwacatka* w Karagandzie, była prośba Ukraińców (greko-katolików) o włączeniu ich do wspólnoty katolickiej, działającej w Karagandzie jednocześnie z prośbą, aby w niedziele i uroczystości, liturgia dla nich była sprawowana w języku ukraińskim albo starosłowiańskim. Wyrażono zgodę na przyjęcie ich do wspólnoty katolickiej jednocześnie „zatrudniono” dla ich potrzeb dwóch księży greko-katolickich, którzy przebywali na terenie Karagandy mianowicie ks. Józefa (Mikołaja) Szabana i ks. Stefana Priszłaka. Zastrzeżono jednak, że ostateczną decyzję muszą podjąć organy państwowe ds. wyznań (30. grudnia 1982 roku podjęto decyzję o rejestracji w urzędzie ds. wyznani wymienionych kapłanów

⁷¹ <http://catholic-kazakhstan.org/szort/index.htm> , stan na dzień 14.07.2015

⁷² Por. *Протоколы двадцатки* nr. od 2 do 71 <http://catholic-kazakhstan.org/Archiv/dwacatka.html> stan na dzień 09.09.2015.

⁷³ Por. *Протокол № 1* nr 24 http://catholic-kazakhstan.org/Archiv/Protokoly/Document_PDF/Protokol1_1980_01_13.pdf stan na dzień 09.09.2015; Rozpatrywano również przypadek samowolnego wyjazdu jednego z członków komitetu do okolicznych wsi, podczas których dokonywał on bez jakichkolwiek uprawnień czynności liturgiczne, ponadto zbierał od wiernych pieniądze na cele religijne, z których się nie rozliczał. Było to o tyle niebezpieczne, iż takie postępowanie mogło doprowadzić do zamknięcia legalnej parafii w Karagandzie. W późniejszym czasie stwierdzono, że człowiek ten ma schizofrenię. Por. *Протокол № 4* nr 33 http://catholic-kazakhstan.org/Archiv/Protokoly/Document_PDF/Protokol4_1980_08_5.pdf stan na dzień 09.09.2015

oraz ks. Aleksandra Chirę).⁷⁴ Zajmowano się także problemem rozbudowy istniejącego kościoła, co związane było ze zgodą władza, a ta odkładała decyzję na czas późniejszy, był to rok 1984.⁷⁵ Pierwsze próby rozpoczęto w 1981 roku, gdy zgodzono się na przyjęcie greko-katolików do wspólnoty katolickiej. Z protokołu dowiadujemy się, że 20. sierpnia 1985 wezwano księży Szabana i Priszłaka oraz proboszcza ks. Dumblauskasa do wydziału spraw religijnych i zabroniono im (ks. Szabanowi i Priszlakowi) posługiwać w kościele katolickim dopóki nie złożą oświadczenia, że będą sprawować obrzędy w rycie rzymsko-katolickim.⁷⁶ Na posiedzeniach *Dwacatki* zastanawiano się również, jak postarać się o księdza, który lepiej zaspokoi potrzeby duchowe miejscowej wspólnoty. Sprawa dotyczyła dwóch księży pochodzących z Karagandy, a mianowicie ks. Josepha Szmidtlajna i Antona Bergera.⁷⁷ Sytuacja ta nastąpiła po śmierci ks. Dumblauskasa.

Podsumowując można powiedzieć, że powstawanie legalnych parafii wiązało się jednocześnie z tworzeniem struktur, które odpowiedzialne były przed organami państwowymi za to wszystko, co działa się w danej wspólnocie. Jak było to już powiedziane parafie traktowane były jak stowarzyszenia ze swoimi władzami, komisjami wykonawczymi, księgowością, itp. Starano się jak najbardziej odsunąć duchownych od możliwości wpływania na życie parafii, pozwalając im tylko być zatrudnionymi w danej wspólnocie i to za zgodą *Dwacatki*, oraz za potwierdzeniem urzędnika do spraw wyznań. O ile po części *Dwacatkę*, można przyrównać do Rady Parafialnej w naszym rozumieniu jako organu pomocniczego w funkcjonowaniu parafii, o tyle w systemie państwa sowieckiego miała ona być narzędziem, umożliwiającym stosownym władzom wpływania i kontrolowania tego, co dzieje się w parafii choćby i przez to, że działalność wspomniane *Dwacatki*, w tym i księgowość, poddawana był regularnym kontrolom przez państwowe komisje. Należy jednak stwierdzić, iż prawo pozwalające rejestrować *Dwacatki*, przyczyniło się do rozwoju życia religijnego mieszkańców Kazachstanu, a także, choć z dużymi utrudnieniami ze strony władz, otworzyło możliwość budowania kościołów i kaplic.

4. Udzielanie sakramentów i jego wpływ na poznawania i rozwój wiary

W pierwszych latach zesłania, życie sakramentalne deportowanych w roku 1936 i latach czterdziestych XX w., było bardzo ograniczone. Brak kapłanów sprawiał, że jedynym sakramentem był chrzest z wody, udzielany przez świeckich. Choć nie odbywało się to na szeroką skalę, to jednak we wspomnieniach zesłańców możemy znaleźć o tym informacje. Również ludność miejsco-

⁷⁴ Por. *Протокол № 7* nr 37 http://catholic-kazakhstan.org/Archiv/Protokoly/Document_PDF/Protokol7_1981_03_08.pdf; *Протокол № 11* nr 45 http://catholic-kazakhstan.org/Archiv/Protokoly/Document_PDF/Protokol11_1982_12_30.pdf stan na dzień 09.09.2015.

⁷⁵ Por. *Протокол* nr 55 http://catholic-kazakhstan.org/Archiv/Protokoly/Document_PDF/Protokol_1984_12_02.pdf stan na dzień 09.09.2015.

⁷⁶ Por. *Протокол* nr 62 http://catholic-kazakhstan.org/Archiv/Protokoly/Document_PDF/Protokol_1985_08_31.pdf stan na dzień 09.09.2015.

⁷⁷ Por. *Протокол* nr 74 http://catholic-kazakhstan.org/Archiv/Protokoly/Document_PDF/Protokol_1991_01_20.pdf stan na dzień 09.09.2015

wa, wiedziała, do kogo ma się zwrócić w sprawie chrztu swoich dzieci.⁷⁸ Zwracano się do osób, które widziano, że modlą się gorliwie z prośbą o udzielenie sakramentu chrztu i choć one same mówiły, że powianiem tego sakramentu ksiądz, to jednak ze względu na istniejącą sytuację podejmowały się tej posługi.⁷⁹ Możemy też przeczytać w relacjach zesłańców taki opis:

Mama poprosiła o garnuszek z czystą wodą, kawałek chleba i soli. Zrobiła krzyżyk z dwóch gałązek i wetknęła go w chleb. Na nim powiesiła różaniec. Po tych przygotowaniach rozpoczęła odmawianie modlitwy. Zarówno my jak i domownicy klęczeliśmy modląc się. Okazało się, że nawet nie zauważyliśmy, jak do izby przyszło jeszcze dwoje dzieci. Był to chrzest zbiorowy. Mama posypywała solą dzieciom główki odmawiając słowa: Chrzczę cię w imię Ojca i Syna i Ducha św. Amen.⁸⁰

W innej relacji możemy przeczytać, jak sam przewodniczący kołchozu prosił zesłańców o chrzest swojego chorego dziecka:

Tymczasem doszli do jego domu, gdzie leżało ciężko chore dziecko. On i jego żona prosili Mamę, żeby to dziecko ochrzciła. Zrobiła to, ale musiała złożyć przysięgę, że nigdy ich tajemnicy nie zdradzi.⁸¹

Również po przeprowadzeniu repatriacji deportowanej ludności z lat czterdziestych XX w., w związku z ciągłym brakiem kapłanów, nadal osobami, które udzielały chrztu z wody byli świeccy. Katolicy niemieccy nazywali ich Nottaufe – były to osoby cieszące się dużym autorytetem w danej miejscowości, najczęściej starsze babcie.⁸² Odnosząc się do wspomnień ks. Bukowińskiego, należy zwrócić jeszcze uwagę, na pewne aspekty duszpasterskie. Gdy na danym terenie znalazł się ksiądz katolicki, przywołując praktykę chrztu z wody dokonywanego przez świeckich, zwracał on uwagę na to, że do końca nie można było stwierdzić ważności dokonywania samego aktu chrztu, dlatego często bywał on udzielany przez kapłana takim osobom warunkowo.⁸³ Kolejnym problemem, który się pojawiał był chrzest dokonywany w Cerkwi Prawosławnej. Nie negując jego ważności, ks. W. Bukowiński zwraca uwagę, na fakt, że w istniejącej sytuacji Państwa Sowieckiego, lepszym rozwiązaniem jest odpowiednie przygotowanie świeckich osób, które udzielałyby chrztu w wypadku braku kapłana, niż odsyłać katolików do „batuszki”. Dzięki temu można uniknąć niebezpieczeństwa indyferentyzmu.⁸⁴ Kolejnym ważnym aspektem, który należy tu przywołać, charakterystycznym dla pracy duszpasterskiej w Kazachstanie, jest sprawa wieku osób, którym udzielano chrztu. Sakramentu tego udzielano nie tylko małym dzieciom, ale także dzieciom w wieku szkolnym, młodzieży oraz dorosłym.⁸⁵

⁷⁸ S. Ciesielski, op. cit., s. 246.

⁷⁹ B. Jaśkiewicz, op. cit., s. 70.

⁸⁰ Ibidem, s. 72-73.

⁸¹ H. Nikiel, op. cit. s. 7.

⁸² Ks. W. Bukowiński, op. cit., s. 91.

⁸³ Ibidem, s. 91.

⁸⁴ Ibidem, s. 92.

⁸⁵ Ibidem, s. 91.

Następnym sakramentem, na jaki zwracają uwagę jego szafarze przebywający w Kazachstanie, jest sakrament pokuty i pojednania. O ile przy udzielaniu chrztu istnieje możliwość, by dokonywały go osoby świeckie, co zresztą miało miejsce, tak w przypadku sakramentu pojednania, jego szafarzem jest tylko i wyłącznie kapłan. Dlatego też konsekwencją braku kapłanów była niemożność korzystania ze spowiedzi św. oraz kilku – bądź kilkudziesięcioletnie odstępy między spowiedziami. Stawało się to wyzwaniem, a zarazem okazją do prowadzenia działalności duszpasterskiej dla kapłanów, którzy docierali do wierzących na terenie Kazachstanu. Kapłan nie tylko szafował sakramentem pokuty lecz także do niego przygotowywał, a następnie prowadził penitenta przez ten sakrament jako kierownik duchowy. Odwołując się ponownie do wspomnień ks. W. Bukowińskiego, możemy prześledzić formułę sprawowania tego sakramentu.

Najznamienitszą osobliwością szafowania sakramentu pokuty w naszej trzeciej zonie jest zachowanie konieczności przyjmowania spowiedzi generalnej z całego życia. Taką generalną spowiedzią jest nie tylko pierwsza spowiedź w życiu. Jeśli ktoś spowiadał się przed 20-tu laty czyż można się przy spowiedzi ograniczyć tylko do tych dwudziestu lat? Czyż nie jest ze wszech miar wskazana spowiedź generalna z całego życia?⁸⁶

Brak obecności kapłana, sprawiał, że każda możliwość skorzystania z tego sakramentu, sprawiała, iż była to spowiedź generalna z całego życia, a jednocześnie mogła okazać się ostatnią w życiu.⁸⁷ Poprzedzona bywała ona nauką, ukazującą znaczenie i sens spowiedzi, a jej przebieg w większości przypadków polegał na zadawaniu pytań przez spowiednika.⁸⁸ W późniejszych latach z pomocą w przygotowaniu do spowiedzi przychodziły katechetki, jak również siostry zakonne, udające się z kapłanami w podróże misyjne i katechizujące.⁸⁹

Spowiednik musi dokładnie wypytać się. Bez pomocy spowiednika nie więcej jak 10 procent spowiadających się potrafi się dobrze wypowiedzieć. Inni bardzo często mówią drobiazgi, a zapominają wyjawiać bardzo poważne grzechy.⁹⁰

Sama spowiedź odbywa się na siedząco z jednej strony z braku konfesjonalu, z drugiej ze względu na jej dłuższy czas. Nie tylko pomoc w wyznaniu grzechów, ale także pouczenie nabierało głębszego znaczenia, gdy weźmie się pod uwagę, że było to pierwsze spotkanie z kapłanem dla wielu osób po dwudziestu, a i nawet czterdziestu latach.⁹¹ Jak wspomina ks. Bukowiński, który przybył do Karagandy w 1954 roku, przed nim nie było tam żadnego kapłana, który mógłby szafować sakramentami.⁹² Przy okazji spowiedzi świętej, sakramentem, który był udzielany było namaszczenie chorych. Jako, że dla starszych

⁸⁶ Ibidem, s. 92.

⁸⁷ Ibidem, s. 93.

⁸⁸ Ibidem, s. 92.

⁸⁹ H. Strzelecka SJE, *Śłużebnice Jezusa w Eucharystii na terenach Związku Radzieckiego w latach 1945-1991*, Warszawa 1994, s. 54

⁹⁰ ks. W. Bukowiński, op. cit., s. 92.

⁹¹ Ibidem, s. 92-93.

⁹² Ibidem, s. 92.

osób była to jedyna okazja spotkania z kapłanem, a zarazem nie było pewności, że doczekają kolejnej takiej możliwości, dlatego udzielany był im sakrament chorych.⁹³

Mówiąc o sakramencie małżeństwa, również należy brać pod uwagę warunki Kazachstanu, jak i całego Państwa Sowieckiego. Brak kapłana sprawiał, że małżeństwa zawierane były tylko wszędzie stanu cywilnego i dopiero po przybyciu kapłana, były one błogosławione. W środowisku niemieckich katolików często miało miejsce tzw. „Nottraung”. Narzeczeni składali sobie przysięgę ślubną wobec dwóch świadków. Po przyjeździe kapłana do danej miejscowości, gdzie przebywali małżonkowie, spowiadali się i przyjmowali uroczyste błogosławieństwo powagą Kościoła katolickiego.⁹⁴ Zdarzało się również, że małżonkowie zostali przed weselem tylko pobłogosławieni przez rodziców obrazem, ale nie towarzyszyła temu żadna przysięga.⁹⁵ Przygotowując narzeczonych do ślubu, ks. Bukowiński, nie tylko ukazywał istotę sakramentu małżeństwa, lecz także przekazywał główne prawdy wiary oraz przygotowywał do spowiedzi świętej, tym bardziej było to uzasadnione, że dla wielu spowiedź przedślubna była pierwszą spowiedzią w życiu.⁹⁶ Tak przygotowanych narzeczonych błogosławił podczas sakramentu małżeństwa.

Kolejnym sakramentem, który przekazywał i utrwał wiare, był Najświętszy Sakrament. Msza święta sprawowana była w miarę możliwości w sposób uroczysty ze śpiewami, lecz zagrożenie wykryciem przez władze i aresztowaniem, nie zawsze pozwalało na taką formę celebracji. Jeżeli w jakimś miejscu msza była sprawowana rano i wieczorem, wówczas Najświętszy Sakrament przez cały dzień zostawał wystawiony do publicznej adoracji.⁹⁷ Komunia święta udzielana była podczas Eucharystii, ale zdarzały się przypadki, że również poza mszą świętą wierni mogli przyjmować Ciało Pańskie.⁹⁸ Charakterystycznym zjawiskiem, które można zauważyć w Kazachstanie było szafowanie komunii świętej bez udziału kapłana,⁹⁹ nazywane przez katolików niemieckich „Selbstkomunion”. Księża przyjeżdżający do jakiejś miejscowości, po odprawieniu Mszy św. pozostawiali Najświętszy Sakrament, a ktoś z miejscowej wspólnoty później udzielał go zebrany. Praktyka ta, według wspomnień ks. W. Bukowińskiego, uważana była za naganną.¹⁰⁰ On sam, jak również ks. Chira, zostawiając Najświętszy Sakrament, sami ustalali, kto może go przyjmować.¹⁰¹ Zdarzały się wypadki, że jako Komunię świętą rozdawano zwykle opłatki, które otrzymano pocztą, bądź też z braku kapłana, przyjmowano Komunię świętą bez wcześniejszej spowiedzi.¹⁰²

Mówiąc o Najświętszym Sakramencie, warto zwrócić szczególną uwagę na przygotowanie do I Komunii świętej i spowiedzi. Przygotowanie to obejmo-

⁹³ Ibidem, s. 92.

⁹⁴ Ibidem, s. 93-94.

⁹⁵ Ibidem, s. 94; S. Ciesielski, op. cit., s. 246.

⁹⁶ Ks. W. Bukowiński, op. cit., s. 93.

⁹⁷ Ibidem, s. 95.

⁹⁸ Ibidem, s. 95.

⁹⁹ Ibidem, s. 95.

¹⁰⁰ Ibidem, s. 95.

¹⁰¹ Ibidem, s. 96.

¹⁰² Ibidem, s. 96.

wało dzieci i młodzież, jak również osoby dorosłe, szczególnie przygotowujące się do zawarcia sakramentu małżeństwa.¹⁰³ O przygotowaniu dzieci i młodzieży ks. W. Bukowiński napisał w swoich wspomnieniach:

W Karagandzie przygotowanie dzieci i młodzieży do I Komunii św. przeprowadzam podczas wakacji letnich. Przeciętna grupa składa się z 10-15 osób, w wieku co najmniej 9 lat, ale z rzadka bywają grupy trochę liczniejsze, składające się z 20-25 dzieci. Dzieci niemieckie najpierw chodzą do katechetki, a jest ich kilka w Karagandzie, która przerabia z nimi przede wszystkim materiał pamięciowy, a potem dopiero przychodzą do mnie. Dzieci polskie przychodzą od razu do mnie, bo nie ma dla nich katechetki, ale ja sam uczę je zwykle o dwa dni dłużej niż dzieci niemieckie.¹⁰⁴

Podczas przygotowania do I Komunii, tak wobec dzieci jak i dorosłych, ks. Bukowiński, podejmował następujące tematy: 1. Bóg; 2. Jezus Chrystus; 3. Kościół Katolicki; 4. Żywoty świętych; 5. Spowiedź; 6. Komunia św.¹⁰⁵ Samo przygotowanie i uroczystość I Komunii obejmowało całą rodzinę, dlatego również matki dzieci otrzymywały następujące wskazania:

1) wciąż na nowo przypominać dziecku, że przyjęło w Komunii św. Pana Jezusa, bo inaczej dziecko zapomni o tym, 2) dzień po dniu pilnować, żeby się wszystkie dzieci w rodzinie modliły systematycznie rano i wieczorem, a w Karagandzie przynajmniej raz w roku spowiadały się i komunikowały. Bardzo zalecam familijną modlitwę wspólną każdego wieczoru, 3) pomagać dziecku do poprawy, nie rугać, nie bić, ale umieć mówić do sumienia, jak trzeba zawstydić [...], a jak można to pochwalić, nawet podziękować.¹⁰⁶

Poza miejscem stałego przebywania kapłana, przygotowanie odbywało się w krótszym czasie, a wiek dzieci przygotowywanych do Komunii świętej i spowiedzi wynosił co najmniej dziesięć – jedenaście lat.¹⁰⁷ Po przybyciu siostr zakonnych na teren Kazachstanu, poczynając od lat sześćdziesiątych XX wieku¹⁰⁸, również siostry włączyły się w przygotowanie dzieci i dorosłych do I komunii świętej oraz pozostałych sakramentów. Udzielanie sakramentu bierzmowania, również poprzedzone było czasami krótkim przygotowaniem. Jak wspomina ks. Bukowiński, nie chciał brać na swoje sumienie szafowania tego sakramentu bez żadnego przygotowania.¹⁰⁹

5. Pogrzeby możliwością zmanifestowania wiary

Swoistą możliwością zmanifestowania wiary dla zesłańców, znajdujących się w Kazachstanie, stały się pogrzeby. Podczas drogi na zesłanie, jeśli w wagonie zmarła jakaś osoba, jej pochówek ograniczał się tylko do wyniesienia ciała z wagonu i pogrzebania go w niedalekiej odległości od torów, jeśli wyrazili na to zgodę żołnierze NKWD.¹¹⁰ Po dotarciu już na miejsce zesłania,

¹⁰³ Ibidem, s. 97; S. Ciesielski, op. cit., s. 246.

¹⁰⁴ Ks. W. Bukowiński, op. cit., s. 98.

¹⁰⁵ Ibidem, s. 98.

¹⁰⁶ Ibidem, s. 99.

¹⁰⁷ Ibidem, s. 100.

¹⁰⁸ <http://www.catholic-kazakhstan.org/makinsk/index.htm> stan na dzień 13.05.2008; <http://www.catholic-kazakhstan.org/Atyrau/Ru/index.htm> stan na dzień 19.05.2008

¹⁰⁹ Ks. W. Bukowiński, op. cit., s.100.

¹¹⁰ S. Ciesielski, op. cit., s.17.

wejście w misterium śmierci najbliższych, stawało się wielkim przeżyciem, ale także możliwością zmanifestowania swojej wiary oraz poczucia wspólnoty przez modlitwę. Wspominając jedną z takich okoliczności autorka pisała:

Przy jego śmierci zebrała się nas grupa Polaków. Modliliśmy się odmawiając litanie do Wszystkich Świętych, przy wezwaniu: św. Wincenty, pan Wincenty Garwoliński, oddał ducha Bogu.¹¹¹

Okazywanie szacunku wobec zmarłych jednoczyło nie tylko Polaków ale i Rosjan, którzy przychodzili by wspólnie modlić się za umarłego. Również sam pogrzeb stawał się momentem łączącym przybywających na zesłanie Polaków oraz mieszkającej tam ludności. Obrzęd kończono słowami modlitwy, takiej jak np. „Anioł Pański”.¹¹² Największym przeżyciem była nie tylko pierwsza śmierć, ale i pogrzeb, dotykająca deportowanych, znajdujących się na „niehumanitarnej ziemi”. Stawała się ona swoistym przesłaniem ukazującym, jaki los może czekać ich z dala od Ojczyzny.¹¹³ Doświadczenie śmierci, choć przeżywane z dala od rodzinnego domu i wywołujące ból i tęsknotę za ojczystą ziemią, stawało się także czasem modlitwy. Jedną z takich sytuacji obrazuje wyznaniem autorki, która patrząc na zmarłego zaczęła płakać:

nad swoim losem, nad losem rodziców, nad zmarłym. Wszak był to pierwszy bliższy mi Polak, który zmarł w północnym Kazachstanie, z dala od ziemi ojczystej.¹¹⁴

Pierwszym pochówkom starano się zapewnić jak najbardziej uroczysty charakter i oprawę, co przyciągało także miejscową ludność.¹¹⁵ Jednak z bieżem czasu, gdy śmierć zesłańców stawała się coraz bardziej czymś powszechnym, również zmieniała się oprawa uroczystości pogrzebowych, stając się coraz bardziej skromną. Związane było to z coraz mniejszymi możliwościami materialnymi zesłańców. Jednak zawsze obrzędowi tym, towarzyszyła wspólna modlitwa za zmarłego.¹¹⁶ Modlitwa ta łączyła się jednocześnie z żalem spowodowanym brakiem kapłana, który przewodniczyłby liturgii pogrzebowej. Mimo tych braków nabożeństwa pogrzebowe ciągle były miejscem wspólnej modlitwy oraz zmanifestowaniem swojej wiary. Kiedyś

Polacy zasypali doczesne szczątki Mariana ziemią kazachstańską. Płakali wszyscy. Płakali, że został pochowany bez księdza, w szczerym polu, pod krzyżem zbitym topornie z przegniłych desek.¹¹⁷

Kolejnym problemem, z jakim borykali się „nowi” mieszkańcy kazachstańskich stepów, a związanym z pogrzebem, był ubiór dla zmarłego oraz zdobycie niezbędnego materiału na trumnę. W pierwszym okresie, tak jak to było w zwyczaju wywiezionym z kraju, starano się ubrać osobę zmarłą w jak najlepszy, odświętny strój.¹¹⁸ Jeden z rodaków gdy trzeba było pochować zmarłego

¹¹¹ J. Stefanik, op. cit., s. 6.

¹¹² Ibidem, s. 14.

¹¹³ S. Ciesielski, op. cit., s. 242.

¹¹⁴ W. Niezgoda-Górska, op. cit., s. 32.

¹¹⁵ S. Ciesielski, op. cit., s. 244.

¹¹⁶ Ibidem, s. 244.

¹¹⁷ W. Niezgoda-Górska, op. cit. s. 33.

¹¹⁸ S. Ciesielski, op. cit., s. 245.

Przynosi z Komitetu Polskiego na wieczny spoczynek dla niego białe ubranie w różowe paseczki, pończoszki, brązową aksamitną czapeczkę, prześcieradło i kilka cieniotkich deseczek ze skrzynki, w których przychodzą dary, oraz 100 rubli na koszt pogrzebu.¹¹⁹

Dość szybko jednak zrezygnowano z takiej odzieży. Ubrania stanowiły przedmiot handlu wymiennego i często stanowiły o przeżyciu pozostałych członków rodziny. Chowano, więc zmarłych w ich codziennych ubraniach, choć bardzo często były to strzępy przypominające już tylko ich dawny wygląd.¹²⁰ Problemem, z jakim zmagali się zesłańcy, starający się zapewnić godny pochówek swoim najbliższym, było zdobycie materiału na trumnę. Biorąc pod uwagę, że zesłańcy przebywali w rejonach Kazachstanu, których przyroda charakteryzowała się środowiskiem pustynnym bądź stepowo-pustynnym, zdobycie drewna było czymś niezwykle trudnym. Otrzymanie desek i gwoździ również wymagało zgody i przydziału ze strony miejscowej władzy. Niekiedy na materiał służący do zbiccia trumny brano deski z pryczy, czy też deski z budynków.¹²¹ W jednej z relacji czytamy, że w:

Zujowce nie było drzew, nie było i drewna, z którego można by wykonać trumnę. Miłosierny gospodarz, za prześcieradło wyrwał kilka desek ze ścian stajni. Polak, stolarz, zbił trumnę.¹²²

W innym znowu wspomnieniu możemy przeczytać:

Przechodzę przez podwórze siedziby Komitetu i spostrzegam, że leży tu bardzo dużo porozrzucanych, porozbijanych skrzyneczek drewnianych po darach z różnych stron świata, jeszcze z widocznymi napisami. Pomyślałam, że kilka takich skrzyneczek może wystarczyć na wieczne łóżeczko dla Jędrusia.¹²³

Zdarzały się jednak wypadki, że nie udało się zdobyć żadnego materiału na trumnę, wtedy zwłoki zmarłego owijano w prześcieradło, albo stary koc, by tak je pochować.¹²⁴ Kiedy nawet i tych materiałów nie było, ciało owinięte w maty zawożono na wypożyczonym wózku na cmentarz i tam je chowano.¹²⁵ Można znaleźć i takie relacje, które wprost stwierdzają, że z braku desek zmarłych chowano bez trumny bezpośrednio w ziemi.¹²⁶ Niekiedy w skrajnych przypadkach, kopano dół o głębokości półtora do dwóch metrów i podkopywano jedną ścianę, by utworzyć specjalną niszę, w której składano zwłoki, dzięki temu piasek nie zasypywał bezpośrednio chowanego ciała.¹²⁷ Czasami dochodziło i do takich sytuacji, gdy grób był płytki ze względu na pośpiech przy jego kopaniu, iż ciało podmyte przez wodę znajdowało się na powierzchni ziemi, o czym pisze jedna z autorek:

¹¹⁹ B. Piotrowska-Dubik, op. cit., s. 193.

¹²⁰ S. Ciesielski, op. cit., s. 245.

¹²¹ Ibidem, s. 245.

¹²² W. Niezgoda-Górska, op. cit., s. 32.

¹²³ B. Piotrowska-Dubik, op. cit. s. 194.

¹²⁴ S. Ciesielski, op. cit., s. 245.

¹²⁵ A. Rafałowska-Wrzošek, *Wspomnienia*, PTL Wrocław, 54/s, s. 32.

¹²⁶ J. Lewkowicz, *Moje przeżycia w Kazachstanie w latach 1940-46. Wschodnie losy Polaków*, (AN PTL) sygn., 56/s, s. 12.

¹²⁷ S. Ciesielski, op. cit., s. 245.

Rano niewyspani i zziębnięci zobaczyliśmy z przerażeniem, że poziom wody w rzece podniósł się na, tyle, że zwłoki staruszki z trudem zagrzebane rękami poprzedniego dnia znalazły się na powierzchni. Głębokiego dołu nie było, czym wykopać.¹²⁸

Kolejnym problemem była zima, która skuwała ziemię na skałę. Powodowało to, że groby były bardzo płytkie. Czasami grzebano ciała w śniegu, a dopiero wiosną zakopywano w ziemi, gdy udało się je odnaleźć.¹²⁹ Innym razem możemy znaleźć w relacjach opis mówiący, że dzieci kopały grób na cmentarzu lecz zamrożona ziemia sprawiała iż był on bardzo płytki.¹³⁰

Zgodnie z wiarą i tradycją, starano się mogiły zmarłych oznaczać symbolami religijnymi, czyli krzyżem, by przez ten znak nie tylko zaznaczyć miejsce pochówku, lecz również, by złożyć przez to wyznanie wiary. Mimo problemów ze zdobyciem materiałów na wykonanie trumny, starano się, by wystarczyło ich jednak na wykonanie prostego krzyża zbitego choćby z dwóch desek.¹³¹ Niekiedy dopiero pierwsze groby zesłańców i umieszczone na nich krzyże, zaznaczały istniejące już i zapomniane zarazem miejscowe cmentarze.¹³² Do wyjątkowych sytuacji należało, gdy krzyż udało się zrobić z solidniejszego materiału niż z desek i to przegnitych¹³³: „Jeden z Polaków pracował w kuźni i tam udało mu się zrobić żelazny krzyż.”¹³⁴ Bywało jednak i tak, że miejsce pochówku zaznaczano jedynie krzyżem ułożonym z kamieni.¹³⁵

Mimo troski deportowanych o religijne zaznaczenie miejsca wiecznego spoczynku ich najbliższych, zdarzało się, że „nieznani sprawcy” usuwali bądź niszczyli krzyże. Z jednej strony dokonywało się to na polecenie władz, które nie życzyły sobie symboli religijnych w ateistycznym państwie, z drugiej zaś padały one łupem zbieraczy wszystkiego, co może się przydać na opał.¹³⁶ Prowadziło to czasami do sytuacji, że sama rodzina w obawie przed zbezczeszczeniem, nie stawiała żadnych symboli religijnych.¹³⁷

Po repatriacji deportowanych w latach trzydziestych XX wieku, pozostali katolicy nadal starali się przez obrzędy pogrzebowe podtrzymywać swoją tożsamość religijną. Choć znów doskwierał brak kapłanów, to jednak modlitwa towarzyszyła ostatniej drodze wierzących. Ks. Bukowiński opisał to następująco:

Księża nie biorą udziału ani w weselach, ani w pogrzebach na cmentarzu. Święcimy nieraz mogliśmy, ale nie na pogrzebach. W Karagandzie ksiądz zazwyczaj odprawia uroczystą Mszę pogrzebową wraz z odśpiewaniem *Libera me Domine* w domu przy zwłokach. Jeżeli tylko czas pozwala na spowiedź, cała rodzina podczas Mszy św. pogrzebowej przyjmuje Komunię św. Na cmentarzu pogrzeb udają się bez księdza, ale i Niemcy i Polacy sprawują pogrzeb chrześcijański z modlitwami i pieśniami żałobnymi. [...] Na mogile stawiają zawsze

¹²⁸ J. Lewkowicz, op. cit., s. 10.

¹²⁹ S. Ciesielski, op. cit., s. 246.

¹³⁰ B. Piotrowska-Dubik, op. cit., s. 195.

¹³¹ Ibidem, s. 195.

¹³² W. Niezgoda-Górska, op. cit., s. 33.

¹³³ Ibidem, s. 33.

¹³⁴ J. Stefanik, op. cit., s. 14.

¹³⁵ A. Rafałowska-Wrzošek, *Wspomnienia*, (AN PTL), sygn. 54/s; s. 32.

¹³⁶ S. Ciesielski, op. cit., s. 244.

¹³⁷ Ibidem, s. 244.

krzyż choć nieraz bywa agitacja, by postawić słupek z gwiazdą, a w zamian zapłacą za pogrzeb.¹³⁸

Niekiedy zdarzało się, że jednocześnie umieszczano krzyż i gwiazdę, lecz należało to do wyjątków.¹³⁹ O ile w miejscowościach, gdzie znajdował się kapłan, można było odprawić Mszę św. pogrzebową, to w większości skupisk wierzących cały obrzęd odbywał się bez udziału kapłana.¹⁴⁰ Czasami jednak bywało, że ksiądz uczestniczył w pogrzebie, jak miało to miejsce w wypadku pogrzebu męża Marianny Beker, która przyjęła do swojego domu ks. Bukowińskiego po jego wyjściu z więzienia.¹⁴¹ Swoistą manifestacją wiary, stał się pogrzeb ks. Władysława Bukowińskiego, który miał miejsce w grudniu 1974 roku. W pogrzebie brało udział około dziesięciu kapłanów. W drodze na cmentarz w Karagandzie brali udział zarówno Polacy, jak i Niemcy, wierzący i niewierzący. Każdy, kto zetknął się z ks. Bukowińskim i miał możliwość, uczestniczył w uroczystościach pogrzebowych.¹⁴² Podobnego znaczenia nabrał pogrzeb ks. biskupa Aleksandra Chiry, który odbył się 30 maja 1983 roku. Wzięło w nim udział 15 księży oraz duża liczba wiernych. Po uroczystej Mszy św. pogrzebowej, w procesji wyniesiono trumnę ks. Biskupa, by złożyć ją w grobie znajdującym się przy ścianie kościoła św. Józefa w Karagandzie.¹⁴³

Należy wspomnieć jeszcze o reakcji organów państwowych na pogrzeby o charakterze religijnym. Władze ze swojej strony, zdając sobie sprawę, iż dla wierzących pogrzeb jest okazją do zmanifestowania swojej przynależności do kościoła i wiary, starały się to utrudnić. Zakazywano procesji z pieśniami i modlitwami. Nie dopuszczano by jakiegokolwiek zewnętrzne znaki wyrażały, że jest to pogrzeb osoby wierzącej dla tego zakazywano niesienia krzyża i chorągwi. Za nie przestrzeganie tych zakazów nakładano kary.¹⁴⁴

Podsumowując można stwierdzić, że choć samo doświadczenie śmierci na obcej ziemi było szczególnie bolesnym doświadczeniem dla wierzących mieszkańców Kazachstanu, to jednak obrzędy religijne towarzyszące ostatniej drodze zmarłego, nie tylko stawały się źródłem nadziei dla wierzących, ale także były wyrazem i manifestacją przywiązania do wiary ojców wbrew panującej ateizacji i próbom odebrania charakteru religijnego wszelkim obrzędom, towarzyszącym życiu i śmierci człowieka sowieckiego.

Postawa zesłańców, którzy zabrali ze sobą wiarę, przyczyniła się do rozwoju Kościoła katolickiego w Kazachstanie. Mimo wielu prześladowań, na jakie byli narażeni zarówno duchowni, jak i wierzący świeccy, wiary przekazywana była z pokolenia na pokolenie. Dzięki prostym słowom codziennej modlitwy, jak również, wspólnemu oddawaniu czci Bogu, w domach prywatnych, wymodlono przybycie księży na ziemię zesłania. Działalność duchownych oraz

¹³⁸ Ks. W. Bukowiński, op. cit., s. 101.

¹³⁹ Ibidem, s. 101.

¹⁴⁰ Wywiad z siostrą Eucharystką z Karagandy, s. 2, manuskrypt w zbiorach autora.

¹⁴¹ Ibidem, s. 2.

¹⁴² Ks. W. Bukowiński, *Spotkałem człowieka*, Biały Dunajec- Ostróg 2001, s. 75-77.

¹⁴³ Czasopismo „Kredo”, wydawane w Karagandzie, październik 2002, s. 12.

¹⁴⁴ В. Поплавский, *Краткий обзор истории Католической Церкви в Акмолинской (Целиноградской) области Казахстана 1936-1995 гг.*[w:] *Земные десятилетия Часть 3*, Астана 2009, s. 18.

zaangażowanych wiernych przyczyniła się także do wydania powołań kapłańskich i zakonnych z rodzin zesłańców. Po odzyskaniu niepodległości przez Kazachstan, to właśnie podziemne i wystawione na represje trwanie Kościoła katolickiego sprawiło, że mógł się on odrodzić i rozwijać już w sposób legalny, czego przykładem jest zarówno podpisanie porozumienia między Kazachstanem a Stolicą Apostolską, jak również wizyta Ojca Świętego Jana Pawła II oraz utworzenie struktury administracyjnej z metropolią i diecezjami.



Krzyż na Sopce Wołyńskiej w Kazachstanie.
Fot. z arch. Sióstr Karmelitanek w Oziernoje

ANNA MILEWSKA-MŁYNIK

LOSY TEODOZJI LISIEWICZ – SŁYNNIEJ CIOTKI BAŃDZIUCHOWEJ Z „WESOŁEJ LWOWSKIEJ FALI”

Teodozja Lisiewicz była gwiazdą, ale nie kina czy telewizji, lecz radia. Dziś mało kto go słucha, jednak przed wojną ulubione audycje zyskiwały dziesiątki zwolenników. Rodowity Lwowianin, autor kilku znakomitych książek o tym mieście Witold Szolginia pisał, jak wówczas odbierano „Wesołą Lwowską Falę”:

W miastach pustoszały lokale rozrywkowe, restauracje, kawiarnie, a nawet kina i teatry. Z tysięcy nadsyłanych do lwowskiej rozgłośni listów twórcy tej lubianej i popularnej audycji dowiadawali się, że również w prywatnych domach po godzinie dziewiątej przerywano wszelkie domowe zajęcia, a często także przyjęcia towarzyskie, aby skupić się przy odbiornikach radiowych i nasycić kolejną „Wesołą Lwowską Falą”¹.

Obliczano, że w niedzielę zasiadało przed odbiornikami 6 milionów słuchaczy, czyli jedna szósta ludności Polski i 50% wszystkich mieszkańców miast. Rekord ten nie został pobity prawdopodobnie do dzisiaj.

Teodozja Lisiewicz urodziła się we Lwowie 25 grudnia 1903 roku, choć ta data, najczęściej podawana, nie jest zupełnie pewna. Według Czesława Halskiego przysłała na świat 28 stycznia 1897 r. W dokumentach archiwalnych figuruje jeszcze 1905 rok. O jej dzieciństwie i wczesnej młodości niewiele wiemy. Była córką Zygmunta Lisiewicza, adwokata i Eugenii z Kubickich. W 1922 roku ukończyła Gimnazjum Sióstr Niepokalanek w Jarosławiu, w późniejszych latach kształciła się podobno w studiu teatralnym W. Siemaszkowej we Lwowie. Dziś mało kto pamięta tę popularną aktorkę radiową, która przez kilka lat zabawiała słuchaczy rolą dobroduszej ciotki rodem z Łyczakowa. Zwięzłą charakterystykę jej losów podał Piotr Lisiewicz, pisząc na stronie internetowej:

Przed wojną była gwiazdą Lwowskiej Fali, genialną odtwórczynią ról pyskanych przekupek i służących. Jako dramaturgowi wrócono jej karierę Gabrieli Zapolskiej. Sowietom wywieźli ją na Kołymę, potem walczyła u Andersa. Gdy pisarzom w PRL fundowano wille, Teodozja Lisiewicz, jako szefowa Związku Pisarzy na Obczyźnie dorabiała podnoszeniem oczek w rajstopach (czy raczej w pończochach – przyp. A.M.M.).

¹ W. Szolginia, *Na Wesołej Lwowskiej Fali*, Warszawa, 1991, s. 22.

Zanim trafiła do „Wesołej Lwowskiej Fali”, odbyła już praktykę radiową. Od 1930 roku pracowała w dziale programowym, a od 1936 jako sekretarka lwowskiej rozgłośni Polskiego Radia. Była autorką felietonów, słuchowisk, cotygodniowych przeglądów nowości książkowych pod pseudonimem Heleny Boyer, współtwórczynią „Wesołej Lwowskiej Fali”. W latach 1932-1939 wystąpiła w około 180 audycjach i 200 przedstawieniach teatralnego zespołu objazdowego Fali. Współpracujący z nią wówczas Czesław Halski napisał: „Była wysoką i szczupłą, głos miała niski, szorstki, chropawy, nadający się do ról pyskatek, przekupek, robotnic, służących”. Z tego właśnie względu zasłynęła na antenie rolami kobiet z ludu i plebsu. Największą popularność zdobyła sobie rolą ciotki Bańdziuchowej z górnego Łyczakowa, zawsze z szacunkiem i sympatią wspomianą przez Szczepka i Tońka w wielu ich dialogach. Niestety, o ile mi wiadomo, nie zachowała się żadna dokumentacja audio-wizualna ról granych przez Teodozję Lisiewicz. Piosenek nie śpiewała, gdyż na przeszkodzie stały specyficzne warunki głosowe. Tym nie mniej grana przez nią postać – ciotka Bańdziuchowa doczekała się piosenki, śpiewanej do dziś. Zachowały się nawet jej dwie wersje. Jedna z nich znajduje się w książce *Lwowskie piosenki uliczne, kabaretowe i okolicznościowe do 1939 roku* Jerzego Habela i Zofii Kurzowej. Autorzy piszą tam, że jest to utwór z lat trzydziestych nieznanymi autorami. Prawdopodobnie powstał dla audycji „Na Wesołej Lwowskiej Fali”, na co wskazywałaby postać ciotki Bańdziuchowej². Drugą piosenkę nieznanymi twórcami, spopularyzował we Lwowie jako polkę „Rypcium-pypcium” piosenkarz Ludwik Lawiński.

Teodozja Lisiewicz w zasadzie była aktorką jednej roli – słynną, choć bezimienną ciotką Bańdziuchową w „Wesołej Lwowskiej Fali”. Występowała tam obok innych charakterystycznych postaci, które powoli odchodzą w zapomnienie. Warto wymienić przede wszystkim Wiktora Budzyńskiego, zdaniem Szolginia, jednego z najbardziej lwowskich spośród dziennikarzy, literatów, aktorów, reżyserów i radiowców miasta, urodzonego w 1906 r. w Stanisławowie. Budzyński, autor audycji „Wesoła Lwowska Niedziela” i „Wesoła Lwowska Fala”, pisał je w kawiarni Szkockiej przy Placu Akademickim. Tworzył nowe odcinki radiowe:

niemal tonąc w wypijanej w wielkich ilościach czarnej kawie i w kłębach tytoniowego dymu – przez pierwsze trzy dni tygodnia wymyślał i pisał teksty poszczególnych punktów programu: monologów, dialogów, skeczów i piosenek, które niemal równocześnie przepisywano na maszynie i rozpisywano na poszczególne role. Przez pozostałe trzy robocze dni przed niedzielą audycja prowadził w studiu radiowym próby³.

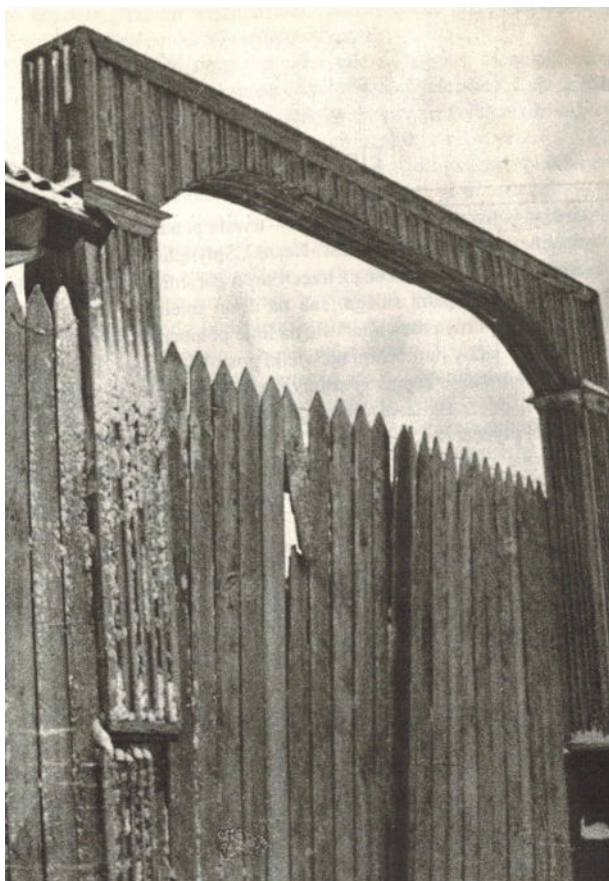
Tempo było więc zawrotne. W półgodzinnych audycjach „Wesołej Lwowskiej Fali” wszystko właściwie było autorstwa W. Budzyńskiego, także występujące w nich postacie. Wyjątek stanowiły jedynie batiary Szczepko i Tońko, charakteryzujący się dużym indywidualizmem. Pozostałych powołał do życia i nakreślił ich sylwetki psychologiczne Budzyński. Był to zabawny

²J. Habela, Z. Kurzowa, *Lwowskie piosenki uliczne, kabaretowe i okolicznościowe do 1939 roku*, Kraków 1989, s. 165.

³W. Szolginia, op. cit. s. 30.

stary woźny magistratu Strońcio, komicznie filozoficzna, żydowska para Aprikosenkranc i Untenbaum, dobrodusznna ciotka Bańdziuchowa, chłopski mędrak Babcioch i wielu innych⁴. W role te wcielali się popularni, charakterystyczni aktorzy. Poza duetem lwowskich batiarów Szczepkiem, którego grał Kazimierz Wajda i Tońkiem (Henryk Vogelfanger) w audycjach występował Wilhelm Korabiewski jako Strońcio, dwóch Żydów czyli Mieczysław Monderer i Adolf Fleischen. Popularną postacią „Fali” stała się też parodystka i piosenkarka Włada Majewska, naśladująca ówczesne sławy sceny i kina. Jej męskim odpowiednikiem był Józef Wieszczyk, który poza imitowaniem głosów zwierząt wykonywał najdziwniejsze efekty akustyczne.

„Wesoła Lwowska Fala” zakończyła swoją działalność w 1939 roku. W czasie II wojny światowej jej członkowie zostali zmobilizowani i przeszli szlak bojowy z wojskiem polskim na Zachodzie przez Rumunię, Francję, Wielką Brytanię i Włochy. Teodozja Lisiewicz, uwięziona na Kołymie już w niej brać udziału nie mogła.



Kołyma. Brama łagru. J. Siemiński, *Moja Kołyma*, Warszawa 1995.

⁴ Ibidem, s. 31.

Według dokumentów przechowywanych w Instytucie Pamięci Narodowej została aresztowana 02.04.1940 r. przez Zarząd NKWD (Ludowego Komitetu Spraw Wewnętrznych) Obwodu Lwowskiego, przebywała w więzieniu nr 1 we Lwowie (przy ulicy Łąckiego). Była już wtedy rozwiedziona, więc jej syn Paweł Sorg został pod opieką służącej Katarzyny Dniestrian i babki. Według jego późniejszej relacji, matka była aresztowana przez władze radzieckie na terenie Lwowa i na okres dwóch lat wywieziona w głąb Związku Radzieckiego.⁵ Na podstawie oficjalnych dokumentów, została skazana 26.04.1941 r. przez Kolegium Specjalne [OSO – Osobojesowieszczanije] przy NKWD ZSRR z art. 54-2, 11 kk Ukraińskiej SRR (artykuły oznaczają powstanie zbrojne i kontrrewolucyjną działalność organizacyjną) na 8 lat pozbawienia wolności. Karę odbywała w Siewwostłagu (Północno-Wschodnim Poprawczym Obozie Pracy) na Kołymie (obwód magadański).

Ten wielki kompleks lagrowy założony został 1 kwietnia 1932 roku. Osadzeni w nim więźniowie wykonywali przede wszystkim ciężkie prace, związane z eksploatacją złota. Najważniejsze z nich polegały na obsłudze przedsiębiorstw „Dalstroj”. Dla zjednoczenia prowadzono rozpoznanie i wydobycie tego kruszcu na terenie Kraju Dalekowschodniego. Drugą ważną pracą była budowa drogi od Zatoki Nagajewa do rejonu wydobywania złota w dorzeczu Kołymy i Indygirki. Eksploatowano tam kilkadziesiąt kopalń oraz budowano i obsługiwano zakłady wzbogacania złota, prowadzono prace poszukiwawcze w rejonach cynkonośnych, budowę alaskatowego kombinatu wolframowego, wydobywano węgiel, budowano urządzenia portowe w zatokach, lotniska, obsługiwano laboratoria, zakłady naprawy samochodów, warsztaty i bazy samochodowe, przedsiębiorstwa pomocnicze (cementownie, huty szkła, cegielnie, odlewnie stali), zajmowano się eksploatacją lasów, pracami rolnymi, połowem ryb i szeregiem innych specjalizacji⁶. Niestety, nie wiadomo, do jakich robót skierowano Teodoziję Lisiewicz. Przez więźniów Kołymy zwana była „Przeklętą Wyspą”. Ze względu na bardzo surową aurę, gdyż położona jest na dalekiej północy, złe wyżywienie i wyniszczającą zdrowie pracę, musiało jej być trudno przetrwać ten okres. Jak okrutne były to warunki, wystarczy zajrzeć do książki Janusza Siemińskiego „Moja Kołyma”. Autor, który w 1945 roku został skazany na niewolniczą pracę przy wydobyciu złota, opisał w niej swoją katorgę w Dalstroju⁷.

Teodoziję Lisiewicz zwolniono na mocy „amnestii” dla obywateli polskich z 12 sierpnia 1941 roku i skierowano na zesłanie do obwodu celinogradzkiego (akmolińskiego) w Kazachstanie. W 1989 r. została zrehabilitowana przez Prokuraturę Obwodu Lwowskiego. Dane te potwierdza szereg dokumentów zgromadzonych w archiwach⁸. Świadectwem jej pobytu na Kołymie są trzy

⁵ Materiały te pochodzą z przesłuchań Pawła Sorga (teczka Lisiewicz Sorg Paweł Maria Zygmunt, sygnatura archiwalna: IPN BK 01224/1277/D.)

⁶ *Łagry. Przewodnik encyklopedyczny*, praca zbiorowa pod red. N. Ochotina, A. Roginaskiego. Z rosyjskiego przełożył R. Niedzielko, Warszawa 1998, s. 443, 444.

⁷ J. Siemiński, *Moja Kołyma*, Warszawa 1995.

⁸ Wykaz byłych obywateli Polski, których akta są przechowywane w Zarządzie Służby Bezpieczeństwa Ukrainy Obwodu Lwowskiego (sygn. IPN BU 2904/370): Wykaz Polaków i przedwojennych obywateli polskich innej narodowości represjonowa-

pamiętki przekazane Muzeum Niepodległości przez Pawła Lisiewicza, zapewne wnuka lub prawnuka aktorki. Jest to maleńki różaniec wykonany z kulek chleba, woreczek do jego przechowywania i naparstek, który Teodozja Lisiewicz znalazła na terenie obozu.

Informacje, związane z Teodozją Lisiewicz po amnestii są wrywkowe. W Archiwum Instytutu Hoovera znajdują się kopie szeregu dokumentów sporządzonych bądź przez nią samą, bądź zawierających szczegóły z jej życiorysu. Są to papiery z roku 1943 w języku polskim i angielskim, a wśród nich T. Lisiewicz „Raport z Kołomy” (sygn. 800/42/0/-557 folder 16 oraz „Na Kołomy” (sygn. 800/41/0/-113)⁹. Materiały te są również w Instytucie Polskim i Muzeum im. Gen. Sikorskiego w Londynie.



Teodozja Lisiewicz (trzecia z lewej)

była żołnierzem Pomocniczej Służby Kobiet Polskich Sił Powietrznych.

Zdjęcie wykonane prawdopodobnie w 1943 roku,

W okresie II wojny światowej jako ochotniczka wstąpiła do Pomocniczej Służby Kobiet przy Armii Polskiej w ZSRR i na Środkowym Wschodzie. Przez Irak, Palestynę, Afrykę dotarła do Anglii. Od 1943 służyła w Pomocniczej Służbie Kobiet Polskich Sił Powietrznych w stopniu podporucznika. Posiadała liczne odznaczenia wojenne.

Po zakończeniu wojny rozpoczynała nowy etap życia w Londynie i nie bardzo wiedziała, co robić dalej. Nasuwa się tu smutna refleksja. Wydawało się, że kres sukcesów gwiazd położyć może tylko starość, czy nieprzewidziane fatum losu, o którym, w latach świetności, niechętnie się myśli. A jednak stało się inaczej. Karierę ludzi związanych ze światem artystycznym przekreśliło zderzenie z brutalnym światem wojny, która zaatakowała Polskę ze wschodu i z zachodu. Ci, którym udało się powrócić z zesłania czy obozu, po wyzwole-

nych w latach 1939-1941 na terenie obwodów lwowskiego i drohobyckiego (sygn. IPN BU 2904/372)

⁹ Znajdują się one w kolekcji mikrofilmów z Archiwum Instytutu Hoovera w Archiwum Akt Nowych.

niu zostali odarci z blichtru. W zasadzie nikt nie zdołał się podnieść z pożogi i ponownie nadać blasku swojemu życiu. Poorany świat szukał już nowych bohaterów w powojennej rzeczywistości. Dawniejsze gwiazdy odkrywały w sobie nowe talenty, ale miały one niewiele wspólnego z aktorstwem. Jedni, jak Teodozja Lisiewicz, odkryli w sobie żyłkę pisarską, inni zatopili się w tłumie zwyczajnych ludzi, którzy codziennie musieli zabiegać o zaspokojenie swoich potrzeb. Często w samotności odchodzili w niepamięć.

Trudny początek nowej drogi Teodozji Lisiewicz wiązał się z próbami nawiązania kontaktu z zespołem „Lwowskiej Fali”, mimo że zakończył on działalność w 1946 roku. Witold Szolginia pisze, że jego członkowie rozpoczęli swój niełatwy żywot cywilny, bynajmniej nie wolny od różnorodnych trudów i kłopotów dnia codziennego:

Dla większości obczyzną pozostała Wielka Brytania. Z upływem czasu jakoś się wszyscy w niej urządzili, pozakładali rodziny, podjęli taką czy inną pracę [...] Niezależnie od uwarunkowań, spotykali się w roku w Wielki Piątek w liczniejszym gronie w Londynie, na kolejnym koleżeńskim przyjęciu.

Owe spotkania nazwali „dziadami”.

Podobnie bowiem, jak w owych litewskich „dziadach” również oni w jakimś tam sensie i zachowując wszelkie proporcje odprawiali gusła i wywoływali duchy. Ducha swojej coraz bardziej oddalającej się, związanej w „Lwowską Falę” przeszłości, kiedy to żyli zawsze razem i – mimo grozy trwającej wojny – niefrasobliwie, z otuchą na przyszłość. A także duchy tych kolegów i przyjaciół z zespołu, którzy tymczasem już poodchodzili¹⁰.

Z „Lwowską Falą” łączyły ją sentymenty, coraz bardziej odległe. Jej dawni przyjaciele, starzeli się, umierali lub żyli przygnieceni bagażem wojennym. W zmienionych realiach niemożliwy był powrót do beztrudnej młodości, a na tym bazowała właśnie „Lwowska Fala”. Jednak z dawnych lat pozostało jej jeszcze jedno zamiłowanie. Było to pisarstwo, któremu wierna pozostała do końca życia.

Już od 1935 r. publikowała recenzje i artykuły w prasie. W 1939 r. napisała swój pierwszy utwór sceniczny „Słoneczniki”. Tłumaczyła też sztuki, np. „Ten, który wrócił” wystawioną w Łodzi i Wilnie. Z kim się wówczas przyjaźniła, czy kontaktowała, trudno powiedzieć. Wiadomo, że nawiązała znajomość z Marią Pawlikowską-Jasnorzewską. Teodozja Lisiewicz poświęciła jej artykuł *Wygnanka*¹¹ i tekst *Nie tak było*,¹² który stanowił gwałtowną, ostrą polemikę z Jolantą E. Czekałską, piszącą o pobycie poetki na Zachodzie. Analizując artykuły Lisiewicz w innym kontekście, można się przekonać o kwieciistości jej stylu. W *Wygnance* pisała:

Lilka, kapłanka Flory, miłośnica tęcz kryształowych, wietrznica świętojańska, pochowana została w mieście leżącym u brzegów Mare Tenebrarum¹³, gdzie

¹⁰ W. Szolginia, op. cit., s. 87.

¹¹ *Wspomnienie o Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej*, „Wiadomości” 1957, nr 2.

¹² „Wiadomości”, 1969, nr 48, s.4.

¹³ Morze ciemności, mroków, za którym, zdaniem starożytnych Greków kończył się świat.

każdy dom, każdy kamień zdaje się cierpieć w potępieniu dymów, sadzy i trzeźwości kupieckiej¹⁴.

Znajomość z Pawlikowską-Jasnorzewską przypadła na rok 1944, kiedy obydwie były w Blackpolu. T. Lisiewicz przebywała tam z racji swojego powiązania z WAAF. Organizowała „Przedstawienie dla waafwek”¹⁵.



Teodozja Lisiewicz (1903-1975)

¹⁴ T. Lisiewicz, *Wyganka*, „Wiadomości” 1957, nr 2, s. 1.

¹⁵ WAAF – Womens Auxiliary Air Force – żeńska służba pomocnicza w Royal Air Force – siłach powietrznych Wielkiej Brytanii.

W Bibliotece Narodowej w Warszawie znajduje się 5 jej książek, z czego jedna wydaje się szczególnie ważna. Chodzi tu o *Przesyłkę do Polski. Obrazek sceniczny*, wydaną w Londynie w 1952 roku i liczącą zaledwie 40 stron. Jest ona istotna, gdyż w Instytucie Pamięci Narodowej znajduje się teczka, zawierająca dokumenty dotyczące jej syna – Pawła Lisiewicza posądzanemu o szpiegostwo. Z materiałów tych wynika, że głównym inicjatorem jego działań była matka. Będzie o tym jeszcze mowa, na razie jednak wróćmy do literatury. Wymowa tego obrazka scenicznego jest zdecydowanie patriotyczna. Główny motyw sztuki to nadesłanie przez babkę z Polski koperty z klepsydrami osób, które poniosły śmierć za wolność i konsternacja między członkami rodziny o ustabilizowanym już życiu w Anglii, co z tą przesyłką zrobić. Dyskusja między wujem, ciotką i 15-letnim Stasiem, kończy się wypowiedzią tego ostatniego:

Jak mogło mi być dobrze, kiedy nie miałem za sobą nic, z czego mogłem być dumny? Dlaczego zrobiliście mi taką krzywdę? Trzymacie mnie obcego między obcymi, z których każdy ma swój kraj, swoje królowe, bohaterów, tradycje – a ja? Czym mogłem się pochwalić?¹⁶

W następnych latach poświęciła się twórczości literackiej, która przyniosła jej wiele nagród m. in. pisarską im. Anny Godlewskiej; kilkakrotnie na konkursach dramaturgicznych Związku Artystów Scen Polskich w Londynie, Teatru „Nasza Reduta” w Chicago, dwukrotnie (1967, 1968) Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Współpracowała z zespołami polskimi w Londynie (była członkiem miejscowego ZASP-u¹⁷), m.in. w 1949 r. występowała w Teatrze Polskim ZASP-u we własnej sztuce „Słoneczniki”, która następnie była prezentowana w polskich ośrodkach we Francji i Niemczech oraz w teatrze „Nasza Reduta”. Również inne utwory T. Lisiewicza były grywane przez aktorów zawodowych i amatorskich w Londynie, Nottingham, Glasgow: „Sikorka z pomarańczy”, „Jaworowe buty”, „Madame X-ow”, „Szalenie miły wieczór”, „Szkłanka mleka”, „Pokój ludziom dobrej woli”. Od 1959 r. współpracowała jako redaktorka działów kobiecych w „Dzienniku Polskim” i „Dzienniku Żołnierza” oraz z „Tygodniem Polskim” (jako siostra Anna). W latach 1961-71 T. Lisiewicz była też współzałożycielką i redaktorem „Głosu Kobiet”. W 1968 została prezesem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Będąc już osobą w statecznym wieku, sporadycznie występowała na scenie Teatru Polskiego m.in. jako Eugenia („Tango” 1965), Pani Słowikowska („Gałązka rozmarynu” 1968), Pani Gurzycka („Świadek” 1971), Wiktoria („Lekarz bezdomny” 1974).

Po zakończeniu drugiej wojny światowej T. Lisiewicz nigdy w Polsce nie była, co nie wydaje się dziwne, zważywszy na inwigilowanie jej syna. Ją też oskarżano o działalność antypaństwową¹⁸. Dziś te zarzuty wdają się groteskowe i świadczą raczej o wcielaniu w życie różnych „teorii spiskowych” przez ówczesne władze. Dla historyka wywiady z Pawłem Sorgiem są jednak ważne, gdyż wnoszą sporo szczegółów do życiorysu T. Lisiewicza, który rzeczywiście jest bardzo mało znany.

¹⁶ T. Lisiewicz, *Przesyłka z Polski. Obrazek sceniczny*, Londyn 1952, s. 38.

¹⁷ W 1950 r. Związek ten został rozwiązany a jego miejsce powstało Stowarzyszenie Polskich Artystów Teatru i Filmu (SPATiF).

¹⁸ Według zeznań jej syna chodziło o ukrywanie oficerów armii polskiej, którzy nielegalnie wyjeżdżali za granicę.

Ze zgromadzonych akt wynika, że była ona dwukrotnie zamężna. O pierwszym mężu nic nie wiemy, poza tym, że nazywał się Sorg. Lisiewicz rozwiodła się nim i nosiła odtąd panieńskie nazwisko. Ze związku tego urodził się Paweł Sorg 19 maja 1929 r. w Płocku. Drugim mężem był oficer armii francuskiej Karol Gołuchowski, który dostał się do niemieckiej niewoli. Stosunki Pawła Sorga z ojczymem, który mieszkał w matką w Londynie, układały się dobrze. Syn aktorki przytoczył też relację ciotki o nazwisku Werner, z której wynika, że Teodozja Lisiewicz pracowała w Polskim Radiu w Londynie, a później jako kelnerka.

Trudno ustalić, czemu Paweł Sorg zdecydował się pozostać w Polsce. Za interesowały się nim służby wywiadowcze i podejrzewały o współpracę z wywiadem angielskim. O ile wiem, jego sprawa ciągnie się nadal, choć sam Paweł Sorg zniknął z kart historii. Natomiast o Teodozji Lisiewicz zachowało się do tej pory trochę zdjęć, relacje bliskich, nieliczne dokumenty i kilka napisanych książek. Z materiałów tych udało się stworzyć niepełny życiorys tej nieprzeciętnej, lecz już nieco zapomnianej postaci.

APEL

Otwarcie **Muzeum Pamięci Sybiru** planujemy na 2016 rok, ale już teraz podejmujemy szereg działań związanych z pozyskiwaniem materiału fotograficznego, pamiętnikarskiego oraz ze zbieraniem pamiątek związanych z zesłaniami do Imperium Rosyjskiego i ZSRS. W związku z tym zwracamy się do wszystkich Państwa, którym bliska sercu jest tematyka Sybiru o pomoc w budowie tego jedyne w naszym kraju Muzeum.

Prosimy o przesyłanie relacji, wspomnień z pobytu na *nie ludzkiej ziemi*, przekazywanie zdjęć, pamiątek.

TYLKO WSPÓLNIE ZBUDUJEMY MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU!

Dział Badań Zsyłek i Deportacji Muzeum Wojska w Białymstoku
ul. Kilińskiego 7, 15-089 Białystok
tel. 85/741-64-49; e-mail: sybir@mwb.com.pl
www. sybir. com.pl

STANISŁAW FUDALI

MARZENIA O KAWAŁKU NIEZAPISANEGO PAPIERU

Nóż przez Stalina we wrześniu 1939 roku wbity w plecy Polski, walczącej krwawo z hitlerowskimi Niemcami, nie tylko zmienił świat, a zwłaszcza losy paru milionów Polaków zamieszkujących Kresy Wschodnie II RP, ale poddał ich szczególnemu doświadczeniu, nieznanemu w czasach I Wojny Światowej (1914-1918). Od 17 września, niemal z dnia na dzień, cichły kpiny o „kolosie na glinianych nogach”, o „czołgach z dykty”, czy o „karabinach noszonych na sznurku” – wszyscy w pewnym napięciu oczekiwali bolszewików, kiedy już przez Stanisławów i Tyśmienicę, gdzie wtedy przebywałem, przewalały się wycofujące się polskie jednostki wojskowe i tłumy uciekinierów.

Miałem wówczas niespełna 10 lat, przy pomocy rówieśników w lot niemal zrozumiałem, że górnolotne hasła „Silni, zwarci, gotowi”, rozklejane na wszystkich płotach i słupach, nie są warte papieru, na jakim je wydrukowano. Interpretowaliśmy je po swojemu, złośliwie: „Silni w gębie, zwarci wokół koryta, gotowi do ucieczki” – nie mogliśmy, my malcy, darować Dzielnemu Wodzowi i Panu Prezydentowi haniebnego czynu – przekroczenia zaleszczyckiego mostu, pozostawiając krwawiącą armię i zdezorientowany naród na pastwę dwóch wrogów. Natomiast z dumą powtarzaliśmy zasłyszane epizody (nie zawsze rzetelne!) z wrześniowych walk naszego wojska – obrona Helu, szarża ułanów na niemieckie czołgi itp. A mimo tego ciekawi byliśmy obcego wojska, bolszewickiego, ich mundurów, uzbrojenia itp.

Z bolszewickimi żołnierzami spotkałem się po raz pierwszy 21 września 1939 roku. Czterech konnych, na dobrze utrzymanych rumakach, na „przyjacielsko-zapoznawcze spotkanie” przyprowadziło mieszkańców trzech okolicznych rusińskich wsi do majątku Gaj w Tyśmienicy, należącego do mojego Dziadka, Antoniego Dziedziniewicza. W czasie tego „spotkania” padły 3 strzały w stronę gospodarza, który salwował się ucieczką przez otwarte okno, a rusińska ciżba rzuciła się na rabunek; przebieg tego „spotkania” opisałem w artykule *Rabunek w Gaju* (zob. „Zeszyty Tłumackie”, № 1 (25) (2002), 7-10; № 2 (26) (2002), 8-11). Gaj został doszczętnie ogołocony, ale wszyscy wyszliśmy z tego cało i zdrowo, aczkolwiek solidnie przerażeni. Nie poniosły też uszczerbku sadyba i zabudowania gospodarcze – aż dziwne, że nie puszczono ich wtedy z dymem; stało się tak dopiero na wiosnę 1944 r., gdy bandy banderowców intensywnie przystąpiły do budowania sinie-żółtej Ukrainy.

Pod koniec września wróciliśmy do domu w Stanisławowie, bo matka niepokoiła się o ojca, od którego nie miała żadnej wieści; okazało się, że ojca aresztowano. Skutkiem tego matka niemal całymi dniami wystawała w siedzi-

bie NKWD przy ul. Bilińskiego w nadziei, że uda się jej otrzymać jakąś wiadomość o ojcu. Na początku października dowiedziała się, że ojcu wytoczono proces o działalność kontr-rewolucyjną – zaczęło się poszukiwanie adwokatów, bo matka miała jakieś pojęcie o procesie w polskim sądownictwie, i była pewna, że w radzieckim jest tak samo, potem pisanie wyjaśnień, że ojciec nie prowadził żadnej działalności kontr-rewolucyjnej, a tylko – jako sędzia – ferował wyroki zgodnie z polskim prawem. Na te wyjaśnienia matka dostawała od czasu do czasu jakieś odpowiedzi, a mnie trochę zdumiało, że te odpowiedzi były pisane na maszynie o cylicyrcznej czcionce, i że na odwrocie polskich druków urzędowych, ale żadne wnioski z tego powodu nie powstały w mojej 10-letniej łepetynie; przyjąłem, że tak ma być – myśl o oszczędzaniu papieru, ani tym bardziej o jego ewentualnym braku w tych jesiennych miesiącach 1939 roku była niewyobrażalna. Żeby papieru mogło brakować? To było nie do wiary! Co innego brak cukru w sklepach, ryżu i mąki, bo prywatni sklepikarze pochowali towar, aby nim spekulować, ale papier?!

Po cukier matka wyprawiała się ze służącą Genką (jednej osobie sprzedawano tylko 1 kg) już o godz. 7-ej wieczorem, aby stanąć w kolejce przed upaństwowionym sklepem i po całonocnym staniu ewentualnie około 10 rano dokonać zakupu. Nie zawsze to się powiodło – bywało, że po całonocnym wystawaniu wracały z niczym – zabrakło cukru! Rzecz to była nowa – przed wojną nie spotykana. Sama ta kolejka, nazywana tam – na Kresach – ogonkiem, była swoistym ewenementem. Przed wojną spotykałem kolejkę tylko w okresie przed Wielkanocą, gdy do kościoła spędzeni przez katechetę czekaliśmy przed konfesjonalem na swój obowiązek spowiedzi wielkanocnej. A kolejka do konfesjonatu też nie była porównywalna do kolejki przed sklepem – w kościele stało się grzecznie, pod czujnym okiem katechety, wysilając pamięć na przypominanie swoich grzeszków, a przed sklepem ciągle były spory o miejsce, a nawet awantury.

Życie w mieście stało się wyraźnie inne, co nawet dla małałatów było wyczuwalne. Do szkoły chodziliśmy, bo rodzice kazali, ale nie w smak nam było, że w strukturze szkolnej zostaliśmy cofnięci o 1 klasę. Przed wakacjami dostałem promocję do 5 klasy, a teraz za bolszewików chodziłem znowu do czwartej; widocznie radzieckie władze uznały polski system edukacyjny za mało efektywny. Chodziłem do polskiej szkoły (były takie) i w tej nowej 4 klasie uczyłem się takich samych rachunków i przyrody, jak rok temu, ale na lekcjach języka polskiego „obrabialiśmy” Plan 5-letni, na ukraińskim podziwiali *батківщину без края*¹, a na rosyjskim poznawali nowy język poprzez nauczycielkę uczęszczającą na skrócony kurs tego języka. Do nauki zbytnio nie przykładaliśmy się, bo żyło w nas przekonanie, że nasze chodzenie do szkoły w czasie okupacji nie jest ważne(?), bo po wojnie, która wnet się skończy, polskie władze tego nie uznają. Dorośli mieli inne problemy. Często organizowano mitingi, czyli uliczne masówki, na które „zapraszano” okolicznych mieszkańców, by uświadomić, jakie szczęście spotkało ich po wyzwoleniu od „polskich panów” i jakie jeszcze czeka pod władzą radziecką; takie „zaproszenie” trudno było odrzucić – każdy się bał narazić okupantom. Co kilkanaście

¹ (ukr.) – ojczyznę bezkresną.

dni ogłaszano jakieś nowe administracyjne zarządzenia; żyło się z dnia na dzień i nigdy nie było wiadomo, czym następny nas zaskoczy.

Po Nowym Roku straciły moc nabywczą polskie złotówki, którymi dotychczas posługiwano się na równi z radzieckimi rublami – to skomplikowało życie tym, którzy nie mieli pracy, a takich była masa: rodziny aresztowanych i tych, co nie wrócili z wojny – polegli, dostali się do niewoli, niemieckiej bądź radzieckiej, albo uciekli na Węgry lub do Rumunii. Banki wymieniały złotówki na ruble tylko w ograniczonej ilości – w ten sposób realizowano jedno z socjalistycznych haseł: *Кто не работает, тот не кушает!*² Aresztowania były na porządku dziennym, i wiadomości o nich nikogo już nie zdumiewały, natomiast coraz częściej zaczęto mówić o wywózkach w głąb ZSRR, na Syberię i na Kaukaz; o innych miejscach nie mówiono, nie znano ich jeszcze. Powszechnie istniało ciche mniemanie, że wywózki dotyczą w zasadzie mężczyzn, zwłaszcza tych, którzy nie mogli i nie chcieli pogodzić się z okupacją bolszewicką – wyłapywano takich, stawiano przed sądem i na podstawie wyroku sądowego wywożono na zesłanie. Stąd znaczna liczba Polaków pod okupacją radziecką podświadomie powoli przygotowywała się, fizycznie i duchowo na ewentualną przymusową podróż na Wschód, chociaż niemal każdy wierzył, że do tego nie dojdzie, że nasi „potężni sojusznicy”, Francja z Anglią, nie dopuszczą do tego.

A jednak stało się to i to według scenariusza, jakiego chyba nikt się nie spodziewał. W nocy z 10 na 11 lutego 1940 roku, nie patrząc na środek mroźniej i śnieżnej zimy, NKWD wywlekło z domów prawie całą polską służbę leśną i ogromną większość osadników wojskowych i cywilnych, wszystkich razem z rodzinami, i bez jakiegokolwiek wyroku sądowego wywiozło przeważnie w północne lasy europejskiej części Rosji, a także w tajgi Krasnojarskiego Kraju. Była to pierwsza masowa deportacja ludności polskiej – o jakiej już nie szeptano ukradkiem, bo załadunek do bydłocych wagonów odbywał się w biały dzień, a sposób jego realizacji zapierał dech w piersi: owinięte w pierzyny dzieci, okryte pledami niemowlęta na rękach matek, saniami zwożone jak było na stacje kolejowe i pod czujnym okiem milicji i NKWD ładowane do wagonów; płacz, rozpacz, krzyki – przedśmiatek piekła. Po tym dniu każdy z Polaków, co jeszcze nie trafił do wagonów, wiedział, jaki los może go czekać w radzieckiej rzeczywistości.

Po dwóch miesiącach, 13 kwietnia 1940 roku, rzecz się powtórzyła, ale w mniej dramatycznej scenerii: Była już wiosna – mrozów nie było, śniegu też, ale był płacz i rozpacz, i poczucie niemocy bezbronnych. Tym razem do wagonów pakowano niepełne rodziny – kobiety i dzieci tych, co siedzieli w radzieckich więzieniach lub już byli pomordowani na mocy „sprawiedliwych wyroków”, oraz tych, co nie wrócili z wojny: polegli, dostali się do niewoli, bądź opuścili zniewolony Kraj. Była to druga masowa deportacja ludności polskiej z Kresów Wschodnich – przeważnie do Kazachstanu, a także w jego pobliże. Wśród tych nieszczęśników znalazłem się i ja, wraz z matką i 4-letnim młodszym bratem.

Po dwóch tygodniach nieustannej podróży od „naszego” transportu na stacji Lebiażje, drugiej od Kurganu na trasie kolei transsyberyjskiej, odcze-

² Kto nie pracuje, ten nie je!

piono cztery lub pięć wagonów. Rankiem je otworzono i kazano załadować swoje bagaże na podstawione ciężarówki, oczywiście pod okiem żołnierzy NKWD, a potem bez eskorty powieszono w „siną dal”; jedynymi naszymi „opiekunami” w ponad 120-kilometrowej podróży przez step był kierowca ciężarówki i jego pomocnik, całkiem sympatyczni cywile. Po południu byliśmy u celu podróży: w dość dużej (około 100 domostw) rosyjskiej wsi Presnoredut’, siedziby gminy (sel’sowietu), gdzie porozwożono nas na kwatery do tutejszych mieszkańców i pozostawiono samym sobie; należy tu zwrócić uwagę na sprawność organizacyjną tego sel’sowietu dotyczącą zakwaterowania polskich zesłańców, bo w innych miejscowościach – jak się czyta w niektórych wspomnieniach – Polaków wyładowywano na wiejskim placu pod gołym niebem i nie troszczono o nich więcej.

Po niemal całodziennym podróży przez step poczuliśmy się jak w zupełnie innym świecie – nie tylko geograficznie, ale przede wszystkim obyczajowo, społecznie i kulturowo. Wyrwani z 70-tysięcznego miasta, jakim wówczas był Stanisławów, i rzućni na pół-tysięczną stepową wieś, jaką była Presnoredut’, nie znający języka ani tutejszych zwyczajów, nie mający swoich bliskich ani przyjaciół, a tylko „wagonowych” znajomych dzielących ten sam los, czuliśmy się nie tylko obco, ale jak skopani i sponiewierani; mówiąc tak myślę o naszych matkach, bo my, małolaty i nieco starsi, zupełnie inaczej odbieraliśmy to, co nas spotkało. Dla nas to była – zwłaszcza na początku – pewnego rodzaju przygoda. Było już po wiosennych roztopach, step zaczął się zielenić, w wielu miejscach pokrywały go żółte kwiaty, zwane tam *подснежанками*³, bo zakwitały w pełni niemal równocześnie ze znikającym śniegiem, po tygodniu na stepie rozkwitały krokusy w rozmaitych kolorach, zwane tam *ветренками*⁴, bo w czasie ich kwitnienia wiały ciepłe wiatry, osuszające glebę; potem rozkwitały rozmaite inne kwiaty, zwłaszcza przy niezbyt licznych zagajnikach i laskach (północny Kazachstan leży w strefie stepowo-leśnej), gdzie dłużej utrzymywała się wilgoć z roztopów. Był maj, zbliżał się koniec roku szkolnego, ale nikt z nas nie myślał o szkole – ze względu na nieznaną języka, było to niemożliwe; mieliśmy więc wczesne i długie wakacje. Włóczyliśmy się po stepie i okolicznych laskach, poznawaliśmy okolicę, jej przyrodę, podpatrywali zwyczaje tutejszych mieszkańców i – chcąc nie chcąc – uczyli się języka.

W tym czasie nasze matki słały listy do rodzin, których na razie jeszcze nie wywieziono, opisując grozę podróży, zaskoczenie pozauralskim światem i prymitywizm tutejszego bytowania. Największą grozę budził brak prowiantu – w czasie podróży chociaż od czasu do czasu dawano nam chleb i kipyatok – gorącą przegotowaną wodę – a tu nic z tych rzeczy. W wiejskim sklepiku na półkach widniała tylko literatura agrotechniczna i ideologiczna, której nikt nie kupował, oraz kobiece ozdoby typu broszki, tandetne pierścionki etc., a także jarmarczne zabawki, jakie w Polsce widywało się na odpustach; artykułów spożywczych ani na lekarstwo. Aby kupić coś do jedzenia, trzeba było chodzić od chałupy do chałupy i niemal błagać mieszkańców, aby coś sprzedali: kartofle i mąkę, oraz jakieś warzywa. Robili to niechętnie, bo każdy liczył się z tym, by mu samemu do nowych plonów starczyło; bez problemu natomiast sprzeda-

³ Podśnieżankami – polskiej nazwy nie znam.

⁴ Wietrankami.

wali mleko. Przerazenie naszych matek budził problem pitnej wody – w całej wsi nie było żadnej studni z wodą zdatną do picia; nabierano ją z jeziora, w którym pojmiono bydło i kąpano się, a w letniej porze woda zagęszczała się od rozmnażających się glonów. Na uwagę naszej matki, że pojone w jeziorze było zanieczyszczona wodę, miejscowy felczer z uśmiechem objaśnił: – „Mocz i fekalia są cięższe od wody, więc opadają na dno, a z wierzchu woda jest czysta!”

Urzędowe pismo

„Cudaczna” koperta

Aby to wszystko opisać zużyły matki papier listowy zabrany ze sobą, a na miejscowej poczcie nie sprzedawano takiego papieru, a tylko kartki pocztowe – ale jak wiele na korespondencje można było napisać?! W końcu i korespondentek na poczcie brakło. Przy końcu sierpnia 1940 r. w wiejskim sklepiku wypatrzyłem stosik zeszytów szkolnych wystawionych do sprzedaży. W te pędy pobiegłem do matki oznajmić radosną nowinę: na kartkach z zeszytu też można pisać listy, nie tylko z papeterii. Matka w pełni zaaprobowała ten pomysł i nie zwlekając razem poszliśmy zrobić pożądany zakup. Stosik zeszytów stał na ladzie, matka poprosiła o 2 zeszyty, a ekspedientka zapytała o *справку*⁵. Matka zdębiała – o jakie zaświadczenie chodzi? Przecie ona chce tylko kupić 2 zeszyty, aby móc pisać listy do rodziny, a na poczcie nie mają żadnej papeterii. Rozmowa ze zwykłej rzeczowej, przeobraziła się w emocjonalną – matka nie mogła zrozumieć, o jakie zaświadczenie ekspedientce chodzi przy zakupie zeszytów, a ekspedientka nie miała pojęcia, co to jest papeteria – tym bardziej, że matka mówiła po rusińsku, czyli po ukraińsku, a ekspedientka – po rosyjsku. W końcu wyjaśniło się, że chodziło o zaświadczenie ze szkoły uprawniające ucznia do nabycia określonej liczby zeszytów w roku szkolnym.

⁵ Zaświadczenie.

Gdy do matki ta informacja dotarła, omal nie przysiadła – coś podobnego: limitowanie zeszytów dla uczniów! Stojący obok mężczyzna w sile wieku, pewnie doskonale pamiętający przedrewolucyjne czasy, smętnie pokiwał głową: – *У нас всего много, но не для всех хватает*.⁶ Odebraliśmy jeszcze jedną naukę o aktualnej radzieckiej rzeczywistości; wyszliśmy ze sklepu z przystoiwym kwitkiem.

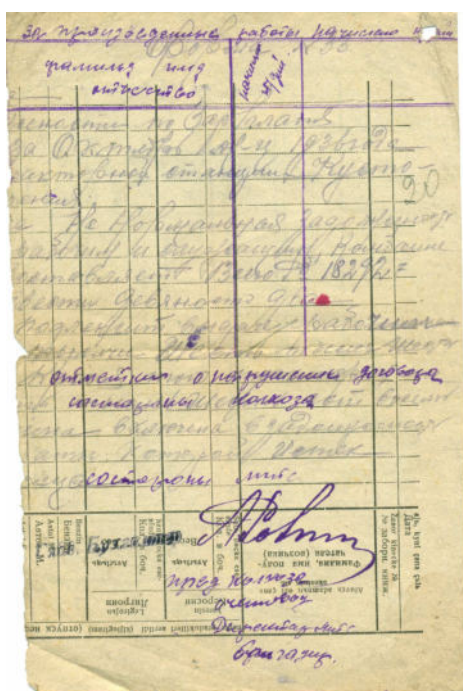


Zeszyt zrobiony z gazety

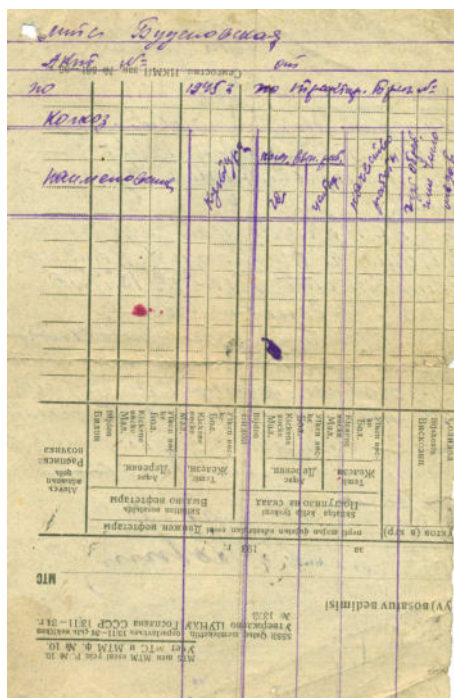
Nie prędko otrząsnęliśmy się z tego wydarzenia – nie mogliśmy zrozumieć, że towar (zeszyty) w sklepie był, a nie mieliśmy prawa go kupić, bo co innego gdyby zeszytów nie było. Radzi nie radzi musieliśmy i tę radziecką rzeczywistość przyjąć do wiadomości. Niebawem zaczęliśmy po trosze ją rozumieć. W październiku 1940 r. otrzymała matka urzędowe pismo – odpowiedź na prośbę o umorzenie zobowiązania podatkowego. Pismo to przyszło w „cudacznej” trójkątnej kopercie, przypominającej niedokończony samolot z kartki papieru, jakie maolaty chętnie robią i puszczają. Na odwrocie druku stanowiącego kopertę było urzędowe wyjaśnienie, że matki gospodarstwo (dwoje dzieci – 10 i 4 lata – niczego innego, bowiem nie miała!) zgodnie z ustawą nie podlega zwolnieniu (od wymiaru podatku: 72 kg mięsa wołowego i 3 surowe skóry baranie). Niezależnie od treści tego pisma zrozumieliśmy w końcu dlaczego w wiejskim sklepiku czyste zeszyty sprzedawane są tylko uczniom – w potężnym Związku Radzieckim, w którym wszystkiego było w bród, kulał przemysł papierniczy, bo musiano produkować armaty, czołgi itp., by „pokojowo” urządzić komunizm w Europie i na świecie.

⁶ U nas wszystkiego pod dostatkiem, tylko nie wystarcza dla wszystkich!

Rodzina zaalarmowana brakiem papieru na listy zaczęła przysyłać czysty papier w listach do nas i w ten sposób utrzymywaliśmy korespondencję, ale do czasu. Wybuch wojny niemiecko-radzieckiej w czerwcu 1941 roku przerwał wszelki kontakt z bliskimi – przestały dochodzić listy, pieniądze i paczki; tym samym znikło źródło dostawy czystego papieru. A potrzeba korespondowania między Polakami rozszanymi po nieprzejrzanym obszarze Syberii była nadal ogromna, a nawet większa niż przed czerwcem 1941, bo sami musieliśmy się pocieszać w trudnych chwilach, dodawać otuchy do przetrwania, pielęgnować nadzieję; żadne wieści o bliskich nie dochodziły spoza linii frontu. Wykorzystywano do korespondencji wszelkie skrawki niezapisanego papieru: obwoluty i karty tytułowe książek, a także nie zadrukowane fragmenty stronic, fragmenty przedwojennych dokumentów, także świadectw szkolnych. Później, gdy na mocy układu Majski-Sikorski rozkręciła się działalność polskiej ambasady w Kujbyszewie i wydawano dwutygodnik „Polska”, rulony gazety owijano czystym gazetowym papierem i wysyłano odbiorcom; do jakiegoś czasu (dopóki ten układ obowiązywał). Nasza matka była jednym z takich odbiorców; oczywiście, tym czystym papierem trzeba się było dzielić z rodakami.



Stron 1

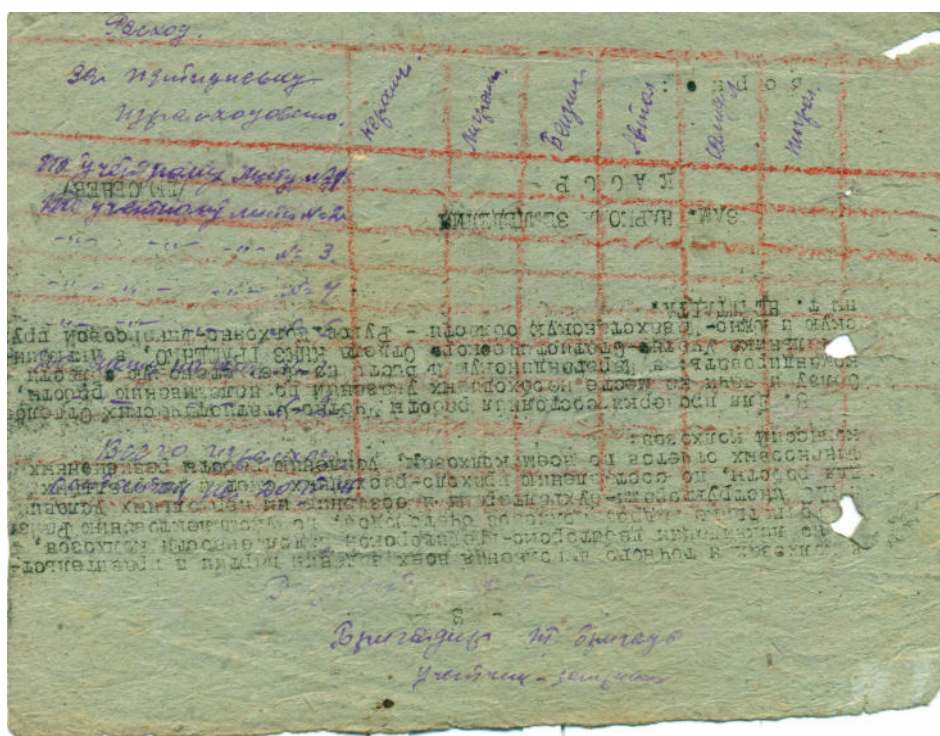


Strona 2

Brak czystego papieru doskwierał również tubylcom, i to co najmniej na rok przed wojną z Niemcami, na co wskazuje pismo w „cudacznej” kopercie, o którym wyżej, a także sprzedaż zeszytów tylko dla uczniów na podstawie *cnpavku*. Od początku wojny niemiecko-radzieckiej nie pojawiały się już zeszyty w wiejskim sklepie i żadnych nie żądano *cnpavok*. Uczniowie musieli sami robić zeszyty z gazet, poliniować je i pisać atramentem zrobionym z rozpuszczonego ołówka chemicznego. Szczęśliwie dla uczniów tak się złożyło,

że wobec niedostatku farby drukarskiej druk w gazetach był błady i fioletowa pisanina w poprzek druku była w miarę uchwytyna. Parę takich zeszytów przywiozłem do Polski, ale nie budziły większego zainteresowania. Także instytucje państwowe i samorządowe borykały się brakiem czystego papieru – oto przykład:

Na blankiecie formularza magazynu bazy MTS⁷ jest fragment sprawozdania magazyniera tejże bazy (strona 1 – odręczne pismo – ołówkiem) podpisany przez Głównego Buchaltera (stempel, i podpis atramentem) oraz początek niewypełnionej listy (pismo odręczne – atramentem sporządzonym z rozpuszczonego ołówka chemicznego) pracowników wykonujących odpowiednie prace i przysługujące im dniówki obrachunkowe; na odwrocie (strona 2) jest wzorec sprawozdania z realizacji umowy między kołchozem i MTS.



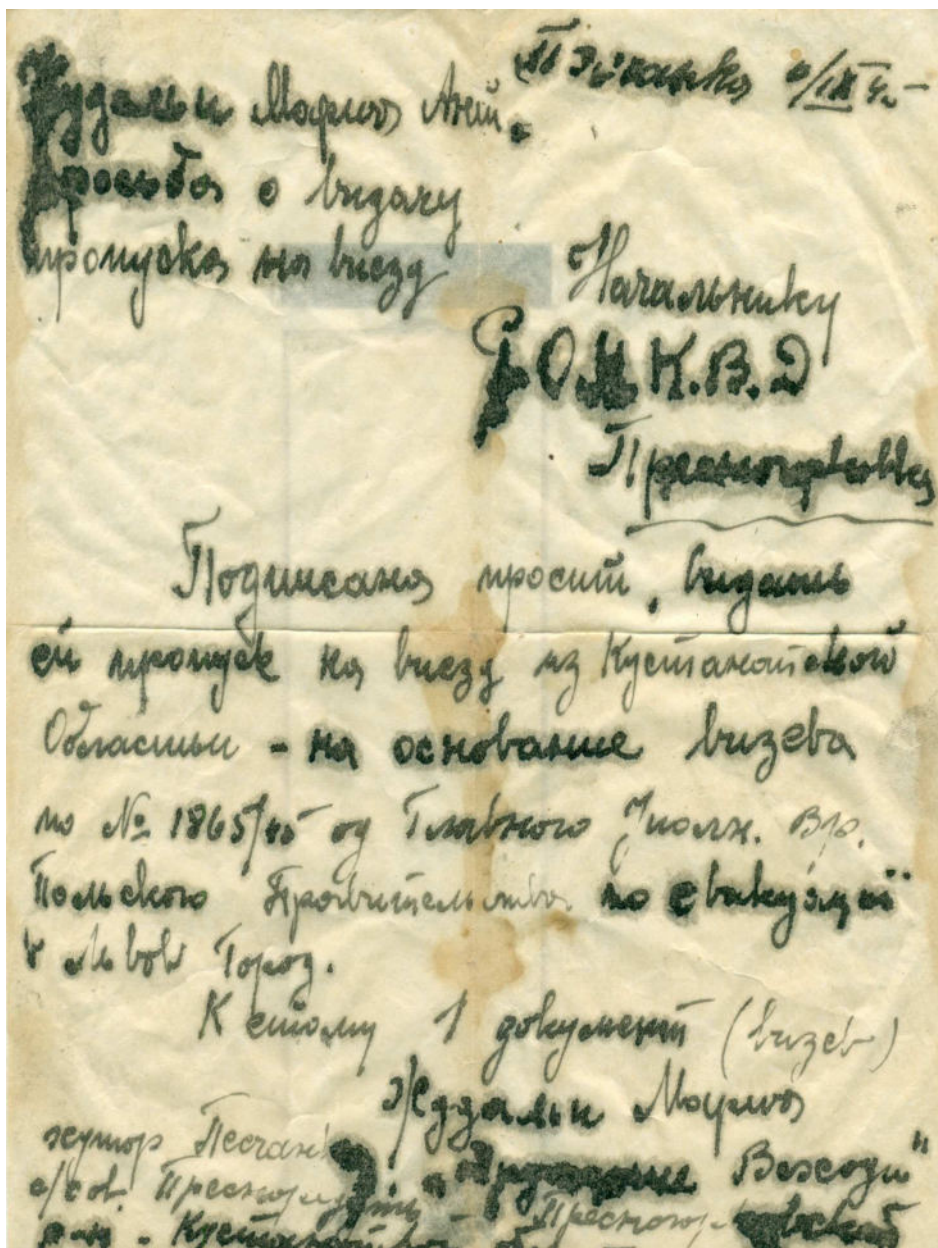
Wzorec dekadowego sprawozdania

Na wiosnę 1945 r., jak się później okazało – pod sam koniec wojny, byłem *учётчиком*⁸ w kołchozowej brygadzie traktorów i co 10 dni miałem obowiązek składania sprawozdania, co do wykonania prac polowych i zużycia paliwa i smarów. W tym celu dostałem wzorec takiego sprawozdania (sporządzonego na jakiejś nieaktualnej już instrukcji – patrz niżej), a wobec braku papieru na te sprawozdania dostawałem – jako dekadowy przydział materiałowy – dwie czterostronicowe gazety formatu A3, z których część musiałem «odpalić» palaczom, jako «bibułki» w skręcanych papierosach, oraz zaoszczędzić na zro-

⁷ MTS – Maszyno-Traktornaja Stancja (czyli Ośrodek Maszynowy), który realizował mechaniczno-polowe potrzeby kołchozu (kolektywnego gospodarstwa rolnego).

⁸ Rachmistrzem.

bienie zeszytów dla brata (zob. wyżej). Dostałem też buteleczkę czarnej farby olejnej na cały sezon, która rozprowadzona naftą służyła jako atrament. Efektem pisaniny (w poprzek druku!) były lśniące czarne literki otoczone żółtymi obwódkami od wsiąkniętej w papier nafty.




Pismo napisane farbą olejną

Do momentu naszego powrotu do Kraju (kwiecień 1946) sytuacja w północnym Kazachstanie pod względem czystego papieru była stabilna – czysty papier nadal pozostawał marzeniem! Chociaż coś drgnęło – jako *uczotczik* raz

w miesiącu dostawałem do wypełnienia zupełnie czysty blankiet gazetki ściennej formatu A4 i do wywieszenia go w widocznym uczęszczanym miejscu. Z zadania tego – jak widać – nie wywiązałem się; trudno mi było – nie dokarmionemu i w łachmanach – entuzjamować się socjalistyczną rywalizacją, zwłaszcza pod protektoratem tego pana z wąsem, co zniewolił moją Ojczyznę, zabrał mi ojca, zrabował dziadkowy Gaj, a mnie rzucił w kazachski step.

Смерть немецким захватчикам!



БОЕВОЙ ЛИСТОК

Выходит в _____ бригаде _____ района

Социалистическое соревнование
в честь 25-й годовщины Казахской ССР

Проведем весенний сев быстро и хорошо!

№ _____

1945 г.

	<p>Важнейшие события</p>
	<p>Наши передовики</p>
	<p>Итоги за день</p>

Завоюем высокий урожай — урожай победы!

Редактор _____

Ленинград, изд. УФО 1498

Blankiet gazetki ściennej

Gwoli prawdzie trzeba wyraźnie powiedzieć, że w ciągu paru dziesiątków lat po zakończeniu wojny sytuacja pod względem papieru radykalnie się zmieniła. Wojenne reperacje z pokonanych Niemiec ożywiły radziecki (obecnie: rosyjski) przemysł papierniczy i poligraficzny, że można mu pozazdrościć. Oto parę przykładów:

Przynajmniej pod tym względem życie 20 milionów obywateli radzieckich – ofiar wojny – nie poszło na marne.



Okolicznościowe
pozdrowienie



Kartka Noworoczno-
Bożonarodzeniowa



Koperta

*

Po powrocie do Polski czystego papieru mieliśmy w bród, zwłaszcza niewykorzystanych poniemieckich druków. Skrętnie je zbierałem i wykorzystywałem w miarę potrzeby; cieszyłem się samym ich posiadaniem – był to chyba skutek długotrwałego braku czystego papieru, co mi weszło w krew. Do dzisiaj bruliony różnych pism sporządzam na jednostronnie zapisanym papierze, bo jest mi trudno wyrzucić do kosza arkusik papieru zapisanego tylko z jednej strony! Ale ostatnio – choć „z bólem serca” – już wyrzucam. Gdy przez pewien czas wice-dyrektorowałem w uniwersyteckim instytucie, kultywowałem swoje nawyki odnośnie papieru, co wywoływało niekiedy zgryźliwe uwagi sekretarki. Po kilku latach gdy – już na emeryturze – zaszedłem po coś do sekretariatu, zobaczyłem przy powielaczu stosik jednostronnie zapisanego papieru. – *A to co?* zapytałem. – *Eee, tyle papieru się marnuje, trzeba jakoś go wykorzystać!* Być może ten mój nawyk oszczędzania papieru będzie miał więcej naśladowców ...

ROMAN DUDA

STANISŁAW FUDALI (1929-2015) – TRUDNE, DOBRE ŻYCIE

Stanisław Zbigniew Fudali, dla przyjaciół Staszek, pochodził z Kresów. Urodził się 11 listopada 1929 w Stanisławowie w rodzinie sędziego Łukasza (1895-1939) i Marianny Antoniny z Dziedziniewiczów (1906-1990). Rodzice byli wykształceni: ojciec miał doktorat prawa, był sędzią w Stanisławowie, matka studia na SGGW w Warszawie. W Stanisławowie i okolicach bieгло pierwszych dziesięć szczęśliwych lat jego życia, w tym początki nauki, tj. cztery klasy szkoły powszechnej. Na ten świat spokojnego dzieciństwa zwała się jednak katastrofa II wojny światowej. Stanisławów zajęli Sowieci i już 21 września 1939 roku ojciec został aresztowany przez NKWD, po czym – jako „wróg ludu pracującego” – stracony w grudniu 1939 roku. Jakby mało było tej tragedii, pozostała część rodziny została objęta drugą deportacją: 13 kwietnia 1940 roku zostali wywiezieni do wsi Presnoduty w północnym Kazachstanie. Nastąpiły bardzo trudne lata, w czasie których nie było oczywiście mowy o kontynuowaniu nauki. Szkoły we wsi nie było, a że był młody i silny, Staszek musiał pomagać rodzinie i pracować. Jego wielkim i przez lata niespełnionym marzeniem była czysta kartka papieru, od dzieciństwa bowiem ciągnęło go do pisania. Ponieważ jedynym dostępnym papierem były sowieckie gazety, Staszek próbował pisać między wierszami zadrukowanego tekstu. Dopiero latem 1946 roku udało im się opuścić Kazachstan i przenieść do Polski w jej nowych granicach¹.

Po przyjechaniu do Polski zaczęli nowe życie w paru miejscach, ale w końcu rodzina dziadka ze strony matki otrzymała, jako rekompensatę za pozostawione na wschodzie mienie, gospodarstwo w Szczawnie Zdroju na Dolnym Śląsku. To miejsce stało się ich nową „małą ojczyzną”. Staszek pomagał w gospodarstwie, a jednocześnie nadrabiał stracony czas: w 1947 roku ukończył Szkołę dla Dorosłych w Wałbrzychu, dwa lata później Gimnazjum dla Dorosłych w tym samym mieście i tam też zdał maturę w Liceum Wieczorowym w 1951 roku. Zdając maturę Staszek miał już 22 lata, ale chciał kontynuować

¹ Swoje życiowe drogi Staszek opisał w kilkutomowej serii wspomnień. Tom pierwszy serii opisywał dzieciństwo i pobyt w Kazachstanie: S. Fudali, *Osiemdziesiąt miesięcy w kleszczach sierpa i młota*, Szczecin 2004 (ISBN 83-920815-1-X). Tom ten został nagrodzony, co umożliwiło wydanie go w nakładzie 500 egzemplarzy, następne tomy serii już jednak własnym tylko sumptem wydawał, z konieczności w niewielkich nakładach dla rodziny i przyjaciół (jeden komplet całości znajduje się w zbiorach Ossolineum we Wrocławiu).

naukę i pójść na studia. W owych jednak czasach świeżo upieczeni maturzyści musieli mieć rekomendację Związku Młodzieży Polskiej, a tej Staszek nie dostał. ZMP uznał go za „wroga Polski socjalistycznej”, zamykając tym samym drogę na uniwersytet. Trzeba było pójść do pracy i rok szkolny 1951/52 Staszek przepracował jako nauczyciel w Zasadniczej Szkole Górniczej w Wałbrzychu. Tam uzyskał pozytywne opinie, które tym razem pozwoliły mu uniknąć opiniowania przez ZMP, mógł bowiem teraz starać się o dopuszczenie do studiów bądź przez zakład pracy (szkołę) bądź przez organizację związkową (Związek Nauczycielstwa Polskiego). Udało się i tym razem Staszek został już dopuszczony do egzaminu wstępnego, a po jego zdaniu rozpoczął studia matematyczne na Wydziale Matematyki, Fizyki i Chemii, wówczas jeszcze wspólnym wydziale Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu. Kierunek studiów wybrał wbrew woli rodziny, która wołała, by studiował prawo lub medycynę².

Wczesne lata pięćdziesiąte XX wieku były okresem przejściowym przechodzenia od studiów dwustopniowych (3+2) na jednolite 5-letnie studia magisterskie. Roczники przejściowe studiowały 4 lata i Staszek swoje studia matematyczne ukończył w 1956 roku, uzyskując magisterium na podstawie pracy z geometrii różniczkowej, którą przygotował pod kierunkiem docenta Abrahama Goetza. Od tej pory geometria różniczkowa stała się jego ulubioną dziedziną matematyki. Musiało jednak minąć kilka kolejnych trudnych lat, nim Staszek mógł do niej wrócić i zająć się nią poważnie.

Kochał matematykę, ale nie była ona jedyną jego pasją. Lubił także pisanie, zarówno literacką prozę, do której impulsów dostarczały mu obserwacje z codziennego życia, jak i poezję wyrażającą bardziej osobiste odczucia. Lubił także publicystykę popularnonaukową. Pierwsze próby literackie doprowadziły go do wyróżnienia udziałem w Pierwszym Ogólnopolskim Zjeździe Młodych Pisarzy, który miał miejsce w Oborach w maju 1952 roku. Potem pisywał przez całe życie, wieńcząc ten nurt swojej aktywności serią ciekawych wspomnień. Wyrazem zainteresowań poetyckich jest tomik poezji³, a przykładem pasji popularyzatorskiej wczesna książeczka⁴ i kilka później artykułów.

Na rok przed ukończeniem studiów Staszek poślubił koleżankę z roku Czesławę Olszynę (dla niego była to Czechna), starościnię naszej grupy. Rok później oboje byli już magistrami matematyki i pojawił się problem pracy dla obojga i życiowej stabilizacji. Absolwenci poprzednich roczników otrzymywali nakazy pracy, ale w 1956 roku ten system już się kruszył i Staszek z Czechną musieli szukać pracy sami. Znaleźli ją w Technicznej Oficerskiej Szkole Wojsk Lotniczych w Oleśnicy pod Wrocławiem, co miało dla nich tę zaletę, że Oleśnica była blisko Wrocławia, a Szkoła dała im mieszkanie. Zaczynał się już jednak Październik 1956 i po VIII Plenum KC PZPR szkoła oficerska została przekształcona na podoficerską, a ta nie potrzebowała już przedmiotów „cywilnych”, w związku z czym oboje zostali zwolnieni. Udało się to zwolnienie opóźnić o pół roku, zatrudniło ich bowiem jeszcze na krótko Centrum Edukacyjne dla oficerów bez matury, ale z końcem roku szkolnego 1956/57 musieli już definitywnie z Oleśnicy odejść.

² S. Fudali, *Miejsce postoju czyli pracujący uczeń. Wspomnienia z pierwszych lat po powrocie do Polski*, Szczecin 2005 (nakład własny w ilości 15 egzemplarzy).

³ S. Fudali, *Kwity burz*, Szczecin 2004 (ISBN 83-920815-0-1).

⁴ S. Fudali, *Język liczb, kształtu i miary*, Warszawa 1957.

O pracę nie było łatwo. Po wielu zabiegach udało im się ją znaleźć w Dzierżoniowie, Staszek w II LO, Czechna w I LO⁵. Tam przyszły na świat ich dzieci – Łukasz (urodzony 1958) i Ewa (urodzona 1964) – i tam mieszkali do roku 1970. Staszek swoją karierę nauczycielską zakończył jednak wcześniej, bo w roku 1964 został przyjęty na studia doktoranckie w Instytucie Matematycznym Uniwersytetu Wrocławskiego. Komunikacja między Dzierżoniowem a Wrocławem była wtedy uciążliwa, a trzeba było dojeżdżać do Wrocławia parę razy w tygodniu i zdarzało się, że Staszek podróżował w parowozie.



Profesor Stanisław Fudali (1929-2015)

Był jednak uparty i studia doktoranckie ukończył w terminie, uzyskując w grudniu 1967 roku stopień doktora matematyki na podstawie rozprawy z geometrii różniczkowej *k-wymiarowa hipersfera ściśle styczna do krzywej w n -wymiarowej przestrzeni euklidesowej*, której promotorem był profesor Władysław Ślebodziński (docent Goetz emigrował w 1958 roku do Stanów Zjednoczonych).

1 stycznia 1968 roku zaczął się nowy okres w życiu Staszka i jego rodziny, w tym bowiem dniu otrzymał nominację na adiunkta Instytutu Matematycznego Uniwersytetu Wrocławskiego (choć zajęcia prowadził już od jesieni

⁵ S. Fudali, *Miejsce postojów: Dzierżoniów czyli pan „profesor” od matematyki. Wspomnienia z lat kształtowania stabilizacji rodzinnej*, Szczecin 2009 (nakładem autora w liczbie 15 egzemplarzy).

1967), a w lipcu 1970 rodzina dostała mieszkanie we Wrocławiu⁶. Zaczynała się jego kariera akademicka, ale z nauczaniem nie zerwał, w latach 1968-1983 pracował bowiem także w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Inżynieryjnych we Wrocławiu (początkowo na drugim pełnym etacie, a potem na połówce etatu), kariera zaś akademicka także miała związek z nauczaniem w szkole. Instytut Matematyczny zaproponował Staszewi, jako doświadczonemu nauczycielowi, nauczanie w klasach matematycznych III LO we Wrocławiu, którymi się Instytut opiekował. Jednocześnie Staszek został kierownikiem kierunku matematyka z fizyką na Wyższym Studium Nauczycielskim przy Uniwersytecie Wrocławskim. Studium to właśnie wtedy powstało i szybko się rozwijało. W 1971 roku jego pracownikiem została także Czechna, a w 1973 r. Staszek został podniesiony do rangi wicedyrektora Instytutu Matematycznego do spraw kształcenia nauczycieli. Po czterech kolejnych latach, w roku akademickim 1975/76, Studium zostało przekształcone w sekcję nauczycielską na kierunku matematyka, w pełni stapiając się ze strukturą uniwersytecką, ale nieco później, w 1977 roku, Czechna została zwolniona z pracy na uniwersytecie.

Lata siedemdziesiąte były długo okresem stabilizacji rodziny i rozwoju jej członków. Dzieci dorastały, a wyższe dochody pozwoliły na kupno samochodu (Syrena 101) i zwiedzanie Polski. Z czasem jednak w małżeństwie zaczęło się coś psuć. Kryzys narastał i w 1984 roku doszło do rozwodu. Nastąpił podział majątku. Mieszkanie zostało przy żonie, a że na mieszkanie we Wrocławiu trzeba było wtedy czekać 15 lat, Staszek zaczął się rozglądać za nową pracą z mieszkaniem. I tak w 1983 roku został docentem kontraktowym Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Olsztynie, gdzie rektor obiecywał mu mieszkanie, ale władze miasta stawiały warunek: habilitacja. Staszek tego warunku nie spełniał. W tym czasie powstawał jednak Uniwersytet Szczeciński, a ten miał tak dotkliwe luki kadrowe, że od jesieni 1984 roku Staszek znalazł się w Szczecinie, dostał mieszkanie i tam już pozostał do końca życia⁷.

Uniwersytet Szczeciński powstał 21 lipca 1985 przez połączenie Wyższej Szkoły Pedagogicznej, Wyższej Szkoły Rolniczej i Wydziału Ekonomicznego Politechniki Szczecińskiej. W latach 1985-1989 Staszek był wicedyrektorem Instytutu Matematycznego, gdzie jego podstawowym obowiązkiem była organizacja pracy dydaktycznej, ale ponadto angażował się w ściąganie do Szczecina wysoko kwalifikowanej kadry, której wciąż brakowało, a także w różne inne działania na rzecz swego instytutu i swojej uczelni. Zrezygnował z tej funkcji z powodu konfliktu z dyrektorem, któremu zdarzyło się zażądać zmiany decyzji Staszka w sprawie rozkładu zajęć, ale pozostał kierownikiem Zakładu Geometrii Różniczkowej i nadal był bardzo czynny.

Jeszcze jako wicedyrektor zabiegał o założenie czasopisma dla matematyków szczecińskich, w którym chciał widzieć narzędzie promocji środowiska. Stosowne decyzje zapadły w 1986 roku, kiedy to powołano *Acta Mathematica Pomeranica*, po czym wyszły cztery tomy tego czasopisma (w latach 1992,

⁶ S. Fudali, *Geometra czyli adiunkt we Wrocławiu. Wspomnienia z lat zawodowego spełniania się (1967-1984)*, Szczecin 2008 (nakładem autora w liczbie 10 egzemplarzy).

⁷ S. Fudali, *Quasi-historyk czyli adiunkt w Szczecinie. Wspomnienia z lat realizowania pasji zawodowych (1984-1999)*, Szczecin 2014 (nakładem autora w liczbie 8 egzemplarzy).

1994, 1996 i 1999), a potem ono padło. Materiał zbierano z trudem, bo lepsze prace wolano wysyłać do czasopism o ustalonej renomie, a słabszych Staszek nie chciał przyjmować. A w końcu, po odejściu Staszka, zabrakło zaangażowania i woli kontynuacji.



Budynek Wydziału Matematyczno-Fizycznego Uniwersytetu Szczecińskiego.
Fot. Robert Szyjanowski

W roku 1990 Staszek został wybrany prezesem Oddziału Szczecińskiego Polskiego Towarzystwa Matematycznego i pełnił tę funkcję z dużym oddaniem przez dwie 2-letnie kadencje. Od czasów jeszcze szkolnych zainteresowany historią matematyki, zaangażował się też w organizację kilku Ogólnopolskich Szkół Historii Matematyki, organizowanych pod egidą Komisji Historii Matematyki PTM. Pierwsza taka szkoła odbyła się w Pokrzywnej koło Opola w 1985 roku, a następne w krótkich odstępach czasu. Wiele z nich organizował Staszek, w tym II (Lubin koło Międzyzdrojów, maj 1987), IV (Pogorzelica, maj 1989), V (Dziwnów, maj 1991), VII (Międzyzdroje, maj 1993), IX (Międzyzdroje, czerwiec 1995), XI (Kołobrzeg, maj 1997), XIII (Kołobrzeg, maj 1999), XV (Kołobrzeg, maj/czerwiec 2001). Organizowane przez Staszka Szkoły cieszyły się dużym powodzeniem, a był on nie tylko organizatorem, ale nadto miewał na nich odczyty, a potem redagował i wydawał materiały tych szkół (za wyjątkiem VII, materiały z której redagował i wydał W. Więśław).

W roku 1995 Staszek został przeniesiony na emeryturę, ale pracował jeszcze na ½ etatu jako starszy wykładowca. W tym czasie opublikował roz-

prawę z geometrii intuitywnej⁸, na podstawie której chciał się habilitować (w wieku 66 lat!) w Instytucie Matematycznym Politechniki Warszawskiej, gdzie byli odpowiedni specjaliści. Z jakichś powodów do habilitacji jednak nie doszło.

Wiosną 1990 roku Staszek poznał (poprzez przeczytane ogłoszenie matrymonialne) wdowę Anielę Okienko z Wołogradu, która przebywała wtedy z wizytą u siostry we Wrocławiu. Zaiskrzyło między nimi i przez kilka kolejnych lat spotykali się na przemian w Wołogradzie (latem) i Szczecinie (zimą), a w styczniu 1997 wzięli ślub. Stanowili zgodną i kochającą się parę dwojga oddanych sobie ludzi.

W kwietniu 1999 roku spadł jednak nieoczekiwany cios: Staszek doznał wylewu krwi do mózgu, a jego skutkiem był częściowy paraliż i porażenie ośrodków mowy. Intensywne leczenie i uparta rehabilitacja, wsparte ogromnym wysiłkiem woli Staszka i troskliwą opieką Anieli, dokonały cudu: Staszek odzyskał zdolność samodzielnego poruszania się i mowy (z niewielkimi ograniczeniami). O życiu tak aktywnym jak dawniej mowy już jednak nie było.

Staszek zmarł 27 kwietnia 2015 roku w Szczecinie i pochowany został w Wałbrzychu.

Moja znajomość ze Staszkiem zaczęła się w 1952 roku, kiedy razem rozpoczynaliśmy studia matematyczne, a cieplejszych barw nabrała po jego powrocie na uniwersytet wrocławski w 1964 roku i trwała do końca jego życia. Z natury rzeczy moje nazwisko pojawia się więc dość często na kartach jego pamiętników. Między innymi Staszek wspominał niektóre epizody i działania z moim udziałem, np. swoją inicjatywę ufundowania tablicy poświęconej wybitnemu matematykowi niemieckiemu Hermanowi Grassmannowi (1809-1887), którego aktywne życie zawodowe biegło w XIX-wiecznym Szczecinie, a która to tablica zawisła na ścianie Instytutu Matematyki Uniwersytetu Szczecińskiego.

Moja rola w tym przypadku polegała na nawiązaniu kontaktów z matematykami niemieckimi i skłonienia ich do udziału w tym przedsięwzięciu. Pamiętam też jak któregoś dnia Staszek zjawił się u mnie w Ministerstwie Edukacji Narodowej (byłem wtedy podsekretarzem stanu odpowiedzialnym za szkolnictwo wyższe) z prośbą o wsparcie na druk materiałów któreś z jego Szkół. Materiały wyszły. Nasza przyjaźń obracała się głównie wokół matematyki, ale można też powiedzieć, że związana była z jego cechami charakteru, a przede wszystkim z niezwykle silnym u niego imperatywem stałego przekraczania osiągniętych granic, wspartym niezwykłą siłą woli, w czym czasem udawało mi się go wesprzeć. Ten jego charakter pozwalał mu przetrwać tak trudne okresy jak deportacja do Kazachstanu, czy wieloletnie dojazdy z Dzierżoniowa do Wrocławia połączone z pracą naukową, i tak głębokie kryzysy jak rozpad pierwszego małżeństwa i szukanie nowego miejsca do życia czy wylew i żmudna rekonwalescencja. Był człowiekiem walki. Na każdym stanowisku angażował się bez reszty, nie tylko solidnie i uczciwie wykonując przyjęte na siebie obowiązki, ale także występując z dodatkowymi inicjatywami, które przysparzały mu pracy, a nieradko i wrogów, ale które zawsze służyły dobru środowiska, jak choćby czasopismo *Acta Mathematica Pomeranica* czy osiem zorganizowanych przez niego Szkół Historii Matematyki, które znakomicie się przysłużyły integracji i rozwojowi polskiego środowiska historyków matematyki.

⁸ S. Fudali, *Pokrycie homotetyczne, oświetlenie i stabilizacja figury wypukłej*, 1995.



Tablica poświęcona H. G. Grassmannowi (1809-1887)
odśnięta w 1994 r. Fot. Robert Szyjanowski

W ostatnim liście, który otrzymałem od Niego na parę tygodni przed śmiercią, pisał:

Obecnie jestem mocno schorowany: niewydolność serca (pracuje w 30% swojej powinności [...]) i w związku z tym niewydolność krążenia z konsekwencjami. Nogi mam opuchnięte, poruszam się z trudem, a przy tym pozostała mi pamiątka po 40-letnim paleniu papierosów: przewlekła obturalna choroba płuc, co przejawia się notoryczną zadyszką. Na domiar tego ogłuchłem na lewe ucho i przygłuchłem na prawe. Ot, nieplanowane uroki starości!

Na pocieszenie została mi (takie mam wrażenie!) niejaka sprawność umysłowa [...]. Od czasu do czasu napiszę jakiś artykułik wspomnieniowo-refleksyjny bądź z historii matematyki. Ostatnio piszę do „Zesłańca” o marzeniach o niezapisanym kawałku papieru [...]. Pozdrów ode mnie prof. Kuczyńskiego.

[...] Łączę bardzo serdeczne pozdrowienia, Staszek

Taki serdeczny obraz Staszka pozostał w mojej pamięci.

ANNA I ROLAND MŁYŃKOWIE

**BOLESŁAW SZOSTAKOWICZ (3 X 1945 - 17 VII 2015).
WSPOMNIENIE O WYBITNYM HISTORYKU
Z IRKUCKA**

W dniu 17 lipca 2015 roku zmarł nagle w Irkucku Bolesław Szostakowicz, nieodżałowany przyjaciel Polaków. Cios tym bardziej bolesny, że do ostatnich chwil życia zajmował się sprawami zawodowymi i nikt nie spodziewał się Jego zgonu. Był doktorem nauk historycznych, profesorem Irkuckiego Uniwersytetu Historycznego, od kilku lat pełnił funkcję przewodniczącego Naukowej Komisji Kongresu Polaków w Rosji. Jego dorobek został wysoko oceniony przez nasze władze, czego dowodem są przyznane mu odznaczenia „Złotego Krzyża Zasługi” (1997) i „Krzyża Kawalerskiego Orderu Zasługi” (2013). Za wybitne osiągnięcia w promowaniu polskiej kultury odznaczony został medalem „Pro Polonia” przez ośrodek naukowy z Poznania.

Wraz z odejściem Profesora zamknęła się chwalebna księga dokonania słynnego rodu Szostakowiczów z linii irkuckiej. Jego prapradziad Piotr Michajłowicz Szostakowicz był Polakiem spod Świącian, który po ukończeniu Wileńskiej Akademii Medyczno-Chirurgicznej pracował jako weterynarz. Pradziad – Bolesław Piotrowicz początkowo zajął się polityką, wiążąc się z „Ziemią i Wolą”, za co osadzono go w twierdzy Pietropawłowskiej, a potem zesłano w głąb Rosji. Gdy osiadł w Irkucku objął posadę prezesa Oddziału Syberyjskiego Banku Handlowego. Miał siedmioro dzieci¹. Dziad Bolesława Siergiejewicza – Władimir Bolesławowicz był znanym uczonym, z wykształcenia geofizykiem. Pracował jako konserwator Muzeum Wschodnio-Syberyjskiego, później jako doktor filozofii Uniwersytetu w Bazylei. W Irkucku mieszkał do śmierci syn Władimira – Siergiej Władimirowicz, sinolog, znawca Wschodu i prawnik. Od 1944 roku do końca lat 70-tych prowadził katedrę historii ogólnej w Irkuckim Państwowym Uniwersytecie². Jego syn – Bolesław Siergiejewicz kontynuował tradycje rodzinne. Jednak swojej córce nie przekazał znajomości języka polskiego, więc zapewne nie pójdzie ona w ślady Ojca.

¹ Jednym z nich był Dymitr Szostakowicz, który miał syna o tym samym imieniu, słynnego kompozytora. Potomkowie tej linii Szostakowiczów żyją w Sankt Petersburgu do dziś.

² Jego droga naukowa została przedstawiona w książce *Pamięci Siergieja Władimirowicza Szostakowicza. Wspominanie i naucznyje stat'ji k 100-letju so dnia roždienija*, Irkuck 2002.



Tablica memoratywna na budynku,
w którym mieszkał profesor Siergiej Szostakowicz.

Profesor Szostakowicz niechętnie mówił o sobie. Z pozoru robił wrażenie niezbyt wylewnego, dość oschłego w obyciu i zajętego głównie swoimi sprawami. Wynikało to, jak sądzimy, z poczucia braku czasu na badania wydarzeń historycznych i z rosyjskiego pragmatyzmu. W wywiadzie dla gazety „Piatnica” z 06.06.2014 roku przedstawił przebieg swojej kariery naukowej. Według tej relacji ukończył wydział historyczny i zaczął zajmować się amerykanistyką. Na uniwersytecie brakowało jednak znawców dziejów Polaków na Syberii. Zadanie to powierzono właśnie jemu, wówczas młodemu aspirantowi. Problematyką tą zajmował się ponad 40 lat. Prawdopodobnie był ostatnim wybitnym znawcą losów Polaków w Syberii (szeroko rozumianej). Wciąż jednak szperał w archiwaliach, wynajdując nowe ich ślady. Szczególnie interesowały go losy Polaków w Irkucku.

O ile wiemy, do głównych pasji profesora Szostakowicza należała nauka i podróże. Był też lokalnym patriotą, czemu trudno się dziwić, jako że od trzech pokoleń rodzina zajmowała ważne miejsce w tej społeczności. Zresztą Irkuck znał jak mało kto. Kiedy przybyliśmy tam z pielgrzymką, bezinteresownie poświęcił cały dzień, aby nas oprowadzić po mieście. Lubił wynajdywać lokalne specjały, jak na przykład buriackie pozy, w których zasmakował Roland. Nic mu jednak nie sprawiało takiej przyjemności, jak książki. Sam zresztą był autorem kilkuset publikacji, z czego ponad dwieście to monografie, artykuły, biogramy i recenzje poświęcone związkom polsko-syberyjskim. Jego pierwszą książką na ten temat była opublikowana w 1973 roku monografia pt. *Polacy na Syberii w latach 1870-1890*. W ostatnich latach zajmował się redakcją i koordynacją ważnej serii „Biblioteka polsko-syberyjska”.

Książki z tego cyklu miały prezentować w języku rosyjskim polskie źródła bibliograficzne dotyczące systemu represji w Rosji, relacji pamiętnikarskich z walk powstańczych przeciw caratowi, wędrówki etapami na zesłanie oraz na katorgę. Drugim nurtem biblioteki są książki o tematyce graficznej prezentujące artystów i ich dzieła tworzone na Syberii (pierwszy z tej serii był album o Leopoldzie Niemirowskim³, planowane są publikacje o Stanisławie Katerli, Aleksandrze Sochaczewskim i innych). Profesor po latach pracy otrzymał maleńki, załadowany stosami książek pokoić na Uniwersytecie, w którym prowadził własne studia. Był zresztą z niego dumny, bo nie każdy z wykładowców zasłużył sobie na oddzielny ką⁴.



Prof. dr Bolesław Szostakowicz (1942-2015).

³ L. Niemirowski, *Podróż po Syberii Wschodniej*, Irkuck 2010.

⁴ Ród Szostakowiczów jest słynny na Uniwersytecie Irkuckim. Na korytarzu w Katedrze Historii wisi duża tablica pamiątkowa poświęcona Profesorowi Siergiejowi Władimirowiczowi Szostakowiczowi.

Po wyjściu z uniwersytetu nie kończyła się Jego praca, kontynuował ją w domu. Miał ku temu dobre warunki. Mieszkał przy ulicy Timiriazewa w mieszkaniu po rodzicach. Jednopiętrowy dom o paru mieszkaniach przesiąknięty był naukową atmosferą, która zapanowała tu, kiedy zajmował go jeszcze jego ojciec⁵.

Budynek ten jest położony w głównym punkcie handlowym Irkucka. Znajduje się przy Centralnym Rynku prawie naprzeciw warzywnego i kocięgo targu. Z miejscem tym wiąże się pewna historia, której bohaterami byli Profesor i kot. Na targu w dużych pudłach mieściły się dziesiątki kolorowych kociaków, wymieszane ze szczeniakami. Barwy były tak zaskakujące jakby w pudełkach kończyła się tęcza. Nigdy wcześniej nie widzieliśmy ich w takiej ilości. Jako miłośnik kotów, Roland za każdym razem po przyjeździe do Irkucka swój pobyt zaczynał od wizyty na tym rynku.

Znając jego upodobania, Profesor powiedział mu, że wracając pewnego wieczoru do domu spotkał na chodniku małą syberyjską kotkę. Wziął ją do siebie, bo wiedział, że to uciekinierka z pudełka. Kotka otrzymała imię „Noczka” i zamieszkała na stałe wraz z Profesorem. Szostakowicz żył nauką i w swojej pracy ciągle się śpieszył. Jakby miał świadomość, że jest jednym z ostatnich badaczy Polaków na Syberii Wschodniej. W rozmowach z nim dało się nawet odczuć pewną nutkę żalu do naszych historyków, że nie ma między naukowcami z Polski i z Rosji obiegu informacji, przez co praca badawcza jest utrudniona. W miarę możliwości pomagał historykom, gdyż miał dostęp do różnych źródeł, w tym do niezbyt chętnych cudzoziemcom archiwów irkuckich. Zdarzało się, że powściągliwie reagował na problemy swoich ziomków. Ponieważ bardzo często zwracano się do niego z różnymi prośbami, z konieczności musiał je selekcjonować, nawet, gdy pochodziły od prominentnych urzędników. Dla petentów czasem był przysłowiową ostatnią „deską ratunku”. Zwracano się do niego, gdy nie uzyskało się pomocy z konsulatu, z polskiej katedry z siedzibą biskupa, czy z parafii w starym kościele. Uważano go za roztropną duszę Polskiej Autonomii Kulturalnej w Irkucku „Ogniwo”, której był wiceprezesem. Trwałym tego znakiem jest spopularyzowanie dorobku tamtejszych Polaków w czasopiśmie „Ziemia Irkucka” drukowanym w wydawnictwie o tej samej nazwie⁶ oraz udział w licznych imprezach kulturalnych. Trzeba dodać, że Profesor Szostakowicz był symbolem ruchu polonijnego nie tylko na Syberii, ale też w całej Rosji.

⁵ Na ścianie zabytkowego budynku pod oknem wychodzącym na ulicę znajduje się tablica pamiątkowa poświęcona także Siergiejowi Władimirowiczowi Szostakowiczowi (zwanego „Starym profesorem” w odróżnieniu od Bolesława, czyli „Młodego profesora”).

⁶ Teraz, gdy Profesora Szostakowicza już nie ma, działalność wielu irkuckich instytucji związanych z Polakami, staje pod znakiem zapytania. Parafia stworzona przez ojca Ignacego Pawlusa – salwatorianina nie istnieje. Następcy nie potrafili udźwignąć powierzonych im zadań. W starym kościele kaplica pod salą organową (gdzie sprawowane są msze) jest zamknięta. Niebawem Konsulat Polski ma zostać przeniesiony do Nowosybirsk. Organizacja autonomii kulturalnej „Ogniwo” została „okaleczona”. Katedra wymaga pilnego remontu, warunki materialne księży mieszkających w diecezji są ciężkie. Ksiądz biskup zabiega w Polsce o wsparcie finansowe aby jakoś przeżyć. Wydawnictwo „Irkucka Ziemia” zostało zlikwidowane. Odszedł człowiek – historyk znający język polski w mowie i piśmie pochodzący z legendarnego rodu Szostakowiczów. Biorąc pod uwagę te wszystkie zbiegi okoliczności, perspektywy na przyszłość rysują się w ciemnych kolorach.

Inną formą Jego działalności była ochrona zabytków Irkucka. Walczył o zachowanie drewnianej historycznej zabudowy, o odnawianie i konserwację niszczących budynków. Postulował przeprowadzanie na placach nowych inwestycji rozpoznania archeologicznego. Tą działalnością nie zyskał sobie popularności wśród „nowych Rosjan” (tamtejszych nowobogackich). Był dobrym kompanem biesiad, jednakże potrafił zdominować każdą dyskusję, dzięki rzeczowej argumentacji⁷. Na tematy zesłań, katorgi mógł opowiadać bez końca. Nie lubił jednak niektórych niewygodnych pytań, zaczynających się od słów „czy to prawda”. Jedno z takich zapytań brzmiało: „Czy to prawda, że w Irkuckim Archiwum są całe zespoły akt carskich, dotyczące zesłań, które są zapakowane od czasów rewolucji, kiedy z nakazu nowych władz pozyskiwano czysty papier przedzierając dokument na połowę jeśli kartka nie była zapisana”. Na to pytanie Profesor odpowiedział: „Tak, papier uzyskano”, a administracja dostała go ponad tonę.



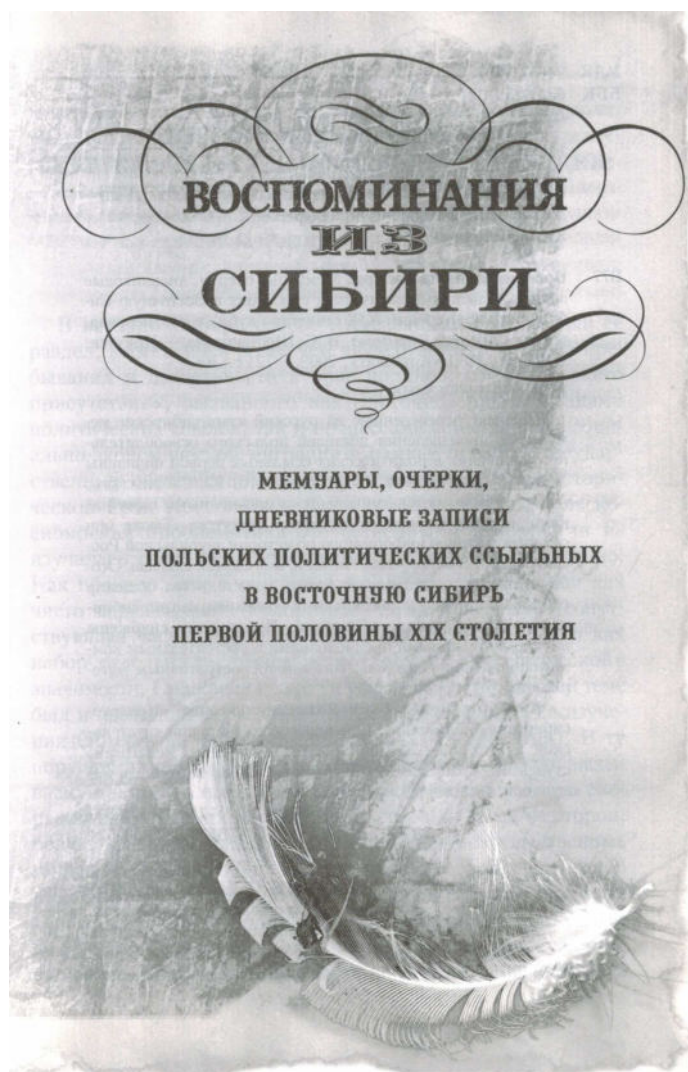
Bolesław Szostakowicz z polską pielgrzymką na rzece Angarze

Do Polski przyjeżdżał często wygłaszając cykl wykładów dotyczących Polaków na Syberii. Jego dużym i nie zrealizowanym marzeniem była chęć udostępnienia irkuczanom galerii obrazów Aleksandra Sochaczewskiego, znajdujących się w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej. Malarz ten, przebywający

⁷ Pewnego razu gdy Roland umówiony był z Siergiejem Miedwiediewem autorem albumów z pocztówkami starego Irkucka, gospodarz wprost powiedział aby nie zapraszać B. Szostakowicza bo wtedy nie porozmawiamy gdyż profesor będzie wygłaszał niekończący się monolog.

na zesłaniu w Usolu i w Irkucku, miał dla niego wielkie znaczenie, gdyż zwano go „kronikarzem syberyjskiej katorgi”, zaś na terenie, na którym mieszkał nie ma żadnej jego pracy. Pomysł ten miał wszelkie szanse powodzenia, bo był gorąco popierany przez Panią dyrektor Muzeum Sztuk Pięknych im. Suchaczowa w Irkucku, prywatnie żonę profesora. Także polski konsul czekał na decyzję z Warszawy, której nie otrzymał.

Śmierć Profesora Szostakowicza przerwała wszystkie te starania. Pozostaje nam tylko mieć nadzieję, że spośród wielu uczących się pod jego kierunkiem studentów, są i tacy, którym wpoił swoje ideały. Dzięki temu możemy sądzić, że w jakimś sensie Jego dzieło będzie kontynuowane.



Pierwszy tom serii „Polsko-Syberyjska Biblioteka” wydawanej w Irkucku, której ojcem chrzestnym był Bolesław Szostakowicz

ROBERT SZYJANOWSKI

MANGYSTAU ŚWIAT NA DNIĘ

Woda wyparowała miliony lat temu. Pozostało słonawe wspomnienie zapisane w pustynnym krajobrazie. Wśród tonących w słońcu – śnieżnobiałych solnisk, kolorowych skał, wydm i depresji, odnaleźć można ukryte pod ziemią starożytne meczety i obserwować wyjątkowe obrzędy tutejszych mahometan. Od 1851 roku, kiedy to Bronisław Zaleski – zesłaniec w rosyjskim szynelu, rysownik, autor ciekawych relacji ze swoich stepowych podróży, został wyeksponowany na półwysp „Mangiszlak” i na rozkaz carskich władz przemierzał góry Karatau, żaden Polak nie zapuszczał się wnikliwiej w ten do dziś słabo znany, a pod wieloma względami wyjątkowy rejon.

Mangyszlak? Słowo usłyszane po raz pierwszy nie kojarzyło się zupełnie z niczym – pojawiło się 11 lat temu, na zachód od Irkucka. Spotkani na drodze Rosjanie rozpoczęli wyprawę do Chin i Tybetu. Paweł Kuśmierski i ja, po trzech miesiącach w terenie, wracaliśmy z podróży śladami Benedykta Polaka. Całą noc brataliśmy się na poboczu „federalki” – jak Rosjanie nazywają jedyną drogę łączącą Moskwę z Władywostokiem. Jeden z nich – Piotr (po paru wódkach Pietia) – opowiadał o jakimś nad wyraz ciekawym rejonie Kazachstanu, stwierdzając na koniec kategorycznie, że musimy tam kiedyś razem pojechać. To, co z jego entuzjastycznych wprost wywodów zostało mi w głowie, po latach skurczyło się do kilku niewyraźnych wspomnień i tego dziwaczного słowa. Może właśnie z powodu tej nazwy, a może okoliczności, w jakich pojawił się w atlasie świata ten dotąd utajony skrawek mapy, Mangyszlak przypominał mi się po latach, kiedy zacząłem myśleć o ponownej podróży do Kazachstanu. Zabrałem się do poszukiwań informacji. W przewodnikach i w internecie znalazłem niewiele, ale dowiedziałem się przynajmniej, że obecnie obowiązująca polska nazwa regionu to Mangystau. Dopiero kiedy wpisałem w wyszukiwarkę to samo grażdanką – po rosyjsku, zacząłem rozumieć entuzjazm Pietii. Ze strony na stronę byłem coraz bardziej zaintrygowany. Potem dotarła do mnie jeszcze książka od niezawodnego profesora Antoniego Kuczyńskiego *Wspomnienia z Uralu i stepów kazachskich* (Wrocław 2008), z relacjami Bronisława Zaleskiego i z jego sztychami z północnej części Mangystau – książka z ekslibrisem, pewnie zdjęta prosto z półki. Ponieważ pozostało jeszcze sporo przygotowań do podróży, postanowiłem, że wspomnienia Zaleskiego tymczasem odłożę, a będę je czytał tam gdzie on je pisał – na pustynnym półwyspie.

Bronisław Zaleski

Warto przypominać tą nietuzinkową postać, do dziś jego dokonania budzą podziw. W czasie odbywania karnej służby w carskiej armii Zaleski przez

lata obserwował i opisywał tradycje ludów zamieszkujących stepy Kazachstanu. Podziwiał krajobrazy, poznawał stepowe zwyczaje i uwieczniał je na swoich rysunkach, w relacjach i listach. Jego ilustrowany album *La vie des steppes kirghizes* wydany w Paryżu w 1865 r. był dla Europejczyków przez długi czas jedynym źródłem wiedzy o Kirgiz-Kasjakach (Kazachach). Urodził się w 1819 lub 1820 roku we wsi Raczkiewicze, obecnie na Białorusi. W roku 1838 studiując na Uniwersytecie w Tartu (Estonia) został Zaleski uwięziony za działalność niepodległościową i zesłany do Czernihowa. Przebywał tam do roku 1845. Po powrocie ponownie trafił do więzienia, tym razem za swoją działalność patriotyczną w Wilnie, wcielony do carskiej armii i zesłany do Orenburga i na tereny Kazachstanu, gdzie pozostał do roku 1856. W 1851 r. uczestniczył w ekspedycji geologicznej Aleksandra Antipowa. Wraz z Tarasem Szewczenką, z którym bardzo się zaprzyjaźnił i Ludwikiem Turno poszukiwał węgla kamiennego na półwyspie Mangyszłak nad Morzem Kaspijskim. Na początku lat sześćdziesiątych przebywał w Dreźnie, Rzymie i Paryżu. Zajął się dostarczaniem broni dla ruchów niepodległościowych w Polsce i Białorusi. Zaleski był związany z kręgiem Hotelu Lambert. Był zaprzyjaźniony z Cyprianem Kamilem Norwidem i pisarzem Aleksandrem Pleszczejewem. Zmarł na gruźlicę w Mentonie (Francja).

Wątek ukraiński

Dotarcie samochodem ze Szczecina na Mangystau zajęło nam 9 dni. Byliśmy sami, Dorota i ja. Tak się złożyło – koledzy mieli inne plany. Z Pietią próbowałem się skontaktować, ale się nie odezwał. Przejechaliśmy przez Polskę, Ukrainę, Rosję i Kazachstan zatrzymując się po drodze na jeden dzień w Kijowie. Prawie pół roku po protestach i krwawych walkach na Majdanie, teraz ścierali się tutaj chcący uporządkowania placu mieszkańcy centrum Kijowa z wywołującymi nocne burdy zapijaczonymi „gierojami”, którzy bełkocząc o swoim często wątpliwym bohaterstwie i konieczności kontynuowania protestów, wciąż gnieździł się w majdanowych namiotach. Tysiące ludzi skrzyknęło się w sieci i przyszło na plac, żeby uprzątnąć ogromne sterty śmieci i opony, które nie zdążyły spłonąć zimą na barykadach. Na okopconym na czarno placu teraz płonęły wojskowe namioty. Z dużego plakatu zawieszzonego na budynku Międzynarodowego Centrum Kultury przy ulicy Instytuckiej, tej na której zginęło kilkudziesięciu bojowników niebiańskiej sotni, na plac spoglądał Taras Szewczenko. Dziwnym trafem właśnie tego roku na Ukrainie obchodzono 200 rocznicę jego urodzin. Szewczenkę i Zaleskiego połączył wspólny zesłańczy los, romantyzm, zamiłowanie do sztuki i Mangystau, który teraz był także naszym celem. Poznali się w 1850 r. kiedy Szewczenko powrócił do Orenburga z wyprawy nad Morze Aralskie. Bronisław Zaleski miał mu pomóc w dokończeniu prac nad ilustracjami z tej ekspedycji. Niedługo potem w 1851 r. obaj wylądowali na półwyspie Mangystau. Zaleski pisał:

Dostawszy się do Orenburga w 1848 r., zastałem już tam Szewczenkę żołnierzem od roku w jednym z miejscowych batalionów, a pozostał nim jeszcze całych lat dziesięć. Położenie jego tyle było dotkliwszym od położenia wielu z nas, że wiek późniejszy trudniejszym czynił nałamanie się do musztry i życia żołnierskiego, a własnoręczny cesarza Mikołaja dopisek na wyroku skazującym

go na prostego żołnierza zabraniał mu pisać, rysować i śpiewać. Orłowi skrzydła związać, słowikowi gardziel zamknąć byłoby toż sam – i trzeba było zaiste wyłączonej, zaciętej nienawiści, aby dla poety, malarza i namiętnego miłośnika muzyki podobną wymyślić katuszę. [...] Jedno lato przyszło mi spędzić z nim razem w zakaspijskim stepie (na półwyspie Mangiszlak), podczas ekspedycji wysłanej dla szukania tam kamiennego węgla. Często rysowaliśmy razem i nieraz mawiał mi wtenczas, że rysując rzewliwie się modli, bo dziękuje Bogu za tę wielką pociechę, a w liniach stepowego konturu, w ździebełku trawy i biednego krzaczku pustyni czuje piękność stworzenia, mądrość i wszechmoc bożą. Pod wspólnym namiotem z wojłoku niejedna na rozmowie zesłała nam godzinę i on, zazwyczaj w sobie zamknięty, wtenczas roztapiał się czasem i wewnątrz duszy swojej otwierał. Ruś była ulubionym rozmów jego jak wszystkich myśli i uczuć przedmiotem.

Kazachski zaułek AD 2014

Półwysep zajmuje sporą część wschodniego wybrzeża Morza Kaspijskiego. Morze z nazwy – tak się przyjęło. Faktycznie jest wielkim słonym jeziorem, aktualnie największym jeziorem na globie. Razem z Morzem Czarnym i prawie już nieistniejącym Jeziorem Aralskim jest ono pozostałością po pradawnym morzu Sarmackim, uwięzionym 20 milionów lat temu przez przemieszczające się kontynenty. Cały przylądek, tak jak znaczna część kazachskich stepów, jest wyschniętym dnem tego przebrzmiałego akwenu. Dzisiejszy region administracyjny Mangystau ma powierzchnię prawie dokładnie taką jak połowa Polski. Żyje na tym obszarze ok. 380 tys. ludzi. Stolicą obwodu jest powstałe zaledwie 54 lata temu miasto Aktau, które w latach 1964-1991 nosiło nazwę Szewczenko. Nowopietrowsk przemianowywano kilka razy, aż w 1939 r. nadano mu dzisiejszą nazwę Fort Szewczenko. Ze względu na pustynny charakter i bardzo silne zasolenie gleby cały region cierpi wielki niedostatek wody pitnej. Aktau może funkcjonować wyłącznie dzięki odsalaniu wody morskiej, a w terenie z nielicznych studni ciągnie się ciecz mniej lub bardziej małosolna. Pod ziemią jest za to ropa i złoża gazu. W pobliżu stolicy znajduje się ponoć największa na świecie odkrywkowa kopalnia rudy uranu. Ta ziemia długo nie znała człowieka. Kiedyś omijany, surowy i prawie zupełnie jałowy kraj, teraz okazuje się dziedziną bogato obdarzoną przez naturę. Teraz region się bogaci – choć do Arkadii stąd daleko. Coraz bardziej intensywna eksploatacja bogatych złóż wywołuje dramatyczne problemy społeczne. Ledwie 4 lata temu w miejscowości Żanaozien – nafcjarskiej stolicy półwyspu, w wyniku akcji kazachskich służb zginęło ponad 70-ciu strajkujących nafcjarzy, a około 200 osób zostało rannych. Opowiadano nam, że przez kilka miesięcy miasto i okolice były otoczone przez wojsko i policję. Cała sprawa miała niewielki rozgłos poza Kazachstanem. Mangystau to ukryta niespodzianka, tajemniczy kazachski zaułek. Do dzisiaj mało kto się tu zapuszcza. Ten stosunkowo nieduży obszar (jak na Kazachstan) cechuje niespotykana różnorodność pustynnych krajobrazów i geologicznych osobliwości. Znaczna część półwyspu jest dosłownie pokryta skamielinami żyjących tu kiedyś stworzeń: ryb, gąbek, głowonogów, koralowców a nawet wielorybów. Od wschodu obszar ograniczają czinki (jak miejscowi nazywają urwiska) zachodniej krawędzi płaskowyżu Ustiurt, od zachodu niegorsze wybrzeże, a na południu granica Turkmenistanu i Zatoka Kazachska.

Zaleski miał pełną świadomość zjawisk geologicznych, które kształtowały tutejszy krajobraz. Pisał:

Kiedyś cała ta przestrzeń, dzieląca dziś dwa morza, Aralskie i Kaspijskie, pokrytą była falami, powierzchnia wyraźne tego ślady nosi dotychczas. Siły wulkaniczne podniosły ją i uformowały wyniosłość Ustiuerta, a w jednym miejscu, w kierunku pasma Karatau, rozdarły nawet powierzchnię i wyniosły nad nią głęboko w łonie ziemi spoczywające dotąd pokłady, które te góry składają

Krajobrazy Mangystau są istotnie niezwykle. Absolutną piękną jest Depresja Karynżaryk. Zaleskiemu nie udało się dotrzeć aż tak daleko na południowy wschód. W swoich relacjach nie wspomina o tutejszych depresjach w ogóle, a w całym regionie jest ich wiele. Najgłębsze są Czarne Usta – Karakija. To piąta depresja na ziemi (132 m p.p.m.), ale poza rankingiem i nazwą nie wyróżnia się niczym specjalnym. Jej dnem prowadzi asfaltowa droga z Aktau do Żanaozen. Piękna Karynżaryk leży na 70 m p.p.m., w rejonie trudno dostępnym i bardzo rzadko odwiedzanym.



Depresja Karynżaryk, fot. Dorota Szyjanowska

Dotarcie z Aktau do jej południowej krawędzi zajęło nam dwa dni. Ledwo przebiliśmy się przez pustynię (o tej samej nazwie) otaczającą depresję od zachodu, kiedy natknęliśmy się na kazachskich pograniczników (dwadzieścia kilka kilometrów od granicy Turkmenistanu). Ścigali nas wzniesając tumany pustynnego pyłu podskakującą na bezdrożu jak zabawka ciężarówką. Daliśmy się dogonić po kwadransie. Potem, już zaarrestowani, pod bronią zostaliśmy odeskortowani do niewielkiego posterunku. Wojskowi przenikliwie przeszli pod słońce kartki naszych paszportów, potem zaczęli sprawdzać samochód. Wszelkie podejrzenia przełamało odkrycie przez nich wśród bagaży butelki zubrówki – a to co? Nie zastanawiając się długo oznajmiłem, że to właśnie jest prezent, który specjalnie dla nich przywieźliśmy aż z Polski. To załatwiło sprawę.

Pół godziny później po raz pierwszy zobaczyliśmy wysadzone różowymi skałami lśniące solnisko spoczywające pod urwiskiem płaskowyżu. Pięć odosobnionych, kolorowych gór wznosi się wysoko ponad płaszczyznę śnieżno-białego dna, ciągnącego się z południa na północ na długości 80 km. Wieczorem podziwialiśmy Karynżaryk z góry, z płaskowyżu. Różnica wysokości między dnem depresji a krawędzią Ustiurt dochodzi miejscami do 400 m. Skała i przestronność tego fantastycznego krajobrazu jest trudna do uchwycenia – oszałamiająca. Jeśli ktoś lubi pustynię, Mangystau zachwyci go swoją różnorodnością oferując wiele nadzwyczajnych miejsc i przeżyć. Pomiedzy pasmami Karatau i Aktau stoi potężna Góra Szerkała (Tygrysia) – ponad 300-metrowy, odosobniony, ogromny ostaniec, nad którym zachwycał się Zaleski i który uwiecznił na jednej ze swoich rycin. Cały przylądek pokryty jest polami powstałych na dnie morza wapiennych konkrecji. W miejscu zwanym Torysz, jedna przy drugiej zalegają tysiące wielkich kamiennych kul (do 4 m średnicy). Wspomina o nich także Zaleski:



Góra Szerkała, fot. Robert Szyjanowski

Prawie nie spotykaliśmy autów, aż przeszedłszy 25 werst, spuściliśmy się drogą krętą i zewsząd osadzoną kamieniami na rozległą dolinę Ułaszek. Z jednej strony opasywały ją piaszczyste wzgórza, usłane kamieniami okrągłymi jak bomby, jak gdyby tam grad kamienny padał.

Zadziwiało nas piękno i różnorodność scenerii, które odkrywaliśmy podróżując (fragmentami) śladami Zaleskiego i eksplorując także tereny, do których on nie dotarł: cieliste wydmy pustyni Bostankum, Tamszały (Wesołe Kropelki) – urwisko, z którego sączy się podziemna rzeka tworząc piękną oazę, czy wyrastające z białej kredowej pustyni rudawe skały Boszira – wszystkie tak piękne jak surowe, wszystkie zagadkowe jak tutejsze legendy, które czasem opowiadają fantastyczne historie o ich powstaniu. Wszędzie silny, gorący wiatr i przerażające słońce.

Tu kończyło się wyższe pasmo Karatau, a od niższego oddzielały je góry Aktau, piękniejsze tutaj niż gdziekolwiek. Zupełnie jak zamki dawne lub gmachy fantastyczne wyglądały; naokoło cały wianek gór takich otaczał Karatau. Każda z nich miała osobne nazwanie, jak Usirtau, Akmyntau, Kajraktau, wszystkie w ogromnych rozmiarach, białe, z różowawą na wierzchu warstwą, jakby dachem, z kolumnami niby rozmaitych porządków i posągami. Wszystko to słońce nieraz oświecało fantastycznie, rzucając obłoki rozmaitej barwy na te olbrzymie ściany. Nieraz byłem w zachwyceniu. Pusta strona, drzewa żadnego nigdzie, kreda tylko i glina, a z tak nędznych zdaje się materiałów taka piękność powstać mogła. Bryłą kredy, warstwą gliny, rozlany po nich promień słońca – i Bóg arcydzieło stworzył. Najbardziej zastanawiającą spomiędzy tych gór wszystkich jest tak zwana Czirkała. Choć inne są piękniejsze, ale forma tej odrębna i wielka płaszczyzna, na której się wznosi, bardziej od wszystkich innych robi ją wydatną. Prócz tego podania kirgizkie ubrały ją w pewnego rodzaju poezję. Na wierzchu tej góry miała być twierdza, której załoga bardzo długie oblężenie wytrzymała i wtenczas zdała się dopiero, kiedy oblegający podkopali się pod górę i obcinając powrozy spuszcanych po wodę wiader, pragnieniem do poddania się ją zmusili. Tak mówi podanie, a góra znajoma jest tym u wszystkich Kirgizów.

Siedziałem na przełęczy dokładnie w tym samym miejscu, z którego 160 lat wcześniej musiał szkicować górę Zaleski. Czytałem i przyglądałem się rycinie w książce i widokowi przede mną. Różnica była nieznaczna. Byłem w stanie – jak on – ogarnąć wzrokiem niewielki, północny fragment ogromnego wapiennego ostańca i pojedynczą skalną wieżę stojącą tuż przy zupełnie pionowej ścianie Czirkały. Brakowało odjeżdżającego na baktrianie Kirgiza, niebo było niebieskie, a krawędzie skał odrobinę bardziej wyszczerbione.

Ogień i meczety w głębinach

Nieznany u nas Mangystau w swoim regionie słynie jako kraina świętych miejsc. Zupełnie niespotykana jest tu ilość starożytnych mazarów i unikalnych podziemnych i skalnych meczetów. Na półwyspie jest ich wszystkich dokładnie 362. Meczety z Mangystau w niczym nie przypominają typowych muzułmańskich świątyń z kopulastymi dachami i minaretami. Niektóre, położone w odludnych miejscach, trudno w ogóle odnaleźć w terenie. Ich kształtowane przez naturę starożytne fasady bezustannie poprawiane przez wiatr i wodę, nie noszą prawie żadnych śladów ludzkiej ingerencji. Niektóre można rozpoznać jedynie po małym, nieregularnym otworze wejścia lub okrągłych świetlikach. Wnętrze – to z reguły niewielka, pojedyncza grotta wygrzebana w miękkim ile albo wykuta w kredzie, czasem zupełnie surowa, gdzie indziej skromnie zdobiona. Chyba najpiękniejszym przykładem takiej iście organicznej architektury jest podziemny meczet Toliegien Eulije. Trzeba go szukać przy polach konkrecji Torysz. Nieco inne w charakterze, ale jedne z najpiękniejszych spośród tutejszych meczetów: Szakpak Ata (XIV w.) i Sułtan Epe (XIII w.) zachwycają swoją prostotą, atmosferą i położeniem. Miejsca medytacji i modlitwy kryją w skalnych ścianach krypty ze szczątkami swoich twórców, nauczających tu sufich, których na półwyspie obdarza się przydomkiem Ata (ojciec). Najstarsze pochodzą nawet z IX wieku. Najważniejsze z nich, Szopan Ata i Beket Ata, ściągają tu pielgrzymów z odległych rejonów kraju a nawet z Uzbekistanu i Turkmenistanu. Stare mazary to przede wszystkim miejsca pochówków baty-

rów (bohaterów), którzy przez wieki wstawiali się zbrojnymi czynami w wojnach o władanie nad tym obszarem. Na niektórych kamiennych nagrobkach wykuto ich oręż: szable, topory i dzidy. Zaleski przyglądał się z zaciekawieniem tutejszym zwyczajom i świętym miejscom:



Skąły Boszira, fot. Robert Szyjanowski

Blisko Czirkały mogiła Dalismena, z żerdziami, czaszkami wielbłądzimi i rogami acharów jak zwyczajnie. We wzgórzu, złożonym ze stwardniałej gliny i piasku, jest grota malutka, przez otwór w górze oświetlona; pewnie w niej święty mieszkać musiał. Dotychczas to miejsce w wielkim jest poszanowaniu u Kirgizów: w chorobach i wszelkiego rodzaju niepowodzeniach uciekają się do świętego, zabijają w jego grocie barany, modlą się i wierzą w cudowność tego miejsca.

Tutejsi mahometanie (sunnici) powrócili już na dobre do swojej wiary, po wielu latach bezwzględnej walki z religijnym uzależnieniem w czasach Związku Radzieckiego. Lokalny islam jest wyjątkowo synkretyczny. Przede wszystkim rzucają się w oczy elementy charakterystyczne dla pierwotnych wierzeń Wielkiego Stepu i szamanizmu. Wyraźny ślad pozostawił tu także zaratusztrianizm, z którego zachowały się resztki kultu ognia, bardzo rzadko spotykanego we współczesnej muzułmańskiej obrzędowości. Widzieliśmy ludzi wzniciających płomienie przed meczetami i na cmentarzyskach, a także ofiary ze zwierząt składane przed wejściami do grobowców. Przydarzyło się nam także wziąć udział w modlitwach w dwóch wspomnianych meczetach. Szczególnie grota przy grobie ojca Szopana zrobiła na nas wielkie wrażenie. Zupełnie surowa niewielka pieczara, jedno z kilku pomieszczeń tej świątyni wykuto w jasnej skale. Jej ściany wypełniają wnętrza jakby emanującym z kamienia chłodnym światłem. Krypta niewielka, pomieści może 20 osób? Stłoczeni pielgrzymi

szepcząc zasiedli na dywanach. Mężczyźni zgodnie z mahometańskim zwyczajem zajęli wyższą stronę lekko nachylonej podłogi, bliżej grobu Szopana. Kiedy już wszyscy się usadowili imam z rutynową bezceremonialnością rozpoczął modlitwę. Ludzie opuścili powieki, jakby chcieli je położyć na otwarte dłonie i w niezwykłym skupieniu modlili się bezgłośnie poruszając ustami. Jakby na przekór temu co dzieje się aktualnie w świecie islamskim, tutaj byliśmy otaczani zupełnie bezinteresowną sympatią. Nawet w meczetach nie traktowano nas jak gjaurów, pozwalając uczestniczyć w wyjątkowych obrzędach i modlić się po swojemu do naszego (bądź co bądź) wspólnego Boga. Po modlitwach razem ze wszystkimi pielgrzymami zasiadaliśmy do poczęstunku. Jedząc chleb i bałyrsaki, popijając herbatę, rozmawialiśmy o wspólnym bogu, o tutejszej religii i zwykłym życiu. Na półwyspie poznaliśmy wielu ludzi. Od niektórych ciężko było się wyrwać, jak to bywa wszędzie tam, gdzie obcy rzadko się pojawiają. Spośród nich najbardziej wspominać będziemy Dujszenbieka, który opiekuje się grobem Tolej Iszan Ata i od wielu lat żyje zupełnie sam, przy studni, w okolicy skał „Boszira”. Byliśmy u niego dwa razy. Na koniec obdarował nas chyba najcenniejszymi rzeczami jakie sam posiadał: białymi chustami i brokatowym materiałem. Przed odjazdem na znak przyjaźni wymieniliśmy się czapkami.

Lokalny klimat ma wyraźnie pustynny charakter. Lata są tutaj upalne i suche, zimą bywają mrozy, zdarza się śnieg. Będąc w sierpniu na południowo-wschodnich skrajach przylądka dowiedzieliśmy się, że nie padało tu od czterech miesięcy. 50 stopni to na tym obszarze latem rzecz zwykła, jak mówią tubylcy, a podobno są tu miejsca, w których notowano temperatury dochodzące do 60 stopni w cieniu. W cieniu?! Praktycznie nie ma tu szans na znalezienie jakiegokolwiek naturalnego schronu przed palącym słońcem. Warto mieć jakiś „parasol”, szczególnie jeśli chce się gdzieś zakotwiczyć na dłużej. Bez ciemnych okularów nie da się przeżyć. Temperatury mogą się wydawać nieznośne. Jednak dzięki pustynnym właściwościom tutejszej aury: zerowej wilgotności i bardzo silnym, stałym wiatrom, upały nie są aż tak dojmujące jak przeszywająca susza. Zaleski pisał o tym tak:

W tych to warunkach największe upały wytrzymać musieliśmy. Krajowcy utrzymywali, że lato nie było wcale gorące, a jednak termometr Reaumura, który mieliśmy z sobą, bardzo często 46 do 47 stopni ciepła pokazywał, prawda, że na słońcu. Ziemia, szczególnie tam, gdzie grunt był piaszczysty, tak się nagrzewała, że przez podeszwy paliła. Nic robić nie podobna było od pierwszej do trzeciej, bo to godziny najsilniejszego skwaru. Deszcz ani razu odświeżyć nas nie przyszedł, rosy nawet nie było. Jedynym środkiem ratującym nas od upałów była gorąca herbata, której ogromnie wiele wypijaliśmy. Ale za to deszcze piaszczyste nawiedzały nas często, bo kiedy w stepie powstanie zamieć, to i słońce zakryje, i wszystko piaskiem zasypie. Kłęby piasku wiatr pędzi przed sobą, a w kilku miejscach białe słupy, jakby wiry czy świdy piaszczyste, wznoszą się pod niebo. Czasem ich kilka od razu w różnych kierunkach postrzec można, a przy jasnym słońcu jeszcze w tęczowe kolory stroją się niekiedy.

Po półwyspie wiodły nas przede wszystkim gliniaste stepówki. Wyraźne, momentami aż nadto głębokie koleiny buchające gęstym, żółtawym pyłem, nieraz spłycały się i w końcu gubiły zupełnie na solniskach, piaskach lub skałach. Orientowaliśmy się używając starych, ale dokładnych kazachskich i rosyjskich map. Nie spieszyliśmy się. Nasz samochód przygotowany do dłu-

gich terenowych wypraw, pozwalał nam dotrzeć w każde wyznaczone miejsce i był nam domem przez całe 5 tygodni. Można w nim rozłożyć prawdziwe łóżko z moskitierą, jest kuchenka gazowa, zbiorniki na wodę i 150-litrowy bak paliwa, który wystarczy na 3-5 dni jazdy w terenie. W sumie pokonaliśmy ponad 12 tys. kilometrów. Wróciliśmy do Szczecina w końcu sierpnia oczarowani tak jak Bronisław Zaleski tym prawdziwie osobnym światem na dnie, jak i plastycznością opisów jakie poczynił tu nasz świetny „przewodnik”.

Często chodziłem robić studia z natury i wtedy spotykałem także Kirgizów. Zdarzało się, że po całych godzinach siedzieli przy mnie, przypatrując się rysowaniu. Raz prosiłem jednego, żeby mi śpiewał, bo jest coś oryginalnego, nawet miłego w ich śpiewie; zgodził się, ale żądał, żebym mu także śpiewał. Zupełnie głosu nie mam, ale jak mogłem, tak rozmaite piosenki nuciłem, a on mnie dziękował swoimi. Na koniec pyta mnie o imię i improwizuje ogromnie długą pieśń na pochwałę nowego Tamara (przyjaciela), w której imię moje, najdziwaczniej przekręcane, co chwila powtarzane słyszałem. Śpiewał tak długo i w końcu przyrzekliśmy sobie przyjaźń. Miał zejść nazajutrz, ale musiało mu coś przeszkodzić, bo nie przyszedł, a my wkrótce opuściliśmy Hanga-Babę, wracając do Nowopietrowska. Zabawiwszy dni kilka w Nowopietrowsku, tą samą drogą przyjechaliśmy do Orenburga.

RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth. Obecnie zesłańcze relacje drukuje też rocznik „My Sybiracy” wydawany przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego. (red.)

*

Maria Milewska – *Wspomnienia z Mandżurii*

Szymbark – pociąg do nikąd, do lokomotywy zaczepione wagony. Weszłam do jednego z nich i natychmiast wróciła przeszłość. W podobnym wagonie, ja jako nastolatka z matką i czwórką rodzeństwa jechaliśmy z dalekiej Mandżurii do nieznanego i obcej nam Polski.

Na całej długości umieszczone były dwa rzędy prostych prycz. W wagonie jechały trzy rodziny. Było lato, a w pociągu ciasno i duszno. Naszej sześciuosobowej rodzinie przydzielono część górną, bo przeznaczona była dla sześciu osób, poniżej rozlokowały się pozostałe osoby. Miejsce do spania po złożeniu pościeli, przez całą podróż służyło także do zabaw, przygotowywania i spożywania posiłków. Nie było drabinek, które ułatwiałyby wejście. Dla nas dzieci była to duża frajda wspinać się po nich, podawaliśmy sobie wzajemnie ręce i już w górze. Były to nasze jedyne zabawy, bo innej formy ruchu nie można było realizować. Nasza mama była młoda, więc i jej wspinaczka na pryczę nie sprawiała trudności. Gorzej, gdy na górnych pryczach „zakwaterowane” były osoby starsze.

Oprócz wagonów przewożących ludzi były też wagony, w których znajdował się nasz dobytek, oraz wagony z żywnością. Dwa razy dziennie mama pobierała produkty spożywcze i przygotowywaliśmy sobie posiłki. Na obiady skład zazwyczaj zatrzymywał się w miejscowościach, w których czekały na nas

pożywne dania. W wagonach nie było wody i ubikacji, dlatego podczas postojów, wykorzystywaliśmy każde dogodnie miejsce, aby umyć się wodą przyniesioną w wiaderku przez mamę.

W pamięci utkwiał mi Bajkał, jego ogrom, błękit wody i bardzo duża liczba tuneli. W trakcie podróży zachorowałam na ospę wietrzną. Codziennie chodziłam do wagonu sanitarnego na tzw. opatrunki, czyli smarownie pęcherzy niebieskim płynem, stąd wiem, że sanitarka zapełniona była osobami obłożnie chorymi. Opiekowali się nimi harbińscy studenci medycyny.

Jechaliśmy pewni obaw jak sobie poradzimy w nowym kraju, bo oto, drugie pokolenie carskich zesłańców wracało do ojczyzny swoich dziadków. Polska, to była ojczyzna mojej babci i dziadka, a ja urodziłam się w 1937 roku w Harbinie, w Chinach.

Dziadkowie poznali się i pobrali w Zygówce, powiat Jampol w guberni podolskiej, której stolicą był Kamieniec Podolski. Dziadek Stanisław był starszym stangretem we dworze Jaroszyńskich, a babcia, Ludwika z domu Zwierańska była garderobianą. Mieli czterech synów – trzech urodziło się w Polsce, w tym mój ojciec Franciszek w 1910 r., a najmłodszy, który otrzymał imię po dziadku (Stanisław) już na Syberii. Z opowiadań rodzinnych, które są niedokładne i fragmentaryczne wiem, że nie tylko rodzina mojego ojca, ale cała osada zamieszkała przez Polaków została przez cara skazana na zsyłkę w odwecie za niepełny nabór do carskiego wojska. A służba wojskowa w Rosji carskiej trwała 25 lat.

Zesłańcy osadzeni zostali na skraju tajgi w niedalekiej odległości od granicy rosyjsko- chińskiej. Najpierw wybudowali prymitywne lepianki, później z drewnianych bali wygodniejsze baraki, aż przyszedł czas na postawienie samodzielnych domków. Tak rozrośniętą osadę nazwali na pamiątkę Kamieńcem.

Starsi bracia ojca bardzo często przekraczali granicę rosyjsko- chińską i przebywali w Harbinie. Czuli się w nim wyśmienicie ze względu na ogromną liczbę Polaków. Harbin leżał w północno-wschodniej części Chin – Mandżurii. W 1898 r. założył ją Polak, Andrzej Szydłowski na miejscu osady rybackiej nad rzeką Sungari. Powstanie miasta związane było z budową ostatniego odcinka kolei Transmandżurskiej (obecnie wschodniochińskiej), czyli linii kolejowej biegnącej przez całą Syberię. Rosja otrzymała od cesarza Chin zgodę na przedłużenie Kolei Transsyberyjskiej przez Mandżurię. Władze carskie wykorzystywały do pracy politycznych zesłańców, ale ich ilość była niewystarczająca. Dlatego, aby zachęcić ludzi do pracy w bardzo trudnych warunkach, car zaoferował wysokie zarobki, a także możliwość otrzymania ziemi na własność. Wzrost zapotrzebowania na specjalistów i robotników niewykwalifikowanych spowodował napływ ludności różnych narodowości. Oprócz Polaków, osiedlali się w mieście i na jego przedmieściach Chińczycy, Rosjanie, Japończycy, Niemcy, Żydzi, Francuzi.

Polacy mieszkający w Harbinie wiedli wygodne życie, działały organizacje polonijne, kwitło życie towarzyskie, odbywały się koncerty i spotkania. Nie wiem w jaki sposób to załatwiono, ale wszyscy Polacy, którzy mieszkali w osadzie Krzemieniec w Rosji zostali przewiezieni do Harbina. W Harbinie skupiała się największa grupa Polaków. Także w innych miastach i osadach Mandżurii znajdowali się rodacy. Rodzice ojca zamieszkali na przedmieściach Harbinu,

dziadek stopniowo kupował konie i wkrótce został właścicielem niewielkiej stadniny, założył sad oraz gospodarstwo, w którym głównie hodowano bydło. Do prac przy inwentarzu zatrudniał robotników najemnych, którymi byli chińscy. Babcia i najmłodszy syn zajmowali się pozostałymi pracami wokół domu i gospodarstwa.



Harbin – w ogrodzie dziadków

Losy moje i moich bliskich splatają się z historią regionu, w którym przyszło nam żyć. Zanim dziadkowie zmuszeni byli opuścić Polskę na terenie Mandżurii doszło do tzw. powstania bokserów. Jego konsekwencją była wojna rosyjsko-japońska (1904-1905), a następnie wzrost wpływów japońskich. Mandżuria była najbogatszą w surowce mineralne częścią Chin, dlatego też tutaj ścierały się interesy państw ościennych tj. Rosji i Japonii. W kolejnych zmaganiach zwycięstwo Japonii umożliwiło w 1932 r. utworzenie na terytorium Mandżurii cesarstwa Mandżuko całkowicie zależnego od Japonii. Klęska Hitlera i wojsk sprzymierzonych w 1945 r., spowodowała, że Mandżuria ponownie stała się terytorium zależnym od Związku Radzieckiego, a wojna domowa, która rozpoczęła się w latach 1945-1948 w Chinach, doprowadziła do powstania Chińskiej Republiki Ludowej. I tak na przemian w Mandżurii władzę sprawowali Japończycy, Chińczycy i Rosjanie. Zrywy powstańcze, ruchy rewolucyjne były w okresie naszego pobytu codziennością i trudno było osobom niezaangażowanym to wszystko zrozumieć. To samo odnosiło się do dzieci. Nigdy nie wiedziałam mieszkając w Chinach od jakiego państwa byliśmy zależni.

Jedno z takich zawirowań politycznych przyczyniło się do poznania moich przyszłych rodziców. Mama, Buriatka wywodząca się z Zabajkala wyjechała ze swoją siostrą na wycieczkę do Mandżurii i niestety, po zamknięciu granicy

z ZSRR nie mogła już powrócić do Buriacji. Pozostała w Harbinie, poznała mojego tatę, zakochali się i wkrótce odbył się ślub.

Po pierwszym okresie mieszkania w bardzo niekomfortowych warunkach młodzi małżonkowie przystąpili do budowy domu na przedmieściach Harbina. Pierworodny syn zginął tragicznie. Robotnicy pracujący przy budowie musieli naruszyć gniazdo żmii, bo mój malutki braciszek zginął od jadu jednej z ich. Miałam czwórkę rodzeństwa, najstarszy był Antonii, później Emilia i ja, a po mnie urodzili się jeszcze Bolesław i Jerzy.

O napaści Niemców na Polskę rodzice dowiedzieli się w kościele, podczas mszy. Ksiądz przekazał wiernym taką informację. Echa przebiegu działań wojennych, sprawy związane z formowaniem się wojska polskiego na terytorium Związku Radzieckiego znajdowały się w kręgu zainteresowań dorosłych Polaków mieszkających w Mandżurii. My dzieci na tematy poruszane przez dorosłych nie bardzo zwracaliśmy uwagę. Byłam wtedy dwuletnim dzieckiem. Łatwiej kojarzę wydarzenia, które następowały w kolejnych latach. Np. bardzo wyraźnie odczuliśmy zmianę nastrojów i pogorszenie się naszych warunków bytowych po 1941 r, kiedy to Japonia przystąpiła do wojny z USA. Z opowiadań wiem, że część mieszkańców Mandżurii miała obowiązek noszenia specjalnych oznaczeń pozwalających na identyfikację narodowości. Ja takiego faktu nie pamiętam.

W Mandżurii oprócz Harbinu istniały jeszcze inne miejscowości, w których mieszkało dużo Polaków. Jedną z nich było Aszyche, do niej przeprowadzili się rodzice z młodszym bratem, natomiast trójka najstarszych dzieci pozostała w Harbinie. Zdecydowali tak, ponieważ miejscowość, do której się udawali dopiero zaczynała się rozwijać. Brat chodził do szkoły, a ja z siostrą Emilką zamieszkałam w zakonie u polskich sióstr. Im udało się przystąpić do sakramentu I komunii, mnie niestety nie, bo byłam za młoda. Na wakacje jeździliśmy do Aszyche, ale po drugich już nie wróciliśmy ze względu na zawirowania polityczne. Tutaj także musiałam chodzić do szkoły, tylko sytuacja była odwrotna, bo na wakacje jeździłam do dziadków w Harbinie.

Chodziłam do rosyjskiej szkoły, mimo, iż mieszkaliśmy w Chinach. Nauka odbywała się w pomieszczeniu, w którym nie było ławek tylko stoliki i krzesła. Jedno przeznaczone dla nauczycielki, pozostałe dla nas. Uczyłam się języka rosyjskiego, matematyki, a z historii pamiętam, naukę o Leninie. Zazwyczaj pierwszy do szkoły szedł starszy brat, przychodził po 2-3 godzinach, potem szła siostra a ja miałam lekcje najpóźniej. Moimi koleżankami były Chinki, Japonki, Koreanki i Rosjanki. Rozmawiałyśmy między sobą taką mieszanką językową, ja rozumiałam ich język, one rozumiały rosyjski, bo się go uczyły. Język polski był dla nich niezrozumiały. Zresztą w domu niewiele rozmawialiśmy po polsku, natomiast u babci i dziadka był to język podstawowy. Młodzież harbińskich szkół prowadzonych przez polskich duszpasterzy, a także studiująca uczyła się wielu języków, były to między innymi: polski, rosyjski, chiński, japoński, łacina, a także angielski. Dziecięce zabawy, były uniwersalne, bo znane w wielu kulturach i związane głównie z bieganiem, skakaniem, wchodzeniem tam gdzie nie można. Dziewczynki uwielbiały zabawy z lalkami. Mimo tak wielkiego zróżnicowania etnicznego nie było ani między dziećmi ani dorosłymi różnic. Byliśmy w stosunku do siebie uprzejmi, wyrozumieli, szanowaliśmy swoje religie, a przecież to był konglomerat wierzeń od szamanizmu przez buddyzm, lamaizm, prawosławie, judaizm do katolicyzmu.

Nasze domostwa nigdy nie były zamykane. Mimo, że były duże grupy biedoty kradzieże należały do wyjątków. Z pewnością był to wpływ religii wschodnich, ale także i surowego prawa. Za udowodnioną kradzież obcinano palec. Kolejne dwie groziły utratą dłoni, a jeśli to nie skutkowało stosowano karę śmierci. Sposoby jej wykonania były różne. Pewnego dnia my uczniowie musieliśmy uczestniczyć w takiej egzekucji. Była to dla nas tzw. lekcja pokazowa. Więzień został unieruchomiony i przywiązany do konia, który włókł go po miejskim bruku, aż do momentu zgonu. Było to coś strasznego i na długo pozostało w pamięci jako traumatyczne przeżycie.



Moja rodzina

Mama prowadziła dom i zajmowała się nami, natomiast głównym żywicielem rodziny jak to dawniej bywało był ojciec. On to chodził do tajgi i zajmował się myślistwem. Przynosił do domu różne zwierzaki, wiem, że oprowaiał je w specjalnie do tego celu przeznaczonym pomieszczeniu, ale my dzieci nigdy nie widzieliśmy, na czym polegała jego praca. Miał również dużą sforę psów, ale ich opieką zajmowało się trzech Chińczyków. Przy prowadzeniu gospodarstwa pomagało rodzicom wielu pracowników, ale takie panowały zwyczaje, że każdy sobie nawzajem pomagał. Gdy były sianokosy to w pole wychodziły duże grupy mieszkańców i przez cały upalny dzień ciężko pracowały, aby wieczorem z wesołym śpiewem wracać do domów. Mój tata pięknie śpiewał i z ogromną przyjemnością słuchałam jego basu wyraźnie odróżniającego się od innych głosów. Jak na mężczyznę przystało, zimowymi wieczorami robił na szydełku grube rękawice i obszywał skórą czubki, pięty i spód walonek aby-

śmy zimą nie marzli. Mieliśmy owce i dwa beżowe, dwugarbne wielbłądy, z których pozyskiwało się wełnę. Gdy tata zajęty był szydełkowaniem lub szyciem, mama w tym samym czasie przędła wełnę na kołowrotku. Z prac wykonywanych przez rodziców pamiętam także jak przygotowywali nam zeszyty do szkoły. Szary papier, taki do pakowania różnych przedmiotów cięli na mniejsze kawałki formatu zeszytu, przesywali je później nitką a na samym końcu kopiającym ołówkiem rysowali linijki, jeśli to był zeszyt do języka rosyjskiego lub kratki, jeśli do rachunków. Atrament z reguły nosiliśmy do i ze szkoły. Pamiętam, że zimą zdarzały się przypadki, kiedy zamarzała, ale wtedy był to znak, że przez kilka dni nie pójdziemy do szkoły. Zimy były mroźne, często podczas swojej wędrówki do szkoły napotykałam zamrożniętych Chińczyków. Początkowo myślałam, że śpią, a później przyzwyczałam się do tego widoku. Chińczyków było bardzo dużo, wiadomo też że i status ekonomiczny był różny. Nie zamarzły osoby dobrze sytuowane finansowo, lecz ubogie. Przyrost naturalny był bardzo duży. Czasami matki nie wiedziały nawet ile miały dzieci, bo każde, które potrafiło samo zdobyć pożywienie musiało się usamodzielniać. Chinki bardzo ciężko pracowały przy uprawie kukurydzy, ziemniaków i warzyw. W tym czasie mężczyźni zajmowali się przygotowywaniem posiłków.

Z jednego z polowań tata przyniósł do domu małego niedźwiadka. Nie mógł chodzić, chwiały się na łapkach. Mama go wykarmiła i po naszym obejściu chodził sobie swobodnie. Michał Iwanow, bo tak go nazwaliśmy. Był z nim wspólne zabawy, wybierał się z ojcem na polowania, ale każdy szedł w swoją stronę. Uwielbiał także słuchać patefonu i zrywać kukurydzę. Rodzice nie byli właścicielami pól z kukurydzą, dlatego tata bardzo często musiał płacić za te zniszczenia. Miał jakieś 4-5 lat, gdy przez ludzką głupotę umarł.

Z ogromnym sentymentem wspominam naszą banię, która stała za domem. Było to odrębne pomieszczenie, pośrodku którego znajdowała się budowla z kamieni – piec, w którym palono drewnem i rozgrzewano do czerwoności a następnie wylewano na niego wiadrami wodę ze stojącej obok beczki. Buchająca para była cudowna, ciepłutka, oczyszczająca. Na przeciwnej do wejścia ścianie umieszczone były ławki, na których wygodnie rozciągnięci z rozkoszą się wylegiwaliśmy i poddawaliśmy działaniu pary. Po takim krótkim błogostaniu nadchodził czas smagania ciała witkami brzołowymi, których cały zimowy zapas został przygotowany jesienią. Tak rozgrzani wycieraliśmy się do sucha a zimową porą czekali na ojca, który po owinięciu nas w skóry pojedynczo prznosił do domu.

Był 1944 rok. Mieszkaliśmy niedaleko lotniska, więc wciąż byliśmy świadkami odbywającego się powietrznego transportu żywności i ludzi. Pewnego pięknego, słonecznego dnia, Japończycy zarządzili obowiązkowe stawienie wszystkich mężczyzn na pobliskim dworcu. Osoby posiadające konie mieli je ze sobą zabrać. Gdzieś w oddali słychać było nieliczne odgłosy wystrzałów. Gdy nadeszła noc, mama wraz z pozostałymi kobietami i dziećmi schroniła się w pobliskim lesie. Tam spędziliśmy noc obawiając się bombardowania naszych osad. Rankiem następnego dnia prawie wszyscy wróciliśmy do domów. Na stole znaleźliśmy kartkę od ojca z informacją, że nic mu nie jest, mamy się nie bać i że wszystko będzie dobrze. Krzątając się wokół domu, mama zaszła do bani i okazało się, że w niej ojciec zgromadził dla nas zapasy. Domyśliliśmy się, że przewożąc żywność z lotniska albo na lotnisko trochę

zostawił jej dla nas, bo nieznana była przyszłość. Na drugą noc nie poszliśmy do lasu i to było nasze wielkie szczęście, bo właśnie tej nocy Japończycy zbombardowali ten obszar tajgi.

Słabo też pamiętam wydarzenia związane z działalnością chińskich band nazywanych przez Polaków hunhuzami. Skład ich był różny, najczęściej byli to chińscy chłopcy, żołnierze i zesłańcy, a ich głównym zajęciem było organizowanie i przeprowadzanie napadów rabunkowych. Początkowo celem byli podróżni i pociągi, a później także osady. W obronie przed licznymi oddziałami liczącymi czasami kilkaset osób, miasta i osady wystawiały straż, której zadaniem było ostrzeganie mieszkańców przed nadchodzącym zagrożeniem oraz walka z rabusiami. Mój ojciec do jednej z takich straży należał. Broń, którą zabierał na polowania do tajgi jak i na nocne patrole, znajdowała się w przedpokoju. Pamiętam doskonale tę broń, bo zmowa milczenia za przewinięcie starszego rodzeństwa kosztowała mnie kłapsa. Był on tak dotkliwy, że do dziś go czuję, ale nie ze względu na ból tylko zaskoczenie. Byłam oczkiem w głowie tatusia, nigdy niekarana, nagle poczułam pieczenie na pupie, bo przecież nie wydałam rodzeństwa, które wykorzystało naboje do świetnej zabawy polegającej na przygotowaniu czegoś w stylu petardy, które wrzucane były do wody lub pod nogi przechodzących Chinek.

Pewnego grudniowego dnia 1945 roku pojawiła się w naszym domu obca kobieta i tata kazał nam iść bawić się na dwór. Gdy wróciliśmy pierwsze, co nas ogromnie zdziwiło to przyjemne ciepło rozchodzące się po mieszkaniu i mama leżąca w łóżku. Mama, która zawsze chodziła nagle leży w łóżku. Ale nie było czasu na zastanawianie się dlaczego, bo ta obca kobieta powiedziała, że pod naszą nieobecność był w domu Mikołaj i coś nam zostawił. Była to taka duża lalka. Każdy z nas chciał ją wziąć na ręce i wtedy tata powiedział, że to jest nasz braciszek.

Ustabilizowane i dostatnie życie naszej rodziny, jednej nocy zawaliło się, wiosną 1946 roku ojciec nie wrócił z tajgi. Nie wiadomo, co się stało. Gdy zabrakło taty nadszedł dla nas bardzo ciężki okres, pojawiła się bieda. Mama została z 5 dzieci sama, nie mogła liczyć na wsparcie siostry, bo ciocia Eliza wkrótce po wyjściu za mąż zachorowała, prawdopodobnie na gruźlicę i zmarła. Chińczycy zaczęli zwalniać obcokrajowców, w tym Polaków propagując hasło, że Azja ma być dla Azjatów. W takiej sytuacji mama pracowała dorywczo, nie odrzuciła żadnej propozycji pracy. Brat czternastolatek pracował przy miechach w kuźni. Mieliliśmy krowę, od czasu do czasu wspomagali nas Chińczycy jakimś workiem ziemniaków, sianem lub kukurydzą. I tak jakoś toczyło się nasze ubogie życie. Pamiętam pierwsze bez taty Boże Narodzenie. Zwykle spędzaliśmy je u dziadków w Harbinie, ale teraz nie było mamy stać na dwunastogodzinną podróż z gromadką dzieci. Upiekła z kukurydzy chleb i w jakiś cudowny sposób zdobyła żółty ser. I ten ser i chleb z kukurydzą to był nasz świąteczny przysmak. Przed oczami miałam Boże Narodzenie u babci, gdzie stoły uginały się od jedzenia. Zawsze było gwarno i wesoło. A nam było smutno i biednie.

Na początku 1949 roku mama zaczęła się źle czuć. Przez jedną z zamożniejszych Polek udało się wystarać o przyjęcie do szpitala w Harbinie. Starsza siostra przejęła obowiązki opieki nad młodszym rodzeństwem, a ja z mamą udałam się w podróż. Już na dworcu podczas przypadkowej rozmowy dowiedzieliśmy się, że przyjeżdża przedstawiciel z Polski i spisuje osoby zaintereso-

wane wyjazdem do kraju. Podczas pobytu w szpitalu mama spotykała się ze stryjami i chyba podczas tych rozmów zdecydowano o wyjeździe z Mandżurii. Mama posiadała obywatelstwo radzieckie, my polskie, dlatego w takim stanie prawnym nie mogliśmy dostać zgody na wyjazd. Uradzono, że mama zawrze związek małżeński z bratem żony jednego ze stryjków i w ten sposób uzyska obywatelstwo polskie.

Po powrocie do Aszyche rozpoczęły się przygotowania do wyjazdu. Mama starała się spieniężyć nieco majątku, ale Chińczycy nie byli zainteresowani kupnem czegokolwiek. Doskonale wiedzieli, że i tak musimy prawie wszystko zostawić. Zjedliśmy ostatni obiad i oglądając się za siebie poszliśmy na dworzec kolejowy. Zostawiliśmy na zawsze dom, zabudowania gospodarcze, ogród pełen kolorowych kwiatów i inwentarz, w tym ukochaną przez mamę krowę, która chodziła za nią jak piesek. Żegnaliśmy się z miejscem a towarzyszyła nam piękna słoneczna pogoda, która jakby na złość podkreślała całe piękno przyrody, które przyszło nam utracić. Nie myśleliśmy wtedy o głodzie, biedzie, nawet jeszcze nie odczuwaliśmy niepokoju przed nieznanym, ale patrzyliśmy na dorobek naszych rodziców. Dom, który kupili i zamieszkali znajdował się na wzgórzu na skraju miejscowości. Był drewniany, a kolorowe okiennice na tle zielonych drzew tajgi nadawały temu miejscu bajeczny wygląd. W dolinie płynęła rzeka, wokół rozciągały się soczysto zielone trawy, którym towarzyszyły niebieskie niezapominajki.

Rano następnego dnia byliśmy już w Harbinie. Wyjechaliśmy pierwszym i najliczniejszym transportem. Razem z nami, ale nie w tym samym wagonie jechała babcia z najstarszym i najmłodszym synem. Stryj Karol z rodziną przyjechał do Polski trzecim transportem. Z punktu repatriacyjnego w Białej Podlaskiej skierowani zostaliśmy do Elbląga. I w tym mieście każdy z nas dorastał, kształcił się, zakładał rodziny.

Jestem dumna ze swojej matki za Jej odważną decyzję, bo wiem jak trudno było ją podjąć i zaryzykować życie w nieznanym kraju, bez znajomości języka z piątką niepełnoletnich dzieci. Mimo, że od wielu lat nie żyjesz, składam Ci Mamó hołd. Dziękuję.

Halina Ziemińska – Wspomnienia z dzieciństwa

Pierwsze dni lutego 1940 r. Miałam wtedy 5 lat i jeszcze razem z rodzicami i rodzeństwem mieszkam w koloni Suszki, gmina Wierzchowice, powiat Brześć Podlaski później nazywanym Brześć nad Bugiem. Po agresji ZSRR na Polskę 17 września 1939 roku i przyłączeniu naszych najbliższych okolic do ZSRR, oddaleni byliśmy od Polski o około 1,5 km.

Nie wiem, która mogła to być godzina, ale mamusia nas budziła. Zaczęło się wysiedlanie nas z rodzinnego domu. Domu wybudowanego przez rodziców, którzy pobrali się w 1924 r. i wspólnymi siłami dorabiali się majątku. Nocni przybysze mówiący po polsku tatusia postawili pod ścianą, enkawudzista z karabinem go pilnował a mamusi kazali się pakować. Mama nas ubrała, wzięła pierzyny, trochę najpotrzebniejszych rzeczy do przeżycia. Nadzorcy rosyjscy kazali wsiadać do sań i zawieźli całą naszą sześcioosobową rodzinę do Brześcia. Za

nami pozostały zabudowania gospodarskie (dom, spichlerz z oborą) oraz dom w Wierchowicach, w którym miała być apteka. Ten dom do dnia dzisiejszego tam stoi, mieści się w nim białoruskie kino.

W Brześciu na stacji kolejowej czekaliśmy na podstawienie pociągu. Nie byliśmy jedynymi, których wywożono. Z naszej rodziny deportowana była także siostra tatusia i jej rodzina, czyli mąż i pięciu synów. Szósty syn, którego nie było podczas aresztowania pozostał w Polsce. Z sąsiedniej koloni Kornatów zabrano naszych bardzo dobrych znajomych – Kawów. Z opowiadań wiem, że zima była wtedy wyjątkowo mroźna, napadało dużo śniegu. Zwykle luty daje o sobie znać, nie na darmo polskie przysłowie mówi „Idzie luty, obuj buty” Tak też odczuwaliśmy zimową noc, mróz dokuczał nam bardzo, pamiętam, że bardzo szczypała mnie buzia i trudno było oddychać przez nos. Mamusia okręciła nam twarze szalikami, aż po same oczy. Mimo, że jako dzieci dużo czasu przebywaliśmy na zabawach na świeżym powietrzu i mróz nie był nam straszny, tej nocny bardzo nam dokuczał.

Czekając na załadunek do pociągu rodzice wraz z innymi towarzyszami niedoli starali się zrozumieć zdania, które zaowocowały pobytem pod gołym zimowym i mroźnym niebem, a które odczytane zostały w majestacie prawa przez głównodowodzącego oficera; „postanowieniem władzy radzieckiej cała wasza rodzina zostaje przesiedlona w inny obwód na terytorium ZSRR”. I nic więcej, gdzie nas wywożą, na jak długo i dlaczego? Były to pytania, na które nie znano odpowiedzi. Poza strachem i niepewnością dorosłych, płaczem zmarniętych dzieci, pobytowi na peronie towarzyszył lament kobiet i złowrogie szeptki pełne najróżniejszych domysłów. Tak groźnie brzmiących, że bano się je wypowiadać głośno. Nie wierzono, że mogą stać się prawdą.

Nie wiem jak długo koczowaliśmy wśród stłoczonej masy ludzi i pakunków na peronie, jeden czy dwa dni? Gdy tylko lokomotywa przyciągnęła wagony zaczął się załadunek. Całe nasze peronowe obozowisko otoczone było przez żołnierzy, którzy nie tylko nas nadzorowali, ale nie dopuszczali do nas nikogo, kto chciał przynieść dodatkowe jedzenie lub ubrania. Po wyczytaniu nazwisk całe rodziny stopniowo zapełniały kolejne wagony. Wnoszono i lokowano posiadane węzełki, tobołki, worki, walizki i inne kłopoty. Zajmowano miejsca.

Z wagonu, w którym jechaliśmy bardzo długo, pamiętam bardzo dużą ilość osób, prycze po dwóch stronach wejścia, piec stojący pośrodku, przy którym ogrzewaliśmy się i wydzielone miejsce na ubikację. Starsi korzystali z tego miejsca samodzielnie, ale nas dzieci, rodzice pilnowali. Zazwyczaj mnie to mamusia a nie siostra prowadziła za rękę. Jako dziecko nie odczuwałam wstydu podczas korzystania z takiej ubikacji, ale wiem, że dorosłe kobiety i dziewczyny bardzo się wstydziły, przecież obok siedzieli obcy ludzie. To skrępowanie towarzyszyło im przez całą podróż. W czasie transportu w naszym wagonie zmarła tylko jedna osoba. Jak długo jechaliśmy nie potrafię określić, w takich warunkach dorośli szybko stracili rachubę czasu. Nie pamiętam też, abyśmy bardzo dotkliwie odczuwali głód. Kres tego etapu nieplanowanej podróży nadszedł, gdy okazało się, że pociąg zatrzymał się w polach i kazano nam wysiadać. Dalsza podróż odbywała się samochodami i saniami. Przez ten cały czas towarzyszył nam śnieg i mróz, ale był on bardziej dokuczliwy niż ten, który pamiętam z Brześcia. Odczuliśmy go bardzo boleśnie, ale dzięki opiece naszej mamusi, która opatulą nas dokładnie, rozcierała zmarznięte ręce i nogi doje-

chaliśmy do miejsca zesłania bez odmrożeń. Dowieziono nas do gminy Uspinga i umieszczono w obozie. Początkowo zamieszkaliśmy w jednej wielkiej izbie, stłoczono nas ze 30 osób. Pamiętam dużo ustawionych łóżek, duży piec na środku i wielki kocioł, z którego parowała woda.

Babcia Wyszomirska, czyli matka mamy, zadała sobie dużo trudu, aby poznać przyczynę naszej wywózki. Okazało się, że stał za nią nasz pracownik. Przyznał się, że wydał Rosjanom rodziców, czyli kułaków, właścicieli 35 ha gospodarstwa. Tatusz Wincenty, pochodził z Siedlec, ukończył w Warszawie szkołę podoficerską i szkołę bankową. Brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 r. i po jej zakończeniu skorzystał z 10 ha nadania ziemi przez marszałka Piłsudskiego. Natomiast mamusia wniosła w posagu 10 ha, a pozostałe 15 hektarów dokupili. Do września 1939 r. gospodarzyli, spokojnie powiększając majątek i wychowując pojawiające się potomstwo. Pierworodny urodził się w 1926 r., kolejna dwójka dzieci zmarła w okresie niemowlęcym tzw. śmiercią łóżeczkową. Dopiero siostra urodzona w 1932 roku przerwała złą passę. Drugi brat urodził się rok później, a w 1935 roku ja przyszłam na świat.

Jak wyglądał nasz pierwszy dzień nie pamiętam, dopiero obrazy z późniejszych lat wracają we wspomnieniach, szczególnie te z okresu letnich zabaw, kiedy to mogliśmy się swobodnie poruszać po obozie i poznawać jego topografię oraz zakamarki do kryjówek podczas zabaw w chowanego. Z opowiadań rodziców wiem, że po przybyciu na miejsce zesłania i załatwieniu administracyjnych formalności rozpoczęła się nasza głodowa egzystencja. Ta sytuacja była tym bardziej rozpaczliwa, że bardzo ciężko zachorowałam. Być może odporność nabyta jeszcze w Polsce pozwoliła mi przeżyć, ale rodzice przygotowani byli już na najgorsze.

W początkowym okresie pobytu tatuś pracował głównie jako stróż, bo nie nadawał się do wielu prac ze względu na zupełny brak słuchu, który stracił w wyniku wybuchu bomby na początku września 1939 roku, gdy podwodą zawoził dla polskiego wojska transport amunicji. Opowiadał, że dokładnie nie pamięta czy stracił przytomność i co się stało. Poczł tylko szum w uszach, i zobaczył obok siebie powstały wielki lej po bombie. Od tamtego czasu nie słyszał, ale rozumiał co do niego mówiono, bo potrafił czytać z ust.

W obozie nie byliśmy szczególnie pilnowani, na samym początku wskazano na położenie i dano do zrozumienia, że ucieczka nie jest możliwa, bo jeśli nie zginiemy w odmętach wody to z pewnością nie przeżyjemy trudów związanych z pokonaniem drogi w tajdze. Latem pełna ona była zdradliwych bagien, meszek i komarów, natomiast zimą bez broni i żywności nie było żadnych szans przetrwania i pokonania ogromnych odległości. Nawet, jeśli jakimś cudem udałoby się dotrzeć do siedzib ludzkich, szpicle szybko i tak donieśli by do NKWD. Z tego co wiem, nikt z naszego transportu nie zaryzykował ucieczki.

Początkowo wielkim dla nas zaskoczeniem była bardzo długa noc, trwająca o wiele godzin dłużej niż w Polsce. Zapadała nagle i była bardzo ciemna. Nieco inaczej było, gdy na niebie pojawiał się księżyc a niebo pozostawało bezchmurne. Nie mogłam obserwować gwiazd, bo nocą rodzice nas nie wypuszczali, ale z opowiadań starszych wyobrażałam sobie rozgwieżdżone niebo, którym dorośli się zachwycali. Widziałam przez malutkie okienka jakby różową poświatę na niebie, była to zorza polarna. Gwiazdy i księżyc oświetlały bardzo wyraźnie śnieg leżący wokół baraków, który mienił się srebrnymi barwami. Byłam tymi zjawiskami zafascynowana. Mogłam godzinami patrzeć

i snuć w maleńkiej, dziecięcej główce swoje marzenia, o których oczywiście wkrótce zapominałam. Diametralnie różna była sytuacja w okresie białych nocy, kiedy słońce nie zachodziło za horyzont. Spać było trudno, bo za oknami widno, a jak tylko pojawiliśmy się w łóżkach to następował atak pluskiew.

Rodzice wykonywali różne prace, mamusia opowiadała o swoich zmaganiach podczas wyrębu tajgi. Ścięte przez pilarzy drzewa, kobiety musiały tak przygotować, aby można było z nich utworzyć drogę. Czyli najpierw musiały te wielkie drzewa pozbawić konarów i gałęzi. Były to drzewa iglaste, więc szpilki uporczywie wbijały się w skórę, pozostawiając rany. Wszystko, co pozostawało po osieczaniu konarów należało spalić. Zimowe ognisko wbrew pozorom było bardzo niebezpieczne. Trzeba było wykazać się dużym hartem ducha, aby nie poddać się pokusie ogrzania przy ciepłe ognia, bo po odejściu od źródła ciepła wchodziło się w obszar 40 stopniowych mrozów. Można sobie wyobrazić to spustoszenie, które wyrządza mróz na rozgrzanym ciele. Później te wielkie pnie cięte były na mniejsze odcinki. Posortowane kłody układane były wzdłuż budowanego traktu drogowego w poprzek, potem wzdłuż i ponownie w poprzek. Część ściętego drzewa latem spławiano Dwiną, doskonale pamiętam tę rzekę, bo zimą chodziliśmy się na niej ślizgać, a latem po tych zanurzonych kłodach skakaliśmy. W tym samym czasie tatuś pracował przy budowie linii elektrycznej do Archangielska.

Z tamtego okresu doskonale pamiętam starania rodziców i nasze o zdobycie pożywienia. Zgodnie z opracowanymi przez Rosjan normami, dla pracującego przypadało 0,5 kg chleba, a dla dziecka po 200 g i dodatkowo raz dziennie zupa. Zupa to był wywar z warzyw, czyli brukwi, kapusty i ziemniaków. Więcej w niej było wody niż dodatków, ale i tak codziennie cieszyła się nieślabnącym zainteresowaniem i była celem marzeń. Posiłek ten przygotowywany był w oddzielnej kuchni, ale ponieważ nie było w niej stołówki, więc chodziliśmy po nią z różnymi pojemnikami. Nawet, jeśli miałam duży i tak dostawałam przydzieloną porcję, nie dało się oszukać kucharek. Wiadomo, że ta ilość nie zaspokajała głodu. Trzeba było troszczyć się o zdobycie dodatkowego jedzenia. Mama dużo rzeczy przywiezionych w transporcie sprzedawała za jedzenie, nawet ślubne, złote obrączki. Ale to i tak nie zabezpieczyło nas przed głodem. Latem było lżej, bo tajga obfitowała w jadalne owoce. Na jej obrzeżach pojawiały się także pokrzywy. Po zimie był to wspaniały zastrzyk witamin, ale rywalizacja o nie była zacięta i bardzo szybko zniknęła. Pewnego dnia dowiedzieliśmy się, że w odległości około 3 km można je jeszcze spotkać, wybrałam się po nie sama, ale gdy spotkałam grupę rosyjskich wyrostków wyzywających mnie od polskich świń, szybko zrezygnowałam z poszukiwań i wróciłam biegiem do domu. Do naszych dziecięcych obowiązków należało zbieranie żurawiny, jagód, szczawiu. Pamiętam, że największe poziomki znajdowałam na rosyjskich cmentarzach. Z lasu przynosiliśmy grzyby wełnianki. Przez większość Rosjan uznawane były za trujące, ale mama i inne kobiety po obgotowaniu i zakiszeniu zimą wykorzystywały je do przygotowywania posiłków. Nie pamiętam, aby z tego powodu ktoś skarżył się na ból brzucha. Na brzegach rzeki znajdowaliśmy dziką czerwoną i czarną porzeczkę. Tubylcy czarną nazywali *smorodina*. W nadbrzeżnych zaroślach królowała także malina. Zbieraliśmy nie tylko owoce, ale także łądygi, które suszyliśmy i podczas zimy mamusia przygotowywała nam z nich wywar do picia, pachniał wyśmienicie.

Był czas, że mama nie pracowała, wtedy całą trójką chodziliśmy z nią do lasu i z brzozy cięliśmy gałązki, takie witki. Układaliśmy je później w pęczki, a ponieważ Rosjanie we wsi hodowali kozy, to takie ususzone miotełki stanowiły dla nich zimową karmę. W zamian za te pakiety otrzymywaliśmy zazwyczaj trochę kartofli. Gdy był duży mróz i Dwina zamarzała, Rosjanki mogły przejść przez rzekę i wymienić żywność na ubrania. Za jedną sukienkę z UNRY można było otrzymać mleko, twaróg i ziemniaki.

Zdobycie czegoś do jedzenia było najważniejszym zadaniem, nie cofano się przed czynami uznawanymi za naganne, ale żeby przeżyć musieliśmy kraść. Formy tych czynów były różne. Gdy tatuś stróżował i pilnował pola z ziemniakami, wykorzystywaliśmy siostrę, aby odwracała jego uwagę, a my w tym czasie schylieni, aby nas nie widział podbieraliśmy ziemniaki. Pewnego dnia, gdy się zorientował, jaką to straszną „zbrodnię” robimy, to krzyczał na nas, że go do kryminału zamkną. Jak głód dał się nam naprawdę tak we znaki, że mało co nie przypląciliśmy tego życiem zdobył się na akt odwagi i zaryzykował. Na wiosnę, gdy zatrudniony był przy zasiewach zbóż, mamusia zawiązała mu sznurkiem kalesony na wysokości kostek. Dzięki temu przez kilka dni przynosił do domu po 2-3 garście jęczmienia lub owsa, które później rozcierało się w moździerz. Takim rozartym zbożem zasypywało się wywar z ostu lub pokrzyw i tak powstały klej zjadaliśmy ze smakiem. Tylko jeden raz dotarła do nas paczka z żywnością od babci i jakoś udało się kolejne dni przeżyć. Gdy całą trójką byliśmy chorzy, najstarszy brat ukradł ze stołówki nieco prowiantu przeznaczonego na obiad, a innym razem 2 worki mąki z piekarni. Latem korzystaliśmy także z możliwości zdobycia mięsa rybiego. Najczęściej to brat zajmował się połowem, ja byłam za mała do tego procederu. Połów odbywał się nocą, nie wiem, dlaczego nie można było łowić ryb w ciągu dnia? Na haczyki zrobione z drutu i zawieszzone na sznurkach łowiono w Dwinię ryby, którymi zjadaliśmy się. Wiem, że część dorosłych zesłańców w poszukiwaniu pożywienia zakładała wokół obozu wnyki na drobną zwierzynę, ale odbywało się to w wielkiej tajemnicy. Tatuś nigdy nie wspominał, że pozyskał w ten sposób jakiegoś zwierzaka. Ryzykowano także utopieniem się przeszukując nadbrzeżne szuwary w poszukiwaniu ptasich jaj.

Latem, chyba 1940 r. nie pamiętam dlaczego, kazano nam opuścić zamieszkały barak i przenieść się do innego, mniejszego, położonego nad wielkim i niebezpiecznym urwiskiem. Obawialiśmy się, że jak przyjdą wiosenne wysokie stany wody mogą podmyć brzeg i nasz barak wpadnie do wody. Byliśmy już świadkami tego jak zachowuje się rzeka, gdy nadchodzi wiosna i puszczają lody. Pękaniu pokrywy lodowej i tworzeniu się kry towarzyszył wielki huk, tatuś mówił, że ten hałas podobny jest do armatnich wystrzałów. Początkowo olbrzymie tafle lodu poruszały się wolno wzdłuż koryta rzeki, ocierały się o siebie, zaszębiały, dobijały do brzegów, zachodziły jedna na drugą i tworzyły zapórę dla kolejnych lodowych partii. Oglądaliśmy to piękne zjawisko z ogromnym zaciekawieniem, ale także i strachem. W miarę jak kra topiła się od wiosennego słońca i stawała się mniejsza, nurt stawał się szybszy, podnosił się stan wody zalewając położone w dolinie rzeki niższe tereny nadrzeczne.

W baraku, w którym przyszło nam zamieszkać pokoje znajdowały się po obu stronach wąskiego korytarza. Nadal normą dla jednego pokoju było umieszczanie w nim 2-3 rodzin. W naszym przypadku na powierzchni około 16 m² zamieszkały 3 rodziny. Żeby się zmieścić spaliśmy po 3-4 osoby w jed-

nym łóżku. Dla jednego z deportowanych nie było już miejsca, z konieczności musiał spać na korytarzu, to było jego mieszkanie.

W jednej z takiej przydziałowej rodziny mieszkającej razem z nami znalazł się Polak lub Białorusin, który szpiclował i donosił do władz obozowych. Jego zachowanie wszyscy odbieraliśmy jako niemoralne, dlatego nikt z nas specjalnie nie zmartwił się, gdy pewnego dnia został aresztowany. Jego historia nie warta byłaby wspomnienia gdyby nie fakt, że wraz z nim zesłana została jego córka z pierwszego małżeństwa. Gdy owdowiał, ożenił się po raz drugi i z tego związku również miał córkę. Od czasu jego zatrzymania, żona stała się dla swojej pasierbicy prawdziwą macochą, uznawała i opiekowała się tylko swoim dzieckiem. W pewnym momencie zareagowały inne kobiety żądając szacunku dla sieroty, ale nie można było jej przekonać do zmiany postępowania. Mimo trudnej sytuacji starano się ulżyć pozostawionemu bez opieki dziecku. Moja mama i sąsiadka na zmianę czyściły jej włosy, bo tak bardzo była zawszawiona, mimo że co tydzień jak wszyscy chodziła do łaźni i w specjalnej komorze ubrania poddawane były dezynfekcji. Od czasu do czasu wspomagaliśmy ją jakimś kawałeczkiem chleba. Później nasze losy rozdzieliły się.

W okresie kiedy mieszkaliśmy w baraku nad rzeką, na zimę trzeba było zgromadzić opał. Mimo niedalekiej odległości od tajgi lokalizacja naszego baraku była niekorzystna i było bardzo trudno go pozyskać, ale pewien zapas udało nam się zgromadzić. Pod koniec zimy okazało się, że nie mamy czym palić. Brat korzystając z okazji przyniósł do pieca trochę zgromadzonego kołchozowego drewna. Za tę kradzież odpokutował tatuś, bo zgodnie z zaleceniem Stalina nie można było karać dzieci. Chyba przez miesiąc tatuś w dzień pracował, a nocą siedział w kozie.

Okres letni to czas zabaw na terenach przyległych do obozu. Nas dzieciaków było dużo. W czasie, gdy starsi pracowali, my zwykle pozostawaliśmy bez nadzoru. Dni mijały nam na zabawach, czasami pomagaliśmy sprzątać baraki, zbierać opał. Niektóre zabawy były typowe, jakieś kije, biegania, skoki, taplanie się w wodzie, drobne bijatyki i włóczęgi po nadbrzeżnych łąkach. Ale czasami fantazja nieco przekraczała granice zdrowego rozsądku. Też byłam ofiarą takiej nieprzemyślanej eskapady. Z zaprzyjaźnioną koleżanką i kolegą wzięliśmy siekierę i poszliśmy na skraj lasu. Nie wiem, w jakim celu rąbaliśmy drzewo i jak to się stało, że siekiera zahaczyła o mój palec. Nie czułam bólu, ale kiedy z przeciętej rękawiczki zaczęła kapać krew z krzykiem pobiegłam do domu. Mamusia wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do felczerki, a gdy ta połała mi ranę jodyną to mój wrzask słychać było chyba w całym obozie i jeszcze w pobliskim sowchozie. Co spojrzę na swój nieco zniekształcony palec to uśmiecham się na to wspomnienie, choć pamiętam, że w trakcie kolejnych opatrunków wykonywanych już przez mamusię wcale nie było mi do śmiechu. Oczywiście nikt z tego powodu nie poniósł żadnych konsekwencji.

Latem nie zapuszczaliśmy się w głąb tajgi, bo im było cieplej tym natrętniejsze był maleńkie owady – meszki. Gdy tylko mijaliśmy pierwsze drzewa, pojawiały się całymi chmurami. Wpychały się wszędzie, atakowały nie tylko twarz, oczy, nos, ale wchodziły za nasze lice ubrania i tam miały do dyspozycji całe dziecięce plecy, brzuch, pośladki. Kąsały boleśnie, po nakarmieniu się naszą krwią na ciele pojawiała się swędząca opuchlizna. Rodzice opowiadali, że

takie muszki, które atakują zwierzęta masowo, potrafią zabić małego cielaczka. Nie wiem, czy to była prawda, czy tylko dla nas przestroga, ale po pierwszym kontakcie z meszkami, wcale nie trzeba nas było straszyć.

Zimą zazwyczaj siedzieliśmy w domu, mrozy dochodziły do minus 40 stopni, jak tu wyjść skoro nie ma głównie butów i odzieży. A ponadto, co można robić, gdy wszystko wkoło zamrożone? Rodzice ten zimowy, chwilowy odpoczynek od ciężkich prac wykorzystywali do wyplatania tzw. łapci, ale nie były to typowo rosyjskie łapcie wykonywane z lipowego, topolowego lub wierzbowego łyka. Surowcem była słoma. Różniły się także kształtem. Pęczek słomy dzieliło się na 3 części i zaplatało je tak jak dziewczęce warkocze. Z warkoczy formowano podeszwę, potem wykonywano oplot stanowiący zabezpieczenie kostki i w zależności od potrzeb kończono na jej wysokości lub łydki. W takich łapciach biegaliśmy po śniegu, ale nie pamiętam na jak długo nam wystarczały.

Gdy nadchodziły cieplejsze okresy, starsi chłopcy przygotowywali dla nas specjalny kierat, do którego przywiązywano sanki i zaczynała się karuzela. Kręcili nią z różną prędkością, śmiechom i wrzaskom nie było końca. Każdy chciał wirować z dużą szybkością. Dla naszych zimowych zabaw sanki robił nam tatuś lub starszy brat wykorzystując drzewo wierzbowe.

Do czasu agresji niemieckiej na Związek Radziecki brat i siostra chodzili do szkoły. Pamiętam, że był to duży dom ludowy, a w nim duża sala. W niej, nam najmłodszym dzieciom zrobiono zabawę noworoczną i rozdano paczuszki z cukierkami w postaci poduszeczek. Nie było ich dużo 7- 8 sztuk, ale było to tak niezwykle, że utrwaliło się w mojej pamięci. Były dziwnie opakowane, jakby zapakowane i zaklejone. Cukierki nie były duże, miały czerwone lub zielone kreseczki i owocowy smak. Teraz czekolada tak nie smakuje jak wtedy te szklane cukierki. Nauczyciel powiedział nam, że jest to dar od Stalina.

W naszym obozie oprócz baraków dla Polaków znajdowały się pomieszczenia, w których Rosjanie przetrzymywali estońskich oficerów. Ich los musiał być bardzo ciężki, musieli być okrutnie traktowani, bo nocami dochodziły do nas jęki. Dwóch z nich nie wytrzymało tortur i powiesiło się. Tak trudnych warunków nie wytrzymał również wysiedlony razem z nami dziedzic z Wierchowic, pamiętam go jak lekko przygarbiony, nad ogniskiem usilnie starał się pozbyć wszy. Mieszkał w innym niż my baraku. Gdy ja sięgam pamięcią, był samotnym, starym mężczyzną, ale wiem, że został deportowany razem z żoną. Żona zmarła i od tamtego czasu nie mógł sobie poradzić z codziennymi trudami, zdobyciem pożywienia. Polacy starali się go wspierać, kobiety od czasu do czasu prały mu te strzępy, które nazywano ubraniem, jeśli mogły to dokarmiały. Nie wiem, co się z nim dalej działo, zmarł czy wrócił do Polski. Słyszałam rozmowy dorosłych, którzy litowali się nad jego losem, losem człowieka niedoświadczonego ciężkiej pracy, nawykłego do wygod i zarządzania. Nie był typem wyzyskiwacza, a wręcz przeciwnie ludzie z dworu szanowali go i darzyli zaufaniem.

Ludzie umierali stale, czasami, dziennie po 2-3 trumny wywożono do lasu. Zimą, gdy mrozy dochodziły do minus 50 stopni, trumny te pozostawiano w lesie, aby wiosną, gdy ziemia odtajała wykopać groby i pochować nieboszczyków. Nie omijały nas również choroby. Po sobie wiem, na czym polega kurza ślepoty i co to znaczy nic nie widzieć o zmierzchu. Siostra miała większe problemy niż ja, bo zaczęło jej zachodzić bielmo na oczy, czyli taka błonka utrudniająca

widzenie. Gdy żadne leki i krople przepisywane przez felczera nie pomagały zostały tylko domowe sposoby. Sąsiadki wiadomym sobie sposobem zdobywały nieco cukru, który rozcierany był na pył i nim zasypywano siostrze oczy. Po tym jak bardzo wrzeszczała i że trzymała ją za ramiona dwóch mężczyzn domyślałam się tylko jak wielki ból musiała znosić. Bardzo jej współczułam.

Gdy w kwietniu 1943 roku rozpoczęło się formowanie polskiego wojska bardzo dużo deportowanych Polaków zaciągnęło się do tworzonych oddziałów, w tym mój brat wraz ze swoim kolegą Kitajewskim. Rodzice nie sprzeciwiali się decyzji syna, tatuś powiedział, idź, walcz. Nie pamiętam momentu pożegnania, z resztą nie rozumiałam bardzo wielu rzeczy. W pół roku później brat uczestniczył w bitwie pod Lenino, w której został ranny. Opisując w liście do rodziców przebieg walk, stwierdził, że nie zapomni jej do końca życia. Jak się potem okazało było to bardzo krótkie życie, niespełna siedemnastoletnie. Drugi list, który dotarł z frontu donosił o jego śmierci w szpitalu polowym. Pamiętam, że mamusia bardzo długo płakała.

W 1944 r. nakazano nam opuścić obóz. Rodzice nie znali powodów. Do Archangielska dopłynęliśmy statkiem, później wieziono nas pociągiem. Przed wyjazdem otrzymaliśmy paczki. Chyba Amerykanie je przysłali. Były w nich jaja i mleko w proszku oraz jakieś mięso. Mówiono, że były to małże, ale i tak podczas podróży pociągiem wszystko zniknęło, bo innego prowiantu dla nas nie zabezpieczono. Po drodze mijaliśmy polskie wojsko maszerujące na front a w Archangielsku rodzice na krótko spotkali się z siostrą tatusia, która przesiedlana była w inne miejsce.

Z obozu nad Dwiną zabrali nas wszystkich, ale już nie wszystkich razem osiedlili. Nas dowieziono do miejscowości Boryń, 80 km od Smoleńska. To właśnie w tym rejonie wymordowano polskich żołnierzy wiosną 1940 roku, ale nie mogliśmy nic na ten temat mówić, a nam powtarzano, że zrobili to Niemcy. Wieś posiadała stację kolejową. Nas w kołchozie i zajęliśmy miejsca osób, które zostały wysiedlone w inne regiony. Smutno nam było, gdy widzieliśmy te wyjeżdżające rodziny z całym dobytkiem i inwentarzem. Dorośli wiedzieli, jaki ich los czeka, ale tubylcy wyjeżdżali pełni planów i perspektyw lepszego życia.

Początkowo rozlokowano nas w małych domkach, tradycyjnie po kilka rodzin w jednym pomieszczeniu. Później przeniesiono nas do pałacu. Była to duża rezydencja zarekwirowana po rewolucji październikowej. Przed naszym przybyciem stacjonowało w nim przez kilka dni wojsko polskie. Po ich obecności pozostał ułożony z polnych kamieni orzeł polski w koronie.

Zamieszkaliśmy w jednej z dużych sal na piętrze, siedemnaście rodzin poprzez odpowiednie ustawienie drewnianych łóżek wydzieliły swoją przestrzeń mieszkalną z wąskim przejściem. Na łóżkach nie było sienników, wyłożone były słomą i przykryte jakimś płachtami. Tutaj także nie ustrzeżliśmy się insektów, ale dominowały nie pluskwy jak na północy, lecz pchły. Na środku sali znajdował się wspólny piec. Kuchnia i zaplecze kuchenne znajdowało się na parterze. Niestety łaźni nie było, myliśmy się w miskach.

W tych nowych warunkach na Ukrainie, początkowo żyło nam się nieco lepiej. Przede wszystkim zimy były łagodniejsze, nie było tak silnych mrozów, no i lato nie trwało dwa miesiące. Nie musieliśmy także już żywić się pokrzywami i tym, co znajdziemy w naturze. Nie było smakołyków, ale było łatwiej zdobyć jedzenie. Tutaj nie musieliśmy walczyć o przeżycie. Na parterze znajdowała

się stołówka, z której korzystaliśmy trzy razy dziennie, a w zupie od czasu do czasu pływało jakieś mięso. Kołchoźnicy posiadali około 15-20 arowe działki, mogli hodować krowy, a mleko zdawali do mleczarni. W dalszym ciągu przychodziły paczki z UNRY i za ubrania, które wymienialiśmy z Rosjanami otrzymywaliśmy mleko, przetwory mleczne, ziemniaki. Z dyni i gotowanych kartofli mama robiła wyśmienite kluski na mleku. Mamusia pracowała w ogrodnictwie przy uprawie warzyw i dzięki temu, że brygadzysta był normalnym człowiekiem czasami pozwalał po kryjomu wynieść pomidora lub jakieś inne warzywo. Jednego roku nadmiernie obrodziły ogórki, wystarczyło dla nas wszystkich przywiezionych do kołchozu jak również dla krów, które doszczętnie je wyjadły.

Mimo, iż miałam już 8 lat mamie udało się mnie jeszcze zapisać do przedszkola, do którego chodziłam przez rok. W przedszkolu były dzieci rosyjskie i polskie a przedszkolanka sprawnie władała obydwoma językami. Po zakończeniu wojny już nie można było rozmawiać po polsku. Na wycieczki chodziliśmy do pałacowego parku, wędrując alejkami mijaliśmy piękne szpalery drzew ozdobnych, a w sadzie dorodne maliny, jabłonie, ale nie można nam było nic dotknąć. Na ten widok dosłownie oczy nam wychodziły na wierzch nie mówiąc o zbierającej się w ustach ślinie. W pobliskim stawie, w którym kobiety sprawnie wymachując kijankami prały codzienną odzież, moja przedszkolanka podczas zabaw w wodzie uczyła mnie pływać. Niestety, byłam chyba mało pojętną uczennicą, bo nie nabyłam tej sprawności. W pobliżu, oprócz głębokich na około dwa metry torfiarek było kilka mniejszych strumyków, dzięki nim łatwo nam było latem utrzymać higienę.

W naszej grupie przedszkolnej przebywał polski głuchoniemy chłopiec. Został deportowany tylko z mamą, bo ojciec walczył na froncie. Z tego powodu, że nie mówił i nie słyszał trudno mu było funkcjonować wśród dzieci. Lubiliśmy go, bo był bardzo uczynny, grzeczny i bardzo się starał pozyskać naszą sympatię. Podczas jednej z akademii powiedział po swojemu wiersz, oczywiście były to dźwięki zrozumiałe tylko dla niego, ale uzupełnione mimiką i gestykulacją. Byliśmy dla niego wszyscy pełni podziwu i głośno biliśmy mu brawo.

W pierwszym roku pobytu, tym lepszym, gdy skończyły się żniwa pozwolono nam pozbierać na własne potrzeby pozostałe na polu kłosa zbóż. Uzyskane ziarno ucieraliśmy w młynku i powstała grubo zmielona mąka. Rok później większą część zebranych kłosów musieliśmy niestety oddać do kołchozu.

Każdy z nas miał zajęcie, siostra bawiła dziecko u pani doktor, później, gdy ta wyjechała do Kijowa, bawiła inne u enkawudzisty. Brat jeździł telegą, takim cztero kołowym wozem gospodarczym i dowoził wodę na pole oraz wykonywał cięższe prace polowe, a tatuś stawiał piec.

Nie pamiętam, aby w pierwszym obozie na Syberii można było uczestniczyć w obrzędach religijnych, ale po przyjeździe do Borynia w odległości około czterech km funkcjonowała jeszcze cerkiew. My Polacy, korzystaliśmy z możliwości, że była również dla nas otwarta i bardzo często w niedzielne przedpołudnia uczestniczyliśmy we mszy w obrządku prawosławnym. Pamiętam, że dwukrotnie byłam w niej z mamą. Z opowiadań mamusi wiem, że podczas pierwszego pobytu byłam pod wielkim wrażeniem jej wielkości, ogromu złocen i bogatych zdobień. Pamiętam także moje wielkie zdziwienie, kiedy zobaczyłam, że pop w miseczce ma małe kawałki chleba. Spojrzałam na mamusię,

a ona kiwnęła głową, że mam tą okruszynę chleba włożyć do buzi. Niestety, wkrótce cerkiew została zamknięta i przekształcona w magazyn. Wracając do wspomnień związanych z tradycjami religijnymi, nie pamiętam, czy obchodziliśmy wigilię lub święta wielkanocne. Dla nas świętem był czas, gdy rodzice przynieśli produkty spożywcze i nie odczuwaliśmy głodu.

Rok 1945 to nie tylko zakończenie wojny, ale także ważny moment dla naszej rodziny, bo powiększyła się ona o narodzonego w szpitalu *krasnaja swoboda* braciszka i niestety pogorszenie warunków życiowych w związku z nową polityką Stalina. Powoli zaczynały się kłopoty żywieniowe, bo również kołchoźnikom zaczęto stopniowo odbierać przywileje np. przydziały działek. Zaczęto reglamentować żywność. Kołchoźnicy musieli oddawać mleko do mleczarni a to utrudniło rodzicom sytuację, bo po urodzeniu się braciszka, nie było dla niego mleka i musieliśmy starać się o mleko kozie. Po urodzeniu dziecka władze kołchozu przeznaczyły nam inne lokum, aby małemu synkowi było lepiej, tym razem był to oddzielny pokój w domu z innymi dwiema rodzinami. Pod jednym względem była to niekorzystna zamiana – nie było w pokoju pieca a skroplona para wodna płynęła po szybach i ścianach. Panowała wilgoć.

Mamusia miała piękny głos, ale na zesłaniu śpiewała tylko usypiając braciszka, a kołysankami były pieśni religijne. W związku z tym przypomniła mi się zasłyszana rozmowa, podczas której jedna z Ukrainek, której syn zginął na froncie dziwiła się, że mamusia może śpiewać nie oplakując swojego poległego dziecka. Na to druga kobieta jej odpowiedziała, „Pałdynka już swoje wypłakała, a teraz siedzi i śpiewa. Śpiewa kościelne pieśni więc na pewno jest jej ciężko.”

Przed głodem ratowały nas jeszcze zdolności wróżbiarskie tatusia. Od początku pobytu na Ukrainie wyrobił sobie pozycję wróżbity czytającego karty, wystarczyło tylko, że kilkakrotnie trafnie odczytał i przepowiedział przyszłość a ludzie nabrali do niego pełnego zaufania. Oczywiście za wróżbę nie płacono rublami, tylko tym, co było w domu, czyli śmietaną, mlekiem, masłem, mąką, chlebem, ziemniakami.

2 lutego 1946 r. dowiedzieliśmy się, że możemy wracać do Polski. Pamiętam radosne podskoki, wybuchy śmiechu i wzajemne uściski. Poczekaliśmy jeszcze około 2 tygodnie na wyrobienie niezbędnych dokumentów. Powrót do Polski obejmował wszystkich Polaków przewiezionych do kołchozu na Ukrainie. Zostać musiała tylko jedna z rodzin, gdyż ich córka wyszła za mąż za wojskowego Rosjanina i nie dostali pozwolenia. Rozpacz była ogromna, ale po długich staraniach udało się przekonać władze i dołączyli do transportu.

Z tamtego okresu niewiele pamiętam, w swojej pamięci nie mogę odtworzyć obrazów związanych z pakowaniem się, drogą. Z podróży pamiętam tylko duże, miękkie, białe bułki, które na jakimś postoju zostały zakupione.

Tatusz przyrzekł sobie, że jak wróci do Polski z całą rodziną to nie zapomni podziękować Panu Bogu za opiekę i będzie otwarty na potrzeby kościoła. Ja to zobowiązanie wypełniłam do końca i złożyłam składkę na remont kościoła w Zwierznie.*

* Wspomnienia uzupełniane opowiadaniem rodziców i rodzeństwa.

KRONIKA

• POLSCY ZESŁAŃCY NA SYBERII OD POŁOWY XVIII DO POCZĄTKÓW XX WIEKU. KONFERENCJA W OMSKU

Od kilku już lat, a według dokładnych obliczeń Tatiany Mosunowej z Jekaterynburga od 11, ponad milionowy Omsk stał się jednym z wiodących centrów badawczych, nad losami polskich zesłańców na Syberii. W informatorach o współczesnym Omsku znajdziemy wykaz dwudziestu dziewięciu placówek o statusie wyższych uczelni. Są to samodzielne Instytuty o różnym profilu zawodowym i filie wyższych uczelni z innych dużych ośrodków akademickich. Na uwagę zasługuje fakt, że sześć spośród wyższych uczelni ma w nazwie „uniwersytet”. Wydaje się jednak, że wiodącą rolę odgrywają dwa: tzw. uniwersytet klasyczny i rolniczy. Właśnie ten ostatni pełni wiodącą rolę w badaniach nad Polakami i to głównie za sprawą młodej uczoney doc. Swietłany Muliny. W dniach 25-27 maja 2015 r. odbyła się w Omsku kolejna międzynarodowa konferencja naukowa na temat „Polscy zesłańcy na Syberii w drugiej połowie XVIII – początku XX wieku, ich postrzeganie przez rosyjską administrację, przesiedleńców i rdzenne narody Syberii”. Zorganizowana została z funduszu w ramach projektu badawczego *Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki* polskiego Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Głównymi organizatorami sympozjum były trzy wyższe uczelnie: Uniwersytet Jana Kochanowskiego w Kielcach oraz Uniwersytet Państwowy im. Fiodora Michajłowicza Dostojewskiego (klasyczny) i Uniwersytet Rolniczy im. Piotra Arkadiewicza Stołypina z Omska. Oprócz nich byli jeszcze dwaj współorganizatorzy: Omski Instytut Kształcenia Uzupełniającego i omskie towarzystwo regionalne Polskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe „Rodzina”. Przygotowaniem konferencji zajął się kilkunastoosobowy polsko-rosyjski komitet organizacyjny, ale wiodącą rolę odegrały w nim właściwie cztery osoby. Ze strony gospodarzy były to dwie panie z uniwersytetu rolniczego: prof. Nina Kazydub – prorektor ds. naukowych i doc. Swietłana Mulina – kierownik centrum historii, języka i kultury polskiej oraz kieleccy profesorowie z UJK Wiesław Caban i Jacek Legieć. Dwudniowe obrady miały miejsce w budynku Instytutu Kształcenia Uzupełniającego, na terenie kampusu uniwersytetu rolniczego. Sympozjum miało rzeczywiście poważny i naukowy charakter, o czym dobitnie świadczył fakt, że zgłoszone zostały 43 referaty, które już zostały opublikowane.¹ W kon-

¹ *Польские ссыльные в Сибири во второй половине XVIII-начале XX века в восприятии российской администрации, переселенцев и коренных народов Сибири. Сборник научных трудов*, гл ред. S. A. Mulina, Omsk 2015, ss. 402, ISBN 978-5-9931-0313-6.

ferencji, oprócz gospodarzy, wzięli udział naukowcy z kilkunastu ośrodków syberyjskich, m.in. z Tobolska, Tomsk, Irkucka, Nowosybirsk, Jekaterynburga, Abakanu, Suszenskoje oraz dwunastoosobowa grupa polska, reprezentująca ośrodki: Warszawa, Kielce, Lublin, Białystok i Gdańsk.

Obrady rozpoczęte zostały tradycyjnym powitaniem gości przez pierwszego prorektora uniwersytetu rolniczego Natalię Czerniawską. Kolejne dwa oficjalne wystąpienia należały do gości honorowych z kręgów dyplomatycznych: pierwszego zastępcy ambasadora Rzeczypospolitej Polskiej Jarosława Książka i przedstawiciela Unii Europejskiej na Federację Rosyjską Wigaudasa Uszackasa (Litwin). Przewidziane było jeszcze wystąpienie polskiego konsula generalnego z Irkucka Marka Zielińskiego, ale z powodu trudności komunikacyjnych, dołączył do obradujących dopiero po południu pierwszego dnia obrad. Obrady plenarne poprzedzone zostały występem młodzieżowego zespołu pieśni i tańca „Polonez”, z wiązką polskich pieśni ludowych. Następnie wygłoszone zostały trzy referaty naukowe. Maria Czornaja z Tomsk przedstawiła wyniki badań archeologicznych, prowadzonych pod jej kierunkiem na miejscu siedziby tamtejszego wojewody. Znalezione przedmioty z XVII-XVIII w. wykazywały pewne cechy zdobnicze, świadczące o wpływach europejskich na ich twórców. Natalia Suworowa z omskiego uniwersytetu klasycznego, poświęciła swoje wystąpienie modelom osadnictwa wiejskiego na Syberii. Zajął się szeroko rozumianym osadnictwem zesłańcym, jego specyfiką i różnorodnymi uwarunkowaniami oraz procesami integracji z rdzenną ludnością. Referat Bolesława Szostakowicza z Irkucku różnił się od pozostałych przede wszystkim bardzo długim tytułem – prawie pięć linijek druku. Autor, tak przynajmniej wynika z tytułu, zaproponował nowe ujęcie problematyki związanej z pobytem polskich zesłańców na Syberii. Podkreślił, że powinno się go przedstawiać jako integralną część szeroko rozumianej wieloaspektowej problematyki historii Syberii i wieloetnicznych wzajemnych powiązań. Ostatnim wystąpieniem w tej części obrad, był referat Wiesława Cabana z Kielc i miał on szczególny charakter. Właściwie była to laudacja poświęcona szczególnej osobie – prof. Wiktorii Śliwowskiej, która w bieżącym roku obchodzi sześćdziesięciolecie pracy naukowej. Szeroko rozumiany krąg jej zainteresowań to Rosja, ale wiele ostatnich lat poświęciła bez reszty Syberii i polskim zesłańcom w XIX w. Profesor Caban dokonał przeglądu najważniejszych pozycji monograficznych jubilatki, ilustrując to bogatą kolekcją slajdów i zdjęć.

W drugiej części dnia kontynuowane były obrady w sekcjach tematycznych. Ze względu na dużą liczbę referentów, organizatorzy podzielili uczestników konferencji na cztery sekcje tematyczne: „Polskie zesłania na Syberię: problemy badawcze, źródła, zagadki”, „Polacy na służbie, w kulturze i ekonomice Syberii”, „Problemy polskiej kolonizacji Syberii”, „Problemy kultury ludowej, procesy etnokulturowe i demograficzne w przeszłości i współczesne”. Fakt, że nie wszyscy autorzy referatów byli obecni na konferencji, ułatwił stronę organizacyjną. Dzięki temu znalazło się więcej czasu na dyskusję i wymianę poglądów. Obrady odbywały się w dwóch sekcjach równocześnie, co uniemożliwiało wysłuchanie wszystkich referatów i trzeba było dokonywać wyboru. Omówienie chociażby też poszczególnych wystąpień, stało się więc niemożliwe. Na przykładzie pierwszej i trzeciej sekcji, w obradach których uczestniczył piszący ten tekst

można stwierdzić, że wystąpienia były interesujące i mieściły się w nakreślonej przez organizatorów problematyce. Wiele kontrowersji i różnicy w ocenach wywołała tematyka trzeciej sekcji. Dyskutanom chodziło o ściśle rozgraniczenie takich pojęć jak polityka kolonizacyjna i kolonizatorzy na Syberii. W tym kontekście próbowano określić rolę i miejsce polskich zesłańców oraz wskazać jaką spełniali rolę w polityce imperium. Swoistym urozmaiceniem drugiego dnia obrad, była otwarta lekcja języka polskiego, poprowadzona przez polską nauczycielkę panią Annę Matysiak. Naukowy program konferencji wyczerpany został w południe drugiego dnia obrad. Podsumowujący obrady Wiesław Caban wyraził nadzieję, że analogiczne do kończącej się konferencji sympozjum, odbędzie się za dwa lata w Kielcach i zaprosił na nie wszystkich obecnych i chętnych. Po obiedzie uczestnicy konferencji mieli więc czas na spacer z przewodnikiem, po zabytkowej części Omska i wzdłuż brzegu bystrego Irtyszu.



Uczestnicy konferencji. Stoją od prawej: Jan Trynkowski, Wiktoria Śliwowska, Franciszek Nowiński i Stanisław Wiech.

Burzliwe obecne stosunki Rosji z Polską i Europą, też musiały zostać zaakcentowane. Jeszcze przed rozpoczęciem obrad, przed budynkiem gdzie zebrali się uczestnicy konferencji, pojawiło się kilkunastu motocyklistów z omskiego klubu „Legion 55”. Motocykliści chcieli porozmawiać o bieżących wydarzeniach politycznych, w kontekście rocznicy zakończenia II wojny światowej i tzw. polityki historycznej. Chodziło im o możliwość zadania pytań polskiemu i unijnemu dyplomatom. Stanowcza postawa organizatorów, a konkretnie pani prorektor Czerniawskiej i niewpuszczenie motocyklistów do budynku obrad, zakończyły ten nieprzyjemny incydent. Wspomniana demonstracja

motocyklistów odbyła się na terenie kampusu uniwersyteckiego i nie wzbudziła większego zainteresowania przechodzących studentów. Jednak w internetowej gazecie Omska „Super Omsk” ukazały się artykuły o antypolskich akcentach. Oto przykładowe tytuły: „Omscy motocykliści (*bajkerzy*) »ogłuszyli« zachodnich dyplomatów na znak protestu przeciwko »wypaczaniu prawdy historycznej«, „Z pomocą omskich uczonych Polska i UE chcą przedstawić Rosję jako »więzienie narodów« – ekspert”. Obydwa artykuły były podpisane nazwiskiem „Dmitrij Olejnik”, a wspomniany w tytule drugiego ekspert, to profesor z Omskiego Państwowego Uniwersytetu Pedagogicznego Siergiej Nowikow, który ocenił, że rozpoczynająca się konferencja to element wojny psychologicznej. „Ogłuszenie”, o którym mowa w tytule pierwszego artykułu, polegało na włączeniu motorów na pełny gaz i uruchomieniu na kilka minut sygnałów dźwiękowych. Ta polityczna demonstracja omskich motocyklistów, nie zakłóciła jednak toku konferencji naukowej.



Odpoczynek w klasztorze, siedzą od lewej: Zbigniew Wójcik, Franciszek Nowiński, siostra zakonna, Wasylj Chaniewicz.

Gościnni omscy gospodarze, przygotowali także program rekreacyjno-turystyczny. W niedzielę poprzedzającą poniedziałkowe obrady, zaproponowano dla chętnych spacer po uniwersyteckim ogrodzie botanicznym, połączony z grillowaniem. Po południu zorganizowano nam wycieczkę autobusową do oddalonego o 40 kilometrów od Omska żeńskiego klasztoru w Aczairsku (nie mylić ze znajdującym się na trasie zesłańczej wędrówki Aczyńskiem). Klasztor zaczęto budować w latach dziewięćdziesiątych XX w., na miejscu dawnego obozu pracy z okresu stalinowskiego. Obóz powstał w latach trzydziestych

i istniał do lat pięćdziesiątych XX w. Według nie do końca potwierdzonych danych, mogło w nim zginąć nawet około 200 tys. więźniów. Obecnie jest to miejsce pielgrzymek, a na terenach byłego obozu zbudowano piękną cerkiew, dzwonicę i pomnik św. Mikołaja Cudotwórcy. Siostry prowadzą gospodarstwo rolno-hodowlane i na koniec częstują pielgrzymów własnego wyrobu białym serem ze śmietanką (*sliwki*), chlebem i herbatą.

Ostatniego dnia pobytu w Omsku, zorganizowano dla chętnych wyjazd do dawnej polskiej wioski Diespotzinowki. Nazwa wioski pochodzi od nazwiska Polaka Despot-Zenowicza (1829-1897), który w latach 1862-1867 był tobołskim gubernatorem i dobrze zapisał się w pamięci zesłańców postycziowych. Założycielami wioski byli Polacy, ale z czasem dołączyli do nich Rosjanie, Niemcy i Kazachowie. W dwudziestych latach XX w. we wsi powołano artel rolniczy „Przyjaciel” (w oryginale „Пшиячель”), który w końcu lat czterdziestych przemianowano na kolchoz im. Iwana Władimirowicza Miczurina. W latach dziewięćdziesiątych kolchoz został rozwiązany i obecnie istnieje kilka gospodarstw typu farmerskiego.



Diespotzinowka, stoją od lewej: Zbigniew Wójcik, najstarsza Polka pani Walewska i Franciszek Nowiński.

Ciekawym jest fakt, że w latach trzydziestych wioski nie dotknęły żadne większe represje. Obecnie wioska liczy około 2 tys. mieszkańców, z których trzecia część ma polskie korzenie, ale nie umieją mówić po polsku. Mieszkańcy byli uprzedzeni o naszym przyjeździe i na tę okazję w domu kultury przygotowali specjalny program artystyczny. Tańczyły i śpiewały dzieci, młodzież, nawet dorośli, ale nie po polsku. Na miejscowym cmentarzu spotkać można

zarówno nazwiska polskie jak i rosyjskie. Pobyt w wiosce zakończył się skromnym poczęstunkiem, w myśl staropolskiej zasady „czym chata bogata”. Nasuwa się w związku z tym jedna myśl, powinien tam jak najszybciej zostać przysłany polski nauczyciel.

Reasumując całość pobytu można stwierdzić, że Omsk przyjął nas ciepło i gościnnie. Obrady były ciekawe, interesujące i bez wątpienia wydane drukiem materiały – około 400 stron, wzbogacą naszą wiedzę o polskich zesłańcach na Syberii.

Franciszek Nowiński

- **KONFERENCJA „SYBERIA INFERNALNA – MITY I OBLICZA RZECZYWISTOŚCI. CZ. II: SYBERYJSKIE PRZESTRZENIE INTYMNE”, KAZIMIERZ DOLNY, 11-12 MAJA 2015 R.**

W dniach 11-12 maja 2015 roku odbyła się druga z cyklu konferencji pt. „Syberia infernalna – mity i oblicza rzeczywistości”. Przedmiotem uwagi tegorocznego sympozjum, organizowanego przez Katedrę Krytyki Literackiej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II, stały się syberyjskie przestrzenie intymne. Podczas poprzedniego spotkania w 2013 roku uczestnicy podjęli refleksję nad wizją Syberii obowiązującą w wieku XIX, polemikę z sybirskimi mitami i próbę naukowego opisu tej rzeczywistości. Wnioskiem płynącym z obrad stało się stwierdzenie, że już w wieku XIX funkcjonował i był dość dobrze utrwalony, wyobrazeniowy mit Syberii infernalnej, obraz niepełny i jednostronny. Rezultat badawczych rozważań udało się zebrać i opublikować w pokonferencyjnym tomie – *Syberia infernalna – mity i oblicza rzeczywistości*, (red. i wstęp M. Cwenk, przy współpracy J. Trynkowskiego, Wydawnictwo KUL, Lublin 2014, ss. 184 + 2nlb).

Uwieńczone wydaną książką zamknięcie zrodziło potrzebę kolejnej konferencji. Spotkania, celem którego miałyby stać się dyskusja nad innym syberyjskim mitem – mitem sybirskiej przestrzeni, postrzeganej czy wyobrażanej jako biała, północna, lodowa pustynia, obszar zatrzważający swym ogromem i pustką, miejsce zniszczenia ludzkich uczuć i piękna.

Uwaga uczestników skupiona została wokół takich obszarów badawczych jak: przestrzeń emocji zesłańców; obrazy Syberii postrzeganej jako bez – (i?) kres. Wskazywane były sybirskie miejsca intymne w pamiętnikach, wspomnieniach zesłańców, w literaturze pięknej i sztuce. Różnorodność tematów wystąpień sprawiła, iż byliśmy świadkami niezwykle interesującego spotkania, które może nie przyczyniło się jeszcze do zupełnego zrewidowania, ale przynajmniej rozszerzenia sposobu postrzegania Syberii.

Wśród uczestników, którzy zechcieli pozytywnie odpowiedzieć na zaproszenie organizatorów znaleźli się prof. Grażyna Legutko z Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, z referatem „Nad *Notatkami do pamiętników Władysława Daniłowskiego*”, dr Jerzy Borowczyk z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, z tekstem: „Historyczne (pamięciowe), etnograficzne i emotywnie topografie syberyjskie w twórczości Agatona Gillera”. Ośrodki warszawskie reprezentowali: prof. Maria Olszewska z Uniwersytetu Warszaw-

skiego, która zaproponowała referat pt. „Syberia jako przestrzeń walki o byt i zagrożenia. *Na kresach lasów* Wacława Sieroszewskiego”, dr Anna Milewska-Młynik z Muzeum Niepodległości w Warszawie, proponująca tekst pt. „Sybir piekło polskich męczenników” i emerytowany historyk – dr Jan Trynkowski z prezentacją z pogranicza historii i historii sztuki pt. „W pustyni, czyli w puszczy. Krajobraz syberyjski w malarstwie Leopolda Niemirowskiego”.

Przedstawicielką młodego pokolenia badaczy była mgr Wiktoria Bilawska z Uniwersytetu im. Iwana Franki w Żytomierzu. Doktorantka wygłosiła tekst: „Przestrzeń rustykalna Berezowa we *Wspomnieniach z podróży* Ewy Felińskiej. Małgorzata Wróblewska, dyrektor Wojewódzkiego Ośrodka Doskonalenia Kadry Oświatowej „AWANS”, mówiła o „Syberii subiektywnie”.

Środowisko KUL reprezentowali: dr hab. Wacław Pyczek, prof. KUL, który zajął się „Syberyjskim imaginariem Zygmunta Krasińskiego”, dr hab. Władysław Toruń rekonstruujący „Sybir Słowackiego” i organizatorzy. Kierownik Katedry Krytyki Literackiej dr hab. Małgorzata Łukaszuk-Piekara mówiła o „Syberii nie-sybiraka (Aleksander Wat)” i dr hab. Małgorzata Cwenk podjęła refleksję nad zagadnieniem „Intymnej [?] przestrzeni wiary na podstawie tekstów Gustawa Ehrenberga [?] – Juliana Sabińskiego”.



Uczestnicy konferencji.

Przybliżając tezy wygłaszanych referatów, chcę w tym krótkim komunikacie, zwrócić uwagę wyłącznie na wystąpienia zaproszonych gości. Prof. Grażyna Legutko z Kielc, pochyliła się nad *Notatkami do pamiętników Władysława Daniłowskiego*, obszernymi, bo liczącymi ok. 500 stron pamiętnikami ojca Gustawa Daniłowskiego, powstańca styczniowego, pisany na zesłaniu w Minusińsku, w latach 1867-1872, a wydany (przez syna) w 1908 r. Zdaniem referentki są to materiały o tyle interesujące, że stanowią intymny zapis dziejów, w których nieustannie mała historia spleta się z wielką. Zapis to – co stwierdziła Pani Profesor – nierównej wartości artystycznej, momentami nużący

i przytłaczający nadmiarem szczegółów faktograficznych, ale w wielu fragmentach porywający czytelnika.

Reprezentująca Uniwersytet Warszawski, prof. Maria Olszewska, mówiła o Syberii jako przestrzeni zagrożenia na podstawie powieści *Na kresach lasów* Wacława Sieroszewskiego, który, właściwie jako pierwszy, prezentował tematykę „jakucką” i w odmienny sposób traktował nienowoty w literaturze polskiej problem przeżyć wewnętrznych zesłańców. Wspomniana powieść została zaprezentowana przez prof. Olszewską jako znakomite studium przestrzeni emocji zesłańców, nie bez pominięcia drobnych i bardzo interesujących opisów przyrody, życia i obyczajów Jakutów. Referentka stwierdziła, że obok *Ucieczki* (1904), powieść *Na kresach lasów* stanowi najpełniejszy fresk obyczajowy, poświęcony mieszkańcom północnej Syberii, w którym jest ona postrzegana jako obszar wrogi człowiekowi. Podsumowując, prof. Olszewska uznała, że twórczość autora *Na kresach lasów* wpisuje się w nurt egzotyki literackiej XIX wieku, w okresie, gdy utwory wolne już od romantycznych sensów, ukazują przede wszystkim pejzaże i życie ludzi z dalekich, nieznanych krajów

Dr Jerzy Borowczyk, z UAM w Poznaniu mówił o „Historycznych (pamięciowych), etnograficznych i emotywnych topografiach syberyjskich w twórczości Agatona Gillera”. Przedmiotem jego analiz stały się fragmenty trzech najważniejszych utworów zesłańczych Gillera – *Podróży więźnia etapami* (1866), *Opisania zabajkalskiej krainy* (1867) oraz dwutomowej edycji *Z wygnania* (1870). Z pierwszej pozycji dr Borowczyk zaprezentował końcowe rozdziały tomu drugiego, co pozwoliło mu na przywołanie przestrzeni pogranicznej: między Starym Kontynentem a Azją, między Rosją Europejską a Syberyjską. Z *Opisania...* referent prezentował fragmenty z tomów pierwszego i drugiego, umożliwiające analizę i interpretację wieloaspektowego obrazu powiatu nerczyńskiego, skreślonego przez polskiego zesłańcę. Wreszcie z publikacji ostatniej wybrał szkic *Na pograniczu chińskim*. W ten sposób udało się stworzyć trzy analityczne „powiększenia” przełomów czasoprzestrzennych zsyłki Gillera, poświadczonych w jego świadectwach pisarskich – pogranicze euroazjatyckie, wschodniosyberyjski interior, pogranicze rosyjsko-chińskie. Dr Borowczyk, analizując każde z „powiększeń”, skupiał się na tych fragmentach relacji i dygresji autora *Opisania zabajkalskiej krainy*, w których dokonywał on deskrypcji śladów przeszłości (polskiej, syberyjskiej, rosyjskiej – w tym dekabrystowskiej), etnograficznej egzotyki ludności tubylczej oraz mniejszości narodowych (Żydzi). Teoretycznym wsparciem rozważań prelegenta stały się propozycje metodologiczne powstające w kręgu badaczy związanych z tzw. zwrotem topograficznym/przestrzennym w badaniach humanistycznych – ze szczególnym uwzględnieniem książki Elżbiety Rybickiej pt. *Geopoetyka. Przestrzeń i miejsce we współczesnych teoriach i praktykach literackich*. Te trzy ujęcia syberyjskiej topografii pozwoliły na przybliżenie portretu wewnętrznego (duchowego) Agatona Gillera.

Warszawskie Muzeum Niepodległości reprezentowała dr Anna Milewska-Młynik, która w swoim wystąpieniu, noszącym tytuł „Sybir – piekło polskich męczenników”, mówiła o przestrzeniach XX-wiecznej Syberii. Zdaniem referentki, obowiązująca do dziś XX-wieczna wizja Syberii stanowiła i stanowi zapis niemal wyłącznie negatywnych uczuć. W tym świecie nie było miejsca

dla tak koniecznej do normalnego funkcjonowania banalności życia człowieka, drobnych radości i trosk, prozaicznych, lecz pożytecznych zajęć. Normalność, zdaniem dr Milewskiej-Młynik, zstępował wielki ciężar cierpienia. Zesłaniec, obciążony bagażem doznanej krzywdy i świadomością rozpaczliwej przyszłości, należał do osób szczególnie podatnych na wpływy zła i bólu, odpornych na obiektywne piękno otaczającego świata.

Najmłodsze pokolenie badaczy reprezentowała Wiktoria Bilawska, doktorantka Katedry Teorii i Historii Literatury Światowej, Instytutu Filologii i Dziennikarstwa Uniwersytetu Państwowego im. Iwana Franki w Żytomierzu. Wygłosiła ona tekst zatytułowany „Przestrzeń rustykalna Berezowa we *Wspomnieniach z podróży* Ewy Felińskiej”. Doktorantka stwierdziła, że Felińska w swoich *Wspomnieniach z podróży* przedstawiła całą galerię obrazów miast i miasteczek Imperium Rosyjskiego, a Berezów, jako ostateczny punkt zaślania, w którym Felińska spędziła około trzech lat, opatrzony został najrozleglejszą refleksją autorską. W swoim wystąpieniu mgr Bilawska szukała przestrzeni rustykalnej miasteczka. Przestrzeń ta, będąc w wystąpieniu doktorantki pojęciem uogólniającym, organizowała i jednoczyła trochę odmienne, lecz konotacyjnie podobne ansamble rozmaitych obszarów (m.in. wiejskiego, wodnego, leśnego itp.). Zdaniem doktorantki, prezentowany przez pamiętnikarkę obraz Berezowa, jego przestrzeń rustykalna, jako immanentna część Syberii, obalał mit o tym obszarze jako o miejscu zniszczenia ludzkich uczuć i piękna.

„O Syberii [bardzo] subiektywnie” – na koniec tegorocznego spotkania, mówiła dyrektor Małgorzata Wróblewska, która swe wystąpienie zaczęła od stwierdzenia: „Im częściej tam bywałam, tym bardziej mi się wydawało, że mniej o tej ziemi wiem”. Poinformowała ona zebranych, że jej prywatne wyprawy na Syberię powtarzały się systematycznie od 2000 do 2010 roku. Podróż zawsze wiodła przez Moskwę i kończyła się w Abakanie – stolicy Chałkaski. Referentka wspominała swą pierwszą konfrontację z przestrzenią, w której nie czuła obecności Boga, nie widziała znaku krzyża – katolickiego czy prawosławnego. Ten obraz zmieniał się jednak wraz z poznawaniem osób, z wędrownkami po miejscach, w których rozpoznawała ślady rodaków. Mówiła o tym jak bardzo środowisko polonijne Syberii zaimponowało jej swoją aktywnością, ambicjami i pomysłowością (ich dziełem była profesjonalnie wydawana gazeta, ludowy zespół o nazwie „Syberyjski krakowiak” oraz szkoła języka polskiego i kultury polskiej).

Referentka wspominała, iż szybko dostrzegła, że Polacy z Syberii chcieli być zauważeni przez rodaków z kraju, dlatego chętnie wtajemniczali przybywających z Polski gości w historię diaspory polskiej (dyr. Wróblewska widziała bogate zbiory muzeum w Minusińsku, m.in. maszynę drukarską z XIX wieku, opracowaną i wykonaną przez polskiego inżyniera oraz wiele dokumentów i zdjęć, obrazujących niesamowity potencjał polskich zesłańców). Wspominała Syberię, w której nigdy nie zmarła. Syberię, w której po raz pierwszy słyszała oryginalną polską gwarę; Syberię, która zadziwiała rozmachem technologicznym i zaskakiwała biedą oraz „zatrzymaniem w czasie”.

Podsumowując, można stwierdzić, że wypada mieć nadzieję, iż ta niezwykle interesująca konferencja sprawiła, że słowo „intymność”, dotychczas tak rzadko używane w kontekście tej przestrzeni, stanie się jej, może jeszcze nie

stałym, ale częstszym atrybutem. A wymiernym efektem tego spotkania będzie sprawnie wydany tom zbierający kazimierskie wystąpienia.

Małgorzata Król

- **UROCZYSTE SPOTKANIE W MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI
Z OKAZJI 75 ROCZNICY MASOWEJ WYWÓZKI POLAKÓW
NA SYBERIE I DO KAZACHSTANU**

13 kwietnia 2015 roku minęło 75 lat od masowej wywózki Polaków do Kazachstanu zamieszkujących tereny zajęte 17 września 1939 r. przez Związek Radziecki. Muzeum Niepodległości w Warszawie i Związek Sybiraków Oddział w Warszawie uczcili ten smutny rozdział polskiej historii uroczystym spotkaniem poświęconym Marianowi Jonkajtysowi – aktorowi, poecie i reżyserowi, który dzieciństwo swoje spędził, jako jeden z młodszych zesłańców wraz z matką i siostrami w północnym Kazachstanie. Prowadziła je dr Anna Milewska-Młynik, kustosz dyplomowany, opiekun kolekcji syberyjskiej wspomnianego Muzeum Niepodległości i zgodnie z tradycją rozpoczęto je wspólnym odśpiewaniem *Hymnu Sybiraków* (słowa: Marian Jonkajtys, muzyka: Czesław Majewski), co również tradycyjnie już wzruszyło „do łez” wielu Sybiraków i nie tylko ich. Prowadząca powitała gości: Renę Rolską – małżonkę Mariana Jonkajtysa, aktorkę scen warszawskich; Jolantę Fijałkowską – autorkę programów radiowych i telewizyjnych poświęconych zesłańcom, Iwonę Lisowską – dyrektorkę Gimnazjum nr 46 im. Szarych Szeregów w Warszawie oraz młodzież z tej szkoły, Agnieszkę Czernik – inicjatorkę konkursów poezji Mariana Jonkajtysa; Adama Jabłonkę – dyrektora Szkoły Podstawowej im. Zesłańców Syberyjskich w Kalinowie; Bogumiła Smyrskiego – artystę plastyka, autora m.in. wystaw *Sybiracy 1940-1956* w Muzeum Niepodległości, inicjatora umieszczenia rzeźby Mariana Jonkajtysa *Różaniec Sybiru* w kościołach warszawskich; Stefana Wiśniewskiego – prezesa Fundacji Kresy-Syberia w Australii, Sławomira Majchrzaka z Australii; przedstawicieli organizatorów spotkania Jolantę Dąbek, zastępcę dyrektora ds. programowych Muzeum Niepodległości i Mieczysława Pogodzińskiego, przewodniczącego Związku Sybiraków Oddział Warszawa oraz wszystkich przybyłych na tę uroczystość.

Spotkanie rozpoczęła dr Anna Milewska-Młynik przedstawiając historię deportacji w głąb ZSRR w latach 1940-1941. Następnym punktem programu była filmowa prezentacja wywiadów autorskich Mariana Jonkajtysa dla TVP Polonia utrwalonych na DVD. To poetycko opowiedziana historia zaboru ziem polskich we wrześniu 1939 r. i losu Polaków wywiezionych na stepy północnego Kazachstanu, widziana oczami zmuszonego warunkami życia do szybkiego dorastania dziecka. To historia opowiedziana przez człowieka wyrwanego z jego dziecięcego przyjaznego świata i przeniesionego gwałtem do zupełnie odmiennego – obcego i niezrozumiałego. Bo jakże zrozumieć słowa „powitania” przez naczelnika *pasiotaka* wypowiedziane do przywiezionych tam polskich rodzin: *Was tu po to przywieźli polskie pany byście wszyscy wyzdychali*. Wspomnienia te opisał Marian Jonkajtys w trzech książkach, ostatnią z nich *Z Sybiru białej dżungli* autor zaprezentował w jednym z wywiadów. Odniósł się w niej m.in. do liczebności Polaków wywiezionych w czterech kolejnych wy-

wózkach w latach 1940-1941, szacowanej przez różnych historyków (zachodnich i polskich) od 1,5 miliona do 400 tys. osób. Wyjaśnił intencje, jakie przyświecały inicjatywie organizacji *Marszu Żywej Pamięci*, które odbywają się corocznie we wrześniu w Białymstoku. Biorą w nich udział Sybiracy i młodzież szkolna z Polski i z zagranicy.

W artystycznej części spotkania młodzież Gimnazjum nr 46 im. Szarych Szeregów w Warszawie wystąpiła ze wzruszającym programem poetycko muzycznym. Dziewczyny ubrane w bordowe peleryny podkreślające poetycki charakter przedstawienia oraz chłopcy z ogromnym zaangażowaniem śpiewali i recytowali poezję Mariana Jonkajtysa, która sądząc z jej interpretacji jest doskonale rozumiana przez młodych ludzi. Akompaniowała im na pianinie Danna Jończyk-Gronzka.

W posumowaniu Mieczysław Pogodziński wygłosił referat na temat znaczenia poezji Mariana Jonkajtysa w utrwalaniu historii zesłań syberyjskich. Podkreślił, że poeta ten jest szczególnie bliski Sybirakom, głównie z powodu wspólnych przeżyć związanych z deportacją do ZSRR, ale także z powodu roli, jaką odgrywa jego poezja w utrwalaniu pamięci o tych wydarzeniach. Głównym zadaniem Związku Sybiraków jest propagowanie wiedzy o historii zesłań i wywózek oraz utrwalanie pamięci o ludziach dotkniętych tymi przykrymi doświadczeniami.

Poezja M. Jonkajtysa jest w tym bardzo pomocna, gdyż wspaniale trafia do młodzieży, która na szczęście nie doświadczyła tej historii. Świadczy o tym popularność konkursów recytatorskich tej poezji inicjowanych przez szkoły. Doceniają ją również uznane autorytety. Jak mawiał Ryszard Reiff – pierwszy prezes odrodzonego Związku Sybiraków, „Sybiracy czekali 200 lat na swojego poetę, którym jest właśnie Marian Jonkajtys”. Jarosław Abramow Newerly porównał znaczenie *Hymnu Sybiraków* do takich symbolicznych już dziś utworów, jak: *Karpacka Brygada* Mariana Hemara, czy *Czerwone maki* Feliksa Konarskiego ps. Ref-Ren (muzyka Alfreda Schültza). Śpiewa się go nie tylko podczas uroczystości sybirackich, ale również państwowych. Wygłoszony referat był to oficjalnie ostatni punkt spotkania, ale rozmowy, wymiana inicjatyw, pomysłów i kontaktów trwały jeszcze jakiś czas. Świadczy to o wciąż żywym zainteresowaniu tematem sybirackim.

Regina Madej-Janiszek

• O ŻYCIU I ŚMIERCI STANISŁAWA FUDALEGO

Umarł nagle 27 kwietnia 2015 roku, pozostawiając wiele niedokończonych spraw, w tym pisarskich zamierzeń związanych ze swoim syberyjskim losem. Tym nurtem płynęła bowiem jego pasja autorska dotycząca opisanego pobytu na zesłaniu, trafiająca w potrzebę czasu i historii dotyczących deportacji Polaków na Syberię w okresie drugiej wojny światowej. Była to jedna z osobliwości jego charakteru, ale posiadał i inne! Wracajmy jednak do początku.

Stanisław Fudali urodził się 11 listopada 1929 r. w Stanisławowie. We wrześniu 1939 r. jego ojciec, sędzia dr Łukasz Fudali został aresztowany przez NKWD i oskarżony o „prowadzenie aktywnej walki przeciwko ruchowi rewo-

lucyjnemu na Zachodniej Ukrainie poprzez orzekanie w sprawach oskarżających komunistów”, co doprowadziło do wyroku skazującego go na rozstrzelanie. Wyrok wykonano 10 grudnia 1939 r. natomiast 13 kwietnia 1940 r. Stanisław wraz z matką i młodszym bratem Jankiem został deportowany do kustanajskiego obwodu w Kazachstanie, skąd wrócili do Polski w czerwcu 1946 r. Po powrocie uzupełnił wykształcenie i w 1951 roku po otrzymaniu świadectwa dojrzałości rozpoczął studia matematyczne na Uniwersytecie Wrocławskim, które ukończył w 1956 r. W latach 1964-1967 był słuchaczem studiów doktorskich w Instytucie Matematyki Uniwersytetu Wrocławskiego, podczas których napisał i obronił rozprawę doktorską z geometrii różniczkowej uzyskując tytuł doktora nauk matematycznych, co pozwoliło na zatrudnienie Go w charakterze nauczyciela akademickiego w tym Instytucie na stanowisku adiunkta. W roku 1985 przeniósł się do Szczecina, gdzie podjął pracę na równorzędnym stanowisku w Instytucie Matematyki Uniwersytetu Szczecińskiego, pełniąc w latach 1985-1989 funkcję wicedyrektora tego Instytutu.



Wspomnienia zesańcze Stanisława Fudalego

W roku 1995 przeszedł na emeryturę, ale jeszcze do 2003 r. prowadził zajęcia dydaktyczne na uniwersytecie. Jego zainteresowania naukowe koncentrowały się na geometrii, natomiast działalność dydaktyczna obejmowała wszystkie działy matematyki, co utrwalił w formie wielu skryptów dla studentów. Od młodszych lat był też niestrudżonym popularyzatorem matematyki i jej nauczania pisząc książki popularno-naukowe oraz artykuły do czasopism dla nauczycieli. Z jego inicjatywy rozwinął się w Polsce nurt studiów nad historią matematyki, który przyjął formę regularnych konferencji organizowanych co 2 lata. Był współorganizatorem 6 takich spotkań nazywanych oficjalnie Szkołą

Historii Matematyki. Drugą jego pasją obok matematyki była historia. Zachłannie studiował źródłowe materiały historyczne, szczególnie ceniąc sobie wspomnienia i wywiady z osobami, które miały wpływ na bieg historii.

Do roku 1989 ze względu na bezpieczeństwo rodziny musiał przemilczać szczegóły zarówno swojej biografii jak i dotyczącej jego ojca. Przemiany ustrojowe pozwoliły przerwać to milczenie i Stanisław Fudali podobnie jak wielu żyjących jeszcze Sybiraków i Kresowian zaczął spisywać i publikować swoje wspomnienia. Najpełniejszy ich obraz zawarł w książce pt. *Osiemdziesiąt miesięcy w kleszczach sierpa i młota*, Szczecin 2004 wyróżnioną I nagrodą w dziale pamiętnikarskim 34 edycji konkursu: *Dzieje szczecińskich rodzin*, zorganizowanym przez Szczecińskie Towarzystwo Kultury w roku 2004. Pisząc te wspomnienia miał świadomość, że to co on przeżył na zesłaniu, zsuwa się nieuchronnie w niepamięć historyczną. W tym sensie był nie tylko autorem, ale także orędownikiem idei trwania pamięci o polskich losach w tym syberyjskim „domu niewoli”! Często gościł na łamach kwartalnika „Zesłaniec”, w którym publikował interesujące przemyślenia związane z pobytem w Kazachstanie. Wierność tej tematyce wyraża się w artykułach pt.: *Armia Andersa – nieosiągnięta Mekka*, „Zesłaniec”, nr 32/ 2007; *Gasnące mrzonki i wschodzące mgliste nadzieje (Wspomnienia ówczesnego małolata)*, „Zesłaniec”, nr 40/2009; *White w pamięć dziecięcą*, „Zesłaniec”, nr 47/2011; *Upojenie powrotem. Wspomnienia ówczesnego małolata*, nr 52/2012; *„Siódme – nie kradnij”, a jak uczciwie żyć*, nr 59/2014; *Patriotyzm, czy gesty quasi-patriotyczne*, nr 61/2014. Zakończył kontakt z tym pismem artykułem pt. *Marzenie o kawałku niezapisanego papieru*, przysłanym do redakcji 14 kwietnia 2015 r., a więc dwa tygodnie przed śmiercią. Artykuł ten opublikowany w „Zesłańcu” (nr 65/2015) zamyka biografię pisarską Stanisława Fudalego. Z czasem zapewne dopełni ją jeszcze zebranie tekstów rozproszonych po różnych czasopismach.

Wrodzona łatwość wypowiedzania się i dociekliwość w ustalaniu faktów z przeszłości oraz włączanie do pisanego tekstu treści dokumentów i zdjęć uczyniły jego wspomnieniowe publikacje laureatami kilku konkursów literackich dla amatorów. W chwilach duchowego poruszenia pisał również wiersze. Z wielką pasją włączył się w działalność Związku Sybiraków. Współorganizował sympozja naukowe z szerokim udziałem nauczycieli akademickich, historyków, socjologów, psychologów i Sybiraków. Owocem tych konferencji były publikacje pt. *65 lat od masowych wywózek na Sybir* oraz *Armia Andersa – nadzieja zesłańców* Był również współautorem bogatego w dokumenty historyczne wydania *Kroniki Związku Sybiraków na Ziemi Szczecińskiej w latach 1989-2001*. Uważał, że jego zadaniem i obowiązkiem jest kontynuacja tego ze wszech miar ważnego przedsięwzięcia dokumentacyjnego. Niestety poważne kłopoty ze zdrowiem, udar mózgu, potem operacja serca przyhamowały na jakiś czas Jego „zachłanność” na pracę. Wylew na szczęście nie doprowadził do zmian w mózgu i do ostatnich dni przy słabnących siłach fizycznych, miał wspaniałą pamięć, nadal pisał wspomnienia i artykuły do czasopism „Matematyka”, „Kresowe Stanice”, „Zesłaniec” i innych. Otoczony miłością, przyjaźnią i opieką Żony p. Anieli Okienko Fudali, miał jeszcze dużo twórczych pomysłów, koncepcji, planów. Niestety zmarł nagle 27 kwietnia 2015. Część Jego pamięci!

Iwona Biedulska

REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- *Młodzież wobec historii. Materiały z uczniowskich ekspedycji badawczych cz.1. Ekspedycje młodzieży na terenie Republiki Komi i obwodu archangielskiego Federacji Rosyjskiej oraz województwa dolnośląskiego Rzeczypospolitej Polskiej, pod redakcją Janusza Kobrynia, Bystrzyca Kłodzka 2014, s. 169, il.*

Na początek kilka refleksji z własnych doświadczeń. Po przeczytaniu książki nasuwa się wniosek, że dziś trudno jest zachęcić młodzież do zajęcia się skomplikowanym tematem, jakim jest martyrologia Polaków w czasie II wojny światowej, dlatego szuka się form popularyzacji oraz bardziej atrakcyjnych do realizacji tego zadania. Przyczyna wydaje się dosyć prosta. Uczniowie klas licealnych żyją w zupełnie odmiennych warunkach i w zbyt odległych czasach od wydarzeń wojennych. Powoduje to, że kwestia deportacji nie budzi takich emocji, jak jeszcze kilkanaście lat temu. A Sybiraków, którzy mogą dać świadectwo prawdzie jest coraz mniej. Pozostawili, co prawdą bogatą literaturę wspomnieniową, jednak młodzież dość rzadko ją czyta. Niezbyt często korzysta też z innych źródeł. A przecież losy Polaków wywiezionych w latach 40. i 50. XX wieku przybliżają dziesiątki opublikowanych wspomnień i naukowych opracowań, uwierzytelniają dane faktograficzne gromadzone przez stowarzyszenia kombatanckie, Ośrodek „Karta”, Instytut Pamięci Narodowej, muzea i archiwa.

Jeszcze kilka lat temu była organizowana ważna, ogólnopolska olimpiada „Losy Polaków po 17 września 1939 roku”, która cieszyła się, co prawda umiarkowanym powodzeniem, ale pobudzała licealistów do nauki historii najnowszej. Bardzo dobrą popularyzacją wiedzy o zesłaniach są wystawy sybirackie, szczególnie te, które eksponują pamiątki przywiezione przez zesłańców i więźniów łagrów. Z upływem lat pewne wydarzenia odchodzą w niepamięć, albo wręcz przeciwnie – ulegają przejawskrawieniu lub heroizacji. Natomiast przedmiot, historyczny zapis czy fotografia pozostają niezmiennie. Wystaw tych jest niestety coraz mniej. Temat deportacji pomija się też na lekcjach w szkołach, wobec czego wiedza o trudnych doświadczeniach starszych pokoleń jest coraz bardziej znikoma. Zajmując się sprawami sybirackimi w Muzeum Niepodległości, z myślą o młodzieży zorganizowałam cykl prelekcji „Przez tundrę, tajgę i stopy. Śladami polskich zesłańców”. Poświęcony był podróżom krajoznawczym, ich specyfice, miejscom godnym obejrzenia, w którą w pleciony był wątek zesłanych Polaków, przebywających na Syberii i w Kazachstanie w XIX i XX wieku. Tekst wykładu urozmaicały zdjęcia, miejscowy folklor ludów syberyjskich, fragmenty filmów. Niestety, głównymi odbiorcami tych prelekcji byli starsi ludzie. Pomysł okazał się, więc nie całkiem trafiony. Dlatego

z dużym zainteresowaniem przeczytałam książkę, gdyż wydaje mi się, że ekspedycja naukowa dla młodzieży szkół średnich na tereny północnej Rosji jest inicjatywą bardzo dobrą, choć trudną do zrealizowania. Podjęli się jej nauczyciele historii Janusz Kobryń i Wiaczesław W. Masalcew. Zajmowali się stalinowskimi represjami, a od 2007 roku temat „polskiej zsyłki” stał się wiodący. Masalcew, wraz z młodzieżą szkolną prowadził ekspedycje w rejonie priłużskim Republiki Komi. W 2007 r. odnaleźli ślady nieistniejącej już osady Czesjol, w której przebywali deportowani chłopci. Następnie zbierali informacje o miejscowościach Wierchniaja Głuszycza, zwana przez okoliczną ludność jako Centralne Baraki, a także o Niżnej Głuszycy i Lieksztorze. Latem 2011 r. uczniowska ekspedycja badawcza zbierała dane o miejscach osiedlenia Polaków wzdłuż rzeki Koża (między osadami Korża i Łojma). Zlokalizowano tam 5 osiedli specjalnych, w którym przebywali oraz odnaleziono miejsce pochówku w miejscowości Ważjol. W 2012 r. ekspedycja prowadziła badania w Starym Wuchtyumiu, a w 2013 – w osadzie Wierchnij Liapomoz. W sumie młodzież znalazła tu sporo materialnych śladów związanych z historią stalinowskich represji.

Na efekty tej pracy trzeba będzie jednak poczekać, ponieważ jej autorzy zakładają, że „uczniowie biorący udział w ekspedycjach prześlą wiedzę następnym pokoleniom”. Pewne jest natomiast, iż stosunek uczestników wyprawy do zesłańców będzie już teraz bardziej prawdziwy i osobisty. Dotyczy to przede wszystkim młodzieży z Polski, która dopiero odnajduje, jakie fakty skrywa historia i poznaje rosyjskie warunki. Surowy klimat tych ziem, ślady bytności wywiezionych Polaków stawiają sprawy martyrologii w innym kontekście. Przestają być już wiedzą z książek, a zaczynają docierać do wrażliwości młodzieży.

Drugą, nie mniej ważną sprawą jest dokumentacja miejsc pamięci. Przede wszystkim należy tu wymienić odnalezienie śladów cmentarzy, na których chowano zmarłych na zesłaniu, a także odkrycie nieistniejących już miejscowości, w których osiedlano deportowanych Polaków. W przeciągu kilku lat zidentyfikowano 10 osiedli specjalnych, 6 miejsc pochówku wywiezionych na Wschód obywateli polskich. Ich lokalizacja została naniesiona na mapę regionu, a na grobach postawiono znaki pamięci. Wyprawy te szumnie nazwano uczniowskimi ekspedycjami badawczymi, co nie jest przesadą, gdyż rzeczywiście spełniają one ważną funkcję poznawczą. Miejscowości, w których w czasie wojny mieszkali Polacy, znalazły swoje potwierdzenie w źródłach i relacjach okolicznej ludności. Sporządzono rysunki map i fotografie dokumentowania znaków pamięci, które są zamieszczone w książce. O osiągnięciach ekspedycji piszę w formie bezosobowej, gdyż brała w nich udział znaczna część dorosłych uczestników, i nie wiadomo jaka faktycznie rolę spełniała tam młodzież.

Druga, część książki nosi nazwę „Prace badawcze związane z historią i zachowaniem pamięci prowadzone w Zespole Szkół Ógólnokształcących w Bystrzycy Kłodzkiej”. Z pierwszymi rozdziałami łączy ją głównie tematyka martyrologiczna, gdyż jej głównym celem jest zachowanie pamięci o historii współczesnej, dotyczącej zarówno kwestii rosyjskiej, jak i niemieckiej. Młodzież wielorako realizowała te zadania: współpracowała z kołem Związku Sybiraków, zapoznawała się z działalnością i ekspedycjami naukowymi „Memoriału”. Najważniejszy był jednak projekt wymiany polsko-rosyjskiej „Lokalni bohaterowie”, realizowany we współpracy z wieloma instytucjami. Dla nauczycieli zajmujących się nim było to nowe wyzwanie, do którego musieli się przy-

gotować. Zajęcia z młodzieżą polegały na organizowaniu dla niej warsztatów szkoleniowych i uroczystości upamiętniających bohaterów, wyjazdów dydaktycznych do miejsc pamięci, gier miejskich, docieraniu do źródeł historycznych, fotografowaniu, zbieraniu wywiadów. Sama młodzież, przebywając w Rosji, poznawała historię zesłań, spotykała się z pracownikami „Memoriału” i ze stowarzyszenia „Pokajanie”, uczestniczyła w Dniach Pamięci. Uczniowie zorganizowali też kilka ekspedycji do dawnych osiedli specjalnych.

Druga część wymiany młodzieżowej odbywała się w Bystrzycy Kłodzkiej. Poza licznymi punktami programu, uczniowie z Polski i z Rosji spotkali się z osobami, które doświadczyły prześladowań w czasie wojny przez obu agresorów: rosyjskiego i niemieckiego. Spotkania takie na pewno kończyła refleksja, pozwalająca uchwycić różnice w represjach okupantów nad polską ludnością w latach 40-tych XX wieku.

Na zakończenie projektu miała miejsce dyskusja z młodzieżą. W podsumowaniu uczniowie ocenili, że największy nacisk kładli organizatorzy na wydarzenia historyczne. Dyskutowano też nad pojęciami lokalnych bohaterów. Piszący ten rozdział Beata i Janusz Kobryniowie zwrócili uwagę na ważny, choć przewidywalny aspekt tej sprawy: w świadomości młodych uczestników z Rosji istotną rolę odgrywają weterani II wojny światowej, natomiast polska młodzież skupiała się bardziej na osobach biorących udział w walkach narodowowyzwoleńczych i na sybirakach. Zebrane w trakcie realizacji projektów materiały staną się inspiracją do pracy z uczniami podczas zajęć dotyczących doświadczeń Polaków z okupantami w XX wieku. Mogą one rzeczywiście przynieść dobry skutek, gdyż młodzież, w trakcie dyskusji wypowiedziała swoje zdanie, co w losach bohaterów wydaje się jej najważniejsze. Włączenie tych aspektów do nauczania historii, prawdopodobnie spowoduje większe zainteresowanie represjonowanymi Polakami, którym zawirowania historyczne odebrały życie lub przyniosły wiele cierpień.

Anna Milewska-Młynik

- **Zbigniew Tomanek, *Wspomnienia rodzinne. Sześć lat za Uralem (1940-1946)*, Cieszyn 2014, s. 189, il.**

Życie i sentymenty Zbigniewa Tomanka są związane ze Śląskiem Cieszyńskim, gdzie z przerwami mieszka od 1946 roku. Tamtejszej polskiej inteligencji jest też częściowo poświęcona książka, którą napisał. Jak na wspomnienia Sybiraka, stanowi ona rzadkość, bowiem większość polskich zesłańców została wywieziona z Kresów Wschodnich, które traktują oni jak swoją „małą ojczyznę”. Z. Tomanek inaczej zapatruje się na własną przynależność, gdyż dla niego pobyt w małym kresowym miasteczku stanowił raczej epizod, do którego już nie wraca. Traumatycznym przeżyciem był dla niego pobyt w Kazachstanie, gdzie trafił jako sześciolatek. Dlatego w swojej pracy łączy dwa najważniejsze momenty swojego życia: obok korzeni wiążących go ze Śląskiem, opisuje własne doświadczenia na Wschodzie w czasie drugiej wojny światowej.

W okolicach Cieszyna „wieki temu” osiadła jego babcia Anna Katarzyna Tomanek i jej rodzeństwo. Wczesne dzieciństwo spędził autor w Borysławiu, gdyż tam właśnie zamieszkał jego ojciec po ukończeniu medycyny na tamtej-

szym uniwersytecie, a następnie otrzymał intratną posadę w kasie chorych. Z wkroczeniem wojsk radzieckich na Kresy z trudem budowana stabilizacja rozpadła się. W nocy z 18 na 19 lutego 1940 roku ojca aresztowano za udział w Związku Walki Zbrojnej i osadzano w kilku więzieniach (Drohobycz, Sambor, Lwów), a następnie wywieziono go w towarzystwie pospolitych kryminalistów do Sew-Uralagru k/Turyńska w swierdłowskiej obłasti. Mama otrzymała nakaz opuszczenia pięciopokojowego mieszkania z łazienką i kuchnią i przeprowadziła się do swojej znajomej, gdzie warunki były dużo gorsze. Jednak już 13 kwietnia 1940 roku wsadzono ją wraz z synem do „podwoły” (wozu drabiniastego) i dowieziono do wagonu towarowego, zwanego przez zesłańców „bydłęcym”. Dojechali nim do Kustanaju w Kazachstanie. Tyle najważniejszych faktów wprowadzenia w wątek syberyjski.

Pierwszy kontakt autora z azjatycką społecznością był nienajlepszy. Jak większość wywiezionych, przedstawił negatywny obraz ludności tubylczej i pijanych rosyjskich konwojentów. Skierowano go wraz z matką do posesiłka Dolinka wchodzącego w skład „Jeroszowskiego Sielsowietu” (uzunkulskirajon), gdzie kobiety zajmowały się karmieniem trzody i sadzeniem ziemniaków. Później przewieziono ich do większej osady, noszącej nazwę Jerszowka. Matka, mimo choroby serca, zatrudniona była do prac fizycznych, jak podlewanie pola kapusty. O innych zajęciach niewiele wiemy, gdyż autor skoncentrował się na opisie rodziny Kabowych, u których zamieszkał wraz z matką. Ich gehenna trwała do 1946 roku, kiedy wrócili do kraju i osiedli w Cieszynie.

W „syberyjskiej” części książki autor w zasadzie opowiada o dość podobnych sprawach, o jakich pisały dziesiątki zesłańców, którzy zostali deportowani na Wschód. Jednak powtórzenie znanych już relacji ma sens, ponieważ każda z nich uprawdopodobniła zaistniałe fakty. Cenne są opisy miejscowości, w których przebywali, gdyż dają wyobrażenie, w jakich warunkach zesłańcy musieli żyć. Autor pisze o ich codziennych staraniach o pożywienie, zdrowie, ubranie oraz o kontaktach z miejscową ludnością. Wskazuje bezsens kierowania do prymitywnych prac polowych nieprzyzwyczajonych do tego kobiet z rodzin inteligentek, gdyż efekt ich pracy był niewielki, a wymagał wiele trudu.

Obok spraw znanych, znajdujemy w książce sporo nowości. Dość rzadko spotyka się w pamiętnikach relacje z życia kołchoźników i tę lukę wypełnia autor książki. Zawarte tu są opisy gospodarstwa miejscowej ludności, jej zwyczajów, przygotowań do zimy i wiele epizodów z jej życia. Ważne są też nazwiska wywiezionych Polaków, gdyż w ten sposób uwiarygodnia istniejące już listy deportowanej ludności.

Drugą część książki Z. Tomanek poświęcił rodzinie. O sobie pisze niewiele. Dowiadujemy się tylko, że studiował na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie i pracował w Zakładach Elektromaszynowych „CELMA”. Autor zatytułował ją „Wspomnienia rodzinne”, co daje mu prawo zajmować się losami swoich bliskich. Znajduje się tam zdanie, że „nie sposób było pominąć mojego rodzinnego otoczenia, które zastałem po powrocie z zesłania, otoczenia gdy piszę te słowa poważnie zredukowanego przez upływający czas”. Zbigniew Tomanek zresztą sporo zawdzięczał swoim bliskim, którzy trwali na Śląsku od lat. Dzięki krewnym powrócił z matką w rodzinne strony i otrzymał wsparcie, które pomogło im znaleźć swoje miejsce w zmienionej rzeczywistości lat

powojennych. Trzeba wspomnieć, że ta część książki jest nie mniej cenna od poprzedniej, gdyż pisząc o swoich krewnych autor pozostawił ważne źródło na temat historii polskiej na Śląsku Cieszyńskim. Jak podkreśla, jego rodzina stanowiła w przerośni „sól tej ziemi”, wzór do naśladowania dla przyszłych pokoleń.

Anna Milewska-Młynik

- **Alfred Florian Tomanek, *Listy z podróży (lata 1940-1950), Cieszyn 2014, s. 283.***

Alfred Florian Tomanek to postać nietuzinkowa – lekarz z wykształcenia, społecznik, etnograf i wnikliwy obserwator zdarzeń z powołania. Jego tułaczę losy można poznać czytając *Listy z podróży (lata 1940-1950)*. Nie są to zwykłe listy, które kiedyś pisało się do rodziny i przyjaciół, ale metaforyczne określenie łącznika z najbliższymi. Stwierdza on bowiem, że „W ciągu następnych okresów moich podróży odczuwałem zawsze potrzebę wyjaśnienia rodzinie zdarzeń, które były moim i jej udziałem” (s. 16). *Listy z podróży* są uporządkowanym zapisem wspomnień „po latach”, a nie „na gorąco”. Pokazują miejsca, sytuacje, przeżycia, w których Alfred Tomanek się znajdował. Pełne emocji, wiary w Boga i zawierzenia Opatrzności słowa Autora pozwalają Czytelnikowi przenieść się w dość już dzisiaj odległą czas i niejako wejść w „skórę” piszącego.

Listy z podróży są pamiętnikiem z przymusowej wędrówki po Rosji, Persji (Iran), Iraku, Pakistanie i Indiach. Wspomnienia Autora zaczynają się od 19 lutego 1940 roku – dnia, w którym do jego mieszkania w Borysławiu wtargnęli rosyjscy żołnierze i aresztowali go. Pobyt w więzieniu był dla Tomanka traumatycznym doświadczeniem, po którym nastąpił czas zsyłki. Polski lekarz odnotowuje w następujący sposób te wydarzenia: „Pewnego dnia odbył się mój proces przed tzw. sądem Republiki Ukrainy (słynne trojki) bez obrońcy nawet z urzędu, który z góry miał przygotowany wyrok, w wyniku którego zostałem skazany na 8 lat łagru. Oskarżony byłem za „niesienie pomocy lekarskiej wrogom ludu tj. członkom Związku Walki Zbrojnej (późniejsze AK) oraz za przynależność do tej organizacji” (s. 17). Po wyroku wywieziono go do „SEW-URAL-ŁAG” czyli północnouralskich łagrów znajdujących się obwodzie swierdłowskim. Tam otrzymał przydział do pracy w miejscowym szpitalu przeznaczonym dla łagierników.

Alfred Tomanek opisuje zesańcżą podróż, warunki klimatyczne w tajdze, funkcjonowanie obozowych szpitali i wielką wędrówkę przez teren ZSRR, by dotrzeć do Armii Polskiej pod dowództwem generała Władysława Andersa. „Z początkiem września 1941 roku dotarła do obozu wieść o amnestii Polaków więzionych przez Bolszewików w łagrach i innych miejscach odosobnienia w wyniku, której zostałem nią objęty z dniem 7 września 1941 roku otrzymując zwolnienie z obozu [...]. Z tą chwilą rozpoczęła się moja i innych Polaków podróż na południe ZSRR [...]. Podróż moja odbywała się jak i innych na własną rękę i w sposób niezorganizowany. W ten sposób przemierzyłem miasta kolejną od Turyńska przez Czelabińsk, Troick, Orsk do Uralska, a stąd przez Kzyl-Orda, Czimkent, Taszkent, Samarkandę, Bucharę, Czardżou do Urgenczu czyli starożytnej Chorezmy” (s. 20).

Autor niniejszej publikacji przemierzał świat jako lekarz transportów wojskowych, sprawował też opiekę medyczną nad polskimi uchodźcami. W 1942 roku z transportem żołnierzy dotarł do Iranu, gdzie troszczył się o ewakuowanych z ZSRR rodaków, poznawał lokalne problemy medyczne oraz tradycje perskie. Przebywał także w Iraku, by następnie udać się do Pakistanu i Indii.

Jakie wrażenie na Tomanku zrobił port Karaczi? Co go zachwycało, a co zdziwiło? Jak spostrzegał ludność hinduską i jej życie? Jak wykorzystywał czas kwarantanny? Na te i inne pytania łatwo znaleźć odpowiedź w recenzowanej publikacji. Najważniejsze zadania jednak czekały polskiego lekarza w Bombaju. Został kierownikiem służby zdrowia dla wszystkich uchodźców w Indiach. Do jego zadań należało: „zapobieganie chorobom, a więc higiena wszystkich osiedli wychodźców tzn. kontrola, czy wszystko odbywa się zgodnie z wymaganiami higieny tropikalnej, dostarczanie szczepionek oraz kontrola nad szczepieniami ochronnymi przeciw chorobom tropikalnym jak ospa, tyfus, paratyfus, cholera, dżuma itd.” (s. 97). Mocno zaangażował się w organizację służby zdrowia w Bombaju i niesienie pomocy chorym.

Fascynacji Indiami – kulturą, przyrodą, ludźmi – Autor nie ukrywa. Chłonie ten kraj, chce poznać i zobaczyć jak najwięcej. Stara się nieść kaganek wiedzy medycznej i propagować higieniczny styl życia. Interesują go wszystkie dziedziny życia Indii. W książce znajdziemy podstawowe informacje o osobliwościach Pakistanu i Indii – mozaika ras, walory krajoznawcze, flora i fauna, kultura itd. 28 maja 1947 r. Alfred Tomanek opuszcza Indie i udaje się do Egiptu, a stamtąd przez Maltę i Gibraltar do Wielkiej Brytanii. Zostaje do końca życia na emigracji w Anglii. Umiera w 1962 roku.

Książka Alfreda Tomanka jest wielowątkowa. Wiele w niej emocjonalnych opisów, interesujących wydarzeń i losowych przypadków. Zainteresowani tematyką syberyjską znajdą coś interesującego dla siebie. Ci, którym bliska jest problematyka medyczna poznają choroby tropikalne, ziołolecznictwo, sposoby leczenia ukąszeń węzów i innych gadów. Kulturoznawcy i etnografowie mogą zapoznać się z obserwacjami uczestniczącymi na temat obyczajów hinduskich, kanonu kobiecego piękna, kastowości. Religioznawcy znajdą ciekawostki dotyczące religii i filozofii Indii, a wszyscy Czytelnicy mogą odbyć egzotyczną podróż bez wychodzenia z domu. To wszystko wplecione jest w syberyjsko-tułaczy życiorys autora, życiorys trudny, pełen niespodzianek i zawiłości losu. Jej potoczna narracja odkrywa wiele interesujących doświadczeń autora, piękna i prawdy, przestrzenny los oraz upływ czasu przepełniony zesłańczymi doświadczeniami i krętą drogą do wolności.

Recenzowana publikacja napisana jest ciekawie i z dbałością o detale. Autor „przelewająca” na papier swoje przeżycia, pokazuje inne oblicze II wojny światowej. Książka łączy pasję poznawania i ciekawość świata z hołdem dla tych, którzy ratowali życie polskich wychodźców. Sam Tomanek podkreśla, że rola personelu medycznego ratującego życie polskich uchodźców nie jest doceniana i wymaga pełniejszego zainteresowania. Ogromnym walorem recenzowanej książki jest pokaźny zbiór fotografii, które uzupełniają poszczególne rozdziały, rzecz można, że stanowią one interesujące ubogacenie autorskiej narracji. Na uwagę zasługują także zeskanowane dokumenty.

Małgorzata Dziura

Jerzy Kostiuk, *Czy tak być musiało? Wspomnienia z zesłania do Kazachstanu i służby w 2. Korpusie (1939-1947)*, Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Rzeszowie, Rzeszów 2010, s. 246.

Każdy człowiek w swoim życiu, wiele razy zadaje sobie pytanie: czy tak być musiało? To samo pytanie stawia Jerzy Kostiuk w tytule swoich wspomnień dotyczących drugiej wojny światowej. Autor opowiada „historię prawdziwą”, czyli doświadcza i patrzy „na bieg wypadków historycznych z perspektywy pojedynczego człowieka” (s. 8). O naukowy kształt wspomnień zadbał Piotr Chmielowiec, który napisał *Wstęp* do publikacji i zadbał o jej merytoryczne opracowanie.

Książka składa się z trzech części: *Podzwonne kampanii wrześniowej, Lata katorgi* i *Niech żywi nie tracą nadziei*. Na uwagę zasługują fotografie i dokumenty, które obrazują treści zawarte w tych wspomnieniach. W przededniu wybuchu wojny w 1939 roku, siedemnastoletni wówczas gimnazjalista Jerzy Kostiuk wraca z wakacji spędzonych w Gałkowicach koło Starego Sącza do swego rodzinnego miasta Lwowa. Atmosfera grozy i napięcia udziela się wszystkim podróżnym. Pisz: „Prześlągnięci napływającymi coraz to nowymi informacjami, częściej plotkami, w nerwowym podnieceniu, z niecierpliwością oczekiwaliśmy na pojawienie się dobrze nam znanego kolejowego dworca lwowskiego” (s. 24). Gdy nastął dzień 1 września słowo „wojna” było powtarzane już oficjalnie, a Lwowiacy zaczęli zadawać sobie pytanie, czy miasto będzie się bronić? Bardzo szybko wszystkie dywagacje i wątpliwości zostały rozwiane, kiedy natężenie walk wzrosło, a żołnierze walczyli jak lwy.

Dnia 22 września do miasta wkroczyła Armia Czerwona. Jak wyglądało życie mieszkańców pod panowaniem Sowietów? „Represje, aresztowania, rabunek i prześladowania dotknęły niemal każdą polską rodzinę” (s. 48) – wspomina Jerzy Kostiuk i przywołuje z pamięci obrazy tamtych wydarzeń i swoje przeżycia. Na rodzinę Kostiuków spadały różne tragedie, nie ominęło jej także zesłanie. W kwietniu 1940 roku Autor wraz z bratem i matką zostali zesłani do Kazachstanu. *Lata katorgi* to opis poniewierki po odległej rosyjskiej ziemi, której towarzyszył głód, ciężka praca, przenikliwe zimno i obawa o życie.

Pierwszym przystankiem na drodze polskich tułaczy był kołchoz Burłahasz, a potem budowa owczarni w szczerym stepie, drogi Wostocznoje Kolco i ciężka harówka w kołchozie. Autor porusza różne wątki zesłańczego życia, pisze o codziennych wydarzeniach, pracy, chorobach, pożywieniu, okolicy, ludziach i zwierzętach. Dzieli się swoimi wewnętrznymi przeżyciami i emocjami. Jest doskonałym obserwatorem, stąd w książce wiele interesujących informacji etnologicznych np.: „Dla Kazachów podstawowym pożywieniem było mleko, mięso wożone pod siodłem na koniach, chleb i pszenica. Smażyli czasami coś w rodzaju bardzo małych pączków lub jedli pszenicę tłuczoną po prażeniu ze śmietaną. To wszystko działo się tylko od wielkiego święta. Poza tym nie znali i nie jedli żadnych owoców, warzyw, cukru, ziemniaków i innych potraw, zaś mięso wieprzowe było religijnie zabronione” (s. 67), czy „Była też okazja do zapoznania się z obrzędem pogrzebowym, który przedstawiał się dość prozaicznie [...]” (s. 68); „Oddając sprawiedliwość ludności tubylczej, godzi się wspomnieć, że w każdym domu przed jedzeniem miał miejsce ceremoniał

mycia rąk w miedzianej miednicy, którą gospodyni podawała kolejno wszystkim gościom wraz z czystą szmatą mającą imitować ręcznik” (s. 117). Można mnożyć tego typu cytaty, co bez wątpienia czyni publikację interdyscyplinarną, a nie tylko opracowaniem historycznym.

Chronologiczny układ narracji pozwala śledzić wydarzenia w rzeczywistej kolejności, więc po czasie zsyłki jest czas wojaczki. Autor wspomina: „Prace polowe dobiegały końca wraz ze zbliżaniem się jesieni. Zastanawiając się nad tym, co dalej ze sobą począc, raptem dostałem wezwanie do stawienia się przed komisją poborową do polskiego wojska” (s. 101). Komisja jednak odroczyła pobór i Jerzy Kostiuk dostał wezwanie do wojska dopiero w lutym 1942 roku. Po wielu przygodach dotarł do Ługowej, gdzie miało miejsce formowanie się polskiego pułku i szkolenie rekrutów. Organizowanie wojska zostało przerwane, gdy padł rozkaz opuszczenia Związku Radzieckiego. Żołnierską wędrówkę przez różne państwa Kostiuk ciekawie opisuje: „W ogóle Iran w moim odczuciu to kraj kontrastów, zresztą tak jak wiele innych południowych krajów – gdzie obok biedoty żyją w przepięknych pałacach ludzie bogaci, gdzie znajdują się niezmiernie pustynie, a nieco dalej wspaniałe góry o wielkim bogactwie fauny i flory” (s. 129); „W pierwszym okresie przebywania w Palestynie wszystko było takie szokujące, nieprawdopodobnie bajeczne – tak, że nie można się było nadziwić, jak życie może być piękne, wygodne, urozmaicone, a wszelkie tego rodzaju zjawiska nie są utopią, ale czymś realnym – czymś, co mogło być tylko marzeniem w zacofanych krajach ZSRR” (s. 133).

Po intensywnych ćwiczeniach wojskowych w Iraku Jerzy Kostiuk został radiotelegrafistą i z 2. Korpusem pod dowództwem generała Andersa udał się na Półwysp Apeniński. Przygotowania, przebieg działań zbrojnych, odczucia żołnierskie to wszystko znajduje się na kartach tej zajmującej książki. Czytelnik ma wrażenie, że ogląda film wojenny, w którym sam gra główną rolę i walczy o Monte Cassino. Szlak bojowy 2. Korpusu dla Autora zatrzymał się 21 lipca 1944 roku, gdy samochód, w którym się znajdował najechał na niemieckie miny przeciwczołgowe. Ranny trafił do szpitala. „W sumie pobyt w szpitalu trwał około trzech miesięcy; ostatecznie uznany za wyleczonego, dostałem skierowanie na miesięczny wypoczynek w obozie dla rekonwalescentów w niedużej odległości od miasta portowego Tarent” (s. 222). Po rekonwalescencji wrócił do swojej jednostki, w której panowały dość minorowe nastoje, po doniesieniach z Polski. „Z kraju nadchodziły niepokojące wieści o postępach Armii Czerwonej, niosącej ze sobą groźbę nowych aresztowań i wywózek do ZSRR [...], wrażenie bezsilności aliantów w stosunku do wydarzeń mających miejsce w Polsce powodowały nastrój przygnębienia. Coraz częściej zadawano sobie pytanie: „Na co to wszystko? Próżny nasz wysiłek, przecież nikt się za nami nie ujmie, a drzwi do kraju będą zamknięte” (s. 225) i wojna dobiegła kresu. Wraz z zakończeniem wojny nie nastąpiło zwycięstwo żołnierzy polskich na Zachodzie, a wręcz przeciwnie pojawiły się dylematy, czy zostać na emigracji, czy wracać do kraju, ale nie takiego o jaki walczyli. Ci, którzy walczyli przy boku innych armii niż armia radziecka byli oskarżani o szpiegostwo i prześladowani. Autor zdecydował się na powrót do kraju, ale jak mocno podkreśla nie była to łatwa decyzja.

Na postawione w tytule pytanie: czy tak być musiało? Jerzy Kostiuk nie udzielił odpowiedzi, gdyż to pytanie stanowi jedynie „wytrych” pobudzający

Czytelników do głębszych rozważań i analiz nad przyczynami i skutkami działań wojennych. Rodzi się inne pytanie: jak powinno być? I tu każdy może podzielić się własnymi poglądami na temat losów wojennej i powojennej Polski i świata. Autorskie wspomnienia oparte są na przeżyciach i doświadczeniach jednej rodziny, przez pryzmat których pokazane jest tragiczne doświadczenie wielu Polaków.

Publikacja cechuje się wieloma walorami naukowymi, jest opatrzona bazą źródłową i przypisami. Nie jest „suchą” relacją z lat 1939-1947, ale wielowątkową opowieścią o dawnych czasach. W wielu fragmentach jest napisana z przymrużeniem oka i humorem, co sprawia, że czyta się ją niemal „jednym tchem”. Każdy może w niej znaleźć coś, co go zainteresuje. Książka bez wątpienia pobudza do myślenia i zachęca do dalszego studiowania polskiej historii.

Małgorzata Dziura